

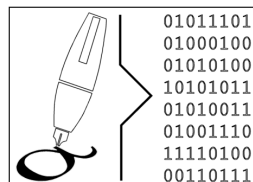
# MARGIT SANDEMO

Saga o czarnoksiężniku

TOM 6

ŚWIATŁA ELFÓW

Przełożyła: Anna Marciniakówna



Tytuł oryginału:

*Oversatt etter: Alvelys.*

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

# Streszczenie

Po dwunastu pięknych, spokojnych latach islandzki czarnoksiężnik Móri i jego norweska żona Tiril na nowo podjęli walkę z bardzo starym i złym zakonem rycerskim, który ich prześladował. Tym razem Tiril i Móri zabrali ze sobą w podróż do dawnej siedziby Zakonu swego przyjaciela Erlinga.

Nasza trójka nie wie, o co w całej sprawie chodzi, ani jakie siły popierają Zakon Świętego Słońca, z drugiej jednak strony ma ona nad Zakonem wielką przewagę. Przede wszystkim dzięki powiązaniom Móriego ze światem duchów.

By przerwać nareszcie prześladowania Tiril i jej matki, księżnej Theresy, troje przyjaciół musi dotrzeć do samego źródła zła. Ślady wiodą do ruin bardzo starego zamku w Szwajcarii. Ale prześladowcy znowu uderzają. Udaje im się pochwycić Tiril i uprowadzić ją. Móri zostaje pchnięty mieczem, Erling zaś zrzucony z potwornie wysokiej skały. Jediną istotą, która mogłaby ich uratować, jest Dolg, dwunastoletni syn Móriego i Tiril. To wyjątkowy chłopiec, najzupełniej niepodobny do zwyczajnych ludzi. Niewidzialni towarzysze Móriego ze świata duchów wybrali dla niego wielkiego i potężnego opiekuna, Cienia, który towarzyszy chłopcu od dnia narodzin.

Teraz Dolg wraz z Cieniem i psem Nero wyrusza na niebezpieczną wyprawę, by uratować rodziców i Erlinga. Niestety, podstępem przyłącza się do nich dwójka młodszego rodzeństwa Dolga.

# Rozdział 1

Rozległe bagna leżały pogrążone w ciszy. Na niskim nieboskłonie świeciła jedynie gwiazda poranna.

Błędne ogniki pogasty na długo przed brzaskiem. Nigdzie już nawet śladu po tych małych niebieskich płomykach, które mogą sprowadzić wędrowca na manowce.

Ale w przejmującej ciszy bagnisk czaiło się jakieś rozedrgane wyczekiwanie, może nawet silniejsze niż chwiejne podniecenie błędnych ogników widoczne ostatniej nocy. Było to wyczekiwanie równie intensywne jak cisza przed burzą albo przed dziewiątym wybuchem wulkanu.

Przez całe wieki to czekanie spletało się z bezradnością i rezygnacją. Ale dwanaście lat temu. . .

Dwanaście lat temu nadzieja ożyła na nowo.

Teraz. . . Teraz czas się dopełniał.

Dlatego błędne ogniki na bagnach zamarły.

Erling Müller zdawał sobie sprawę, że to śmiertelny upadek. Zepchnięto go z szalonej wysokości, kamienne tablice, które miał w plecaku, ciążyły niczym ołów. Ostatnie, co usłyszał, kiedy spadał ze skały głową w dół, to rozpaczliwe wołanie Tiril: „Zawróćcie, duchy! Ratujcie Móriego i Erlinga! Oni umierają!”

Wtedy jednak on był już daleko. W oszalamiającym pędzie mijał niebezpiecznie bliskie skalne ściany, widział rzekę, przecinającą dolinę, najpierw bardzo głęboko pod sobą, ale wszystko zbliżało się do niego z zawrotną szybkością.

Nawet nie zdążył pomyśleć, nie był w stanie, odczuwał jedynie strach przechodzący wszelkie pojęcie.

Znajdował się już prawie nad samą ziemią i oczekiwał śmierci, gdy tempo lotu niespodziewanie osłabło. Nagle jakby znalazł się w zawieszonym między drzewami hamaku. Nadal opadał w dół, ale już znacznie wolniej. W jednym okamgnieniu zdawało mu się, że zobaczył ponad sobą cudownie piękną kobiecą twarz, jasną jak samo powietrze, i domyślił się, że to jedna z dwóch urodziwych towarzyszek Móriego.

riego — pani powietrza. Tak właśnie wyglądała, o ile dobrze zapamiętał w tej krótkiej chwili, kiedy dane mu było na nią patrzeć.

Zaraz się jednak przekonał, że nikogo w pobliżu nie ma. To musiała być iluzja.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był wylądować w dolnej partii zbocza, odbiwszy się przedtem wielokrotnie i bardzo boleśnie od skalnej ściany.

Tego się właśnie spodziewał.

Ale nic takiego się nie stało. Zdawało się, że w sposób całkiem naturalny wpadł do rzeki, płynącej dobry kawałek stąd u podnóża góry.

Zderzył się z powierzchnią wody, kiedy już tempo lotu nie było zbyt wielkie, więc nie zrobił sobie krzywdy.

Na co mi się to zda, myślał. Teraz utonę z tym ciężkim plecakiem, który przywiązałem tak starannie.

Znajdował się we wzburzonej rzece, rozpaczliwie walczył, by utrzymać się na powierzchni, zaciskał desperacko usta, by się nie zachłystywać, ale prąd znosił go nieubłaganie coraz dalej od góry i nieszczęsnych przyjaciół.

Szamotanina nie trwała jednak zbyt długo. Wkrótce poczuł, że coś wypycha go na powierzchnię, tak że znowu może swobodnie oddychać, i tylko prąd nieustannie znosi go wciąż i wciąż dalej od miejsca, w którym powinien być.

Tiril i Móri, myślał. Wybaczcie mi. Wybaczcie, tak bym chciał wam pomóc, ale siły natury mi w tym przeszkadzają. W wielkim zdumieniu głęboko wciągnął powietrze, bo wydało mu się, że poprzez masy wody dostrzega jakąś twarz, równie jasną jak pierwsza, ale tym razem była to inna kobieta.

Wtedy zrozumiał, że znajduje się w dobrych rękach. Wiedział również, że gdyby nie ona, dawno już leżałby na dnie niczym olbrzymi głaz, ściągnięty w dół przez kamienną księgę. Ale nie utonął. Płynął, dawał się nieść prądowi, jakby w ogóle nic nie ważył.

— Dziękuję — szepnął, a ponieważ do ust nalało mu się wody, zabrzmiało to trochę bełkotliwie. Zaniósł się kaszlem. — Dziękuję wam, moje śliczne pomocnice, nigdy wam tego nie zapomnę! Tylko czy nie powinienem zawrócić i ratować moich przyjaciół?

Nie wiedział, skąd wziął się ten głos, prawdopodobnie brzmiał tylko w jego głowie, ale słyszał go całkiem wyraźnie:

„Nie, ty nie masz tam nic do roboty. Teraz musisz wracać do Theresenhof. Tam jesteś potrzebny razem z tablicami”.

Próbował jeszcze protestować:

„A mój koń? I czy ta rzeka płynie do Austrii?”.

Usłyszał tylko ciche, przyjazne:

„Ciii”.

Pozwolił się więc spokojnie znosić dalej. Dokądkolwiek.

We mgle poranka dał się słyszeć cieniutki głos Taran:

— Panie Cieniu, panie Cieniu, czy nie można by trochę poczekać? Ja muszę na chwilkę w tamte zarośla, to sprawa nie cierpiąca zwłoki!

Bracia zaprotestowali, obaj byli zdenerwowani głupstwami, jakie wyprawia siostra, ale ogromny cień przystanął spokojnie.

— Bardzo dziękuję, wujku Cieniu — szczebiotała Taran, znikając pospiesznie w zaroślach.

Kiedy po chwili z prawdziwie kobiecą nonszalancją wyszła znowu na drogę, mogli ruszać dalej.

— Dokąd my idziemy? — zainteresowała się dziewczynka.

Dolg upomniał ją po raz kolejny:

— Taran, o takie sprawy nie pytamy!

— Ale ja muszę wiedzieć, bo przecież powinnam dać mleka mojemu cielaczkowi.

— Inni to za ciebie robią, możesz być pewna. Co ty sobie myślałaś, że to poranna przechadzka po łąkach, a potem wrócimy do domu na śniadanie?

Dolg zawsze przemawiał do swego rodzeństwa z wielką życzliwością, łagodnym, pięknie brzmiącym głosem.

Villemann był bardziej bezceremonialny.

— Ty masz źle w głowie, Taran! Nie idziemy przecież na wycieczkę! A jeśli jeszcze tego nie rozumiałaś, to najlepiej wracaj do domu, dopóki nie jest za późno.

Taran wykrzywiła buzię w podkówkę, zawsze tak robiła, kiedy zbierało jej się na płacz.

— Zostaję z wami — oświadczyła urażona.

— W takim razie nie urządź scen — upomniał Villemann. — Rozumiesz chyba, że daleko nie zajdziemy z takim młyńskim kamieniem u szyi.

Dziewczynka pokazała mu język i odwróciła się do starszego brata.

— Ty też nie wiesz, dokąd idziemy, Dolg?

— Nie wiem, ale mam zaufanie do mojego ducha opiekuńczego.

Taran zaprotestowała szeptem:

— On wcale nie wygląda jak duch opiekuńczy, raczej jak mroczny cień.

Głos Dolga brzmiał surowo, choć uśmiech na jego twarzy świadczył, że się nie gniewa na siostrę.

— Natychmiast się uspokój! A nie, to stanie się tak, jak powiedział Villemann, zawrócisz i będziesz się musiała na własną rękę dostać do domu.

Taran zamilkła.

To dziwne, że oni nie widzą swoich duchów opiekuńczych, myślał Dolg. Tylko jego, Cienia. Ale mama mówiła, że on jest wyjątkowy. Nie żaden zwyczajny duch opiekuńczy. To towarzysze taty wybrali go, jeszcze zanim ja się urodziłem.

Chłopiec uważał, że akurat to jest trochę przerażające, ale mama prosiła, żeby się nie bał.

Mama! O Boże, a jeśli już nigdy więcej nie zobaczymy mamy, myślał Dolg, patrząc z troską na swoje rodzeństwo. Dla nich by to była tragedia, ale jak jest ze mną? Mama, taka młodzieńcza jak dziewczyna, a mimo to dająca tyle ciepła i poczucia bezpieczeństwa, kiedy przychodzę do niej zasmucony.

Dolg w dzieciństwie często bywał smutny. Tylko że nigdy tego nie okazywał. Wiedział, że różni się od innych dzieci, i to sprawiało, że czuł się bardzo samotny. Zdarzało się, że obcy ludzie na jego widok czynili znak diabła, żeby się uchronić przed złem. Albo zegnali się znakiem krzyża, co było tak samo przerażające.

Mówiono o nim, że jest podmieńcem, ale najczęściej mówiono, że jest elfem, który zabłąkał się w świecie ludzi.

Kiedy było mu bardzo trudno, szedł do mamy. Nie płakał, nie potrzebował też nic mówić, ona rozumiała wszystko. Dolg wiedział, że mama również miała niełatwe dzieciństwo. Nie w taki sposób jak on, ale uważał, że mama wie, co to znaczy być innym. Dlatego kiedy dzieci dokuczały mu z powodu jego oczu albo z powodu koloru skóry tak, że ból palił w piersi, siadał bez słowa obok mamy. Ona obejmowała go mocno, przytulała policzek do jego włosów. Wyczuwał jej bezradność i smutek, że nie może pomóc swemu niezwykle synkowi.

I teraz mama znalazła się w niebezpieczeństwie. A z ojcem było jeszcze gorzej.

Dolg i jego tata, czarnoksiężnik, zawsze złączeni byli poczuciem wielkiej wspólnoty. I właśnie przede wszystkim ojca chłopiec musiał teraz ratować.

Dolg zdawał sobie sprawę, iż przyszedł na świat z całkiem wyjątkowych powodów. Tata wytłumaczył mu, że życzyli sobie tego jego niewidzialni towarzysze.

Tylko że ta podróż, którą teraz Dolg odbywa, nie była przewidywana. Nieszczęście, jakie spadło na rodziców i wuja Erlinga, zaskoczyło wszystkich, również duchy. A więc zadanie, jakie teraz Dolg miał wypełnić, to jeszcze nie to, dla którego się urodził.

Miał nadzieję, że zdąży dorosnąć, zanim przyjdzie mu przejść przez najważniejszą próbę.

Szli przez cały dzień. Schodzili w dół z okolicy, w której wyrosli, wciąż na wschód, a może trochę na północny wschód, Dolg nie bardzo to potrafił ocenić.

Zeszli na dół, w doliny, mijali nawet równiny, ale teraz teren znowu zaczynał się wznosić. Byli w kompletnie nie znanych stronach, Dolg nie miał pojęcia, gdzie się znajdują.

Młodsze rodzeństwo mu imponowało. Odkąd Taran przestała grymasić, zrobiła się całkiem znośna. Wydawało się, że teraz za wszelką cenę stara się wyglądać na małą, dzielnie znoszącą trudy i cierpiącą w milczeniu bohaterkę. Kolejna rola, ale akurat za tę Dolg był wdzięczny siostrze. Bowiem teraz ona i Villemann musieli się już czuć bardzo znużeni, tyle kilometrów przeszli na swoich krótkich dziecięcych nogach. Nawet Nero utracił zapał.

Znacznie później, gdy słońce opuściło już niebo, a cienie zaczynały się robić niebieskawe i zimne, Villemann szepnął:

— Dolg, zdaje mi się, że wchodzimy na jakieś bagna. . .

— Tak, ale przecież idziemy już cały dzień, więc. . .

Dolg zwrócił się do Cienia:

— Myślę, że moje małe rodzeństwo jest zmęczone.

— Nie jesteśmy żadne „małe rodzeństwo”! — syknął Villemann. — Jesteśmy po prostu rodzeństwo. Mamy prawie tyle samo lat co ty.

Ale Cień przystanął i dał znak, że tu zatrzymają się na odpoczynek. Taran natychmiast wyciągnęła się na ziemi i demonstrowała, jak bardzo jest utrudzona.

Dolg podszedł do Cienia. Nigdy przedtem nie zwracał się do niego tak wprost, ale teraz uznał, że to konieczne.

Pochylił się w głębokim ukłonie przed wysoką postacią i rzekł uprzejmie:

— Wybacz mi pytanie, ale czy daleko jeszcze musimy iść?

Ku jego zaskoczeniu Cień odpowiedział. Ostry, świszczący głos brzmiał jakos głucho, jakby mówiący nie posiadał żadnej błony rezonansowej albo jakby miał ją umieszczoną głęboko w gardle.

— Nie — odpad ów dziwny głos z tamtego świata. — Niedaleko. Już prawie jesteśmy u celu.

Dolg patrzył z niedowierzaniem przed siebie.

— Bagna?

— Tak. Zaczekaj, aż jeszcze bardziej się ściemni!

— A. . . moje rodzeństwo?

— Trzeba urządzić im posłanie tam pod tą skałą. Ześlę na nich sen tak, że niczego nie zauważą, a ich opiekunowie będą nad nimi czuwać. Ty też idź i połów się! Obudzę cię, kiedy nadejdzie pora.

Dolg wypełnił wszystkie polecenia. Najpierw zjedli posiłek, który babcia Theresa przygotowała dla Dolga i Nera. Pies siedział teraz obok chłopca i ślinił się okropnie, patrząc na wspaniałe smakołyki babci. Potem zrobili sobie posłania pod wiszącą skałą. Dolg nie powiedział siostrze i bratu, że on nie prześpi całej nocy.

Młodsze rodzeństwo posnęło natychmiast i spało tak mocno, iż Dolg nie miał wątpliwości, że to za sprawą Cienia.

On sam leżał spokojnie i starał się usunąć z mózgu wszystkie myśli, ciepły grzbiet Nera grzał mu bok, chłopiec czuł, że sen nadchodzi. . .



Księżyc wszedł nad zdawałoby się bezkresnymi bagnami i sprawił, że nawet najjaśniej świecące gwiazdy zbladły.

## Rozdział 2

Erling Müller został wyrzucony na ląd.

Oszołomiony usiadł na brzegu.

Przez ostatnią godzinę znosiły go fale nie znanej rzeki. Rzeki, w której chyba nie było nurtu. Ale przedtem. . .

Mógłby przysiąc, że chwilami płynął pod prąd! Pierwszy odcinek od miejsca upadku przebył w wielkim pędzie, niosło go dosłownie na łeb, na szyję. A potem trafił do wielkiej rzeki Ren, tyle pojmował. Ale stamtąd?

Tam ktoś jakby go odwrócił, płynął w górę rzeki, był tego pewien, chociaż zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe.

Ale, jeśli chodzi o Móriego i jego osobliwe towarzystwo, to zdarzało się wiele rzeczy niemożliwych.

Albo zasnął, albo stracił przytomność, bo w jego pamięci powstała luka. A najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że woda nigdy nie wydawała mu się nieprzyjemna, nawet nie zimna, choć pochodziła przecież z alpejskich lodowców. Od czasu do czasu, gdy prąd stawał się wartki jak przy wodospadzie, Erling zachłystywał się wodą, ale wystarczyło ją wypluć i odkaslnąć, a wszystko znowu było dobrze.

Wiedział, że musiało nieść go pod prąd, bo kiedy się obudził nad ranem, rozpoznał charakterystyczne okolice Jeziora Bodeńskiego. Znajdował się całkiem po prostu na środku jeziora i miał nadzieję, że nikt nie zobaczy jego wystającej nad powierzchnię głowy i nie zorganizuje ekspedycji ratunkowej. Erling przeczuwał, że coś takiego byłoby dla niego tylko dodatkowym obciążeniem. Dlatego kiedy zobaczył jakiegoś człowieka przy ujściu rzeki, schował głowę pod wodę tak, jak to już niejednokrotnie czynił podczas tej dziwnej podróży. Ufał, że duch wody wie, co robi.

Nie widział już teraz tej pięknej kobiety. Ale z całą pewnością nieustannie mu towarzyszyła, z prądem i pod prąd, przez skomplikowany system rzeczny.

Ponownie zapadł w drzemkę.

Pojęcia nie miał, jak długo trwał sen.

Pozostawał w nieświadomości, dopóki nie został podprowadzony do lądu

i bezceremonialnie wyrzucony na nadbrzeżną zieloną trawę.

Ociekając wodą, ale niezbyt przemarznięty, z trudem podniósł się na nogi. Nie zgubił plecaka, który teraz zdawał się potwornie ciężki.

Słońce stało nisko nad horyzontem. Dolina do połowy pogrążona była w cień. Drozdzy krzyczały na... na porośniętym lasem zszobcu?

Miał wrażenie, że myśli krążą mu w głowie z coraz większym i większym trudem.

Rozpoznawał zбочe porośnięte lasem. Czyż to nie...? Rozejrzał się wokół.

Oczywiście! To ta rzeczka, która płynie za dworem w Theresenhof!

Tak, to ta rzeczka.

— Dziękuję — powiedział głośno, zwracając się w stronę rzeki. — Przyjmij moje najgorętsze podziękowania, ty piękna pani, duchu morza i wszelkiej wody!

Niewielka fala podpłynęła do brzegu, wydając cichy chlupiący dźwięk, jak śmiech kobiecy, delikatny, wyrażający zadowolenie i odrobinę kokieterijny.

Erling głęboko wciągnął powietrze i zaczął się wspinać po zбочu. Wkrótce znalazł się na górze pośród wysokich sosen, takich samych jak te, które rosną na łąkach należących do Theresenhof.

Podziwiał tę cudownie piękną posiadłość i na chwilę poczuł ukłucie zazdrości wobec Móriego i Tiril, że coś takiego jest ich własnością. Ale Erling nie był przecież zazdrośnikiem, życzył przyjaciołom wszystkiego najlepszego. A teraz... Czy jeszcze kiedyś powrócą do swego wspianego domu?

Ta myśl sprawiała mu dotkliwy ból.

Nero nie szczekał. To niezwykle. Bo ten pies zdaje się trochę opacznie pojmować swoje powołanie, nie tyle pilnuje domu, co okolicy. Szczeka wprawdzie na obcych, jeśli ktoś chce wejść na dziedziniec, ale to nic w porównaniu ze wściekłym ujadaniem, jakim reaguje na wszystko, co rusza się na okolicznych łąkach. Wtedy to dopiero jest pies stróżujący!

Musi dzisiaj być w domu, pomyślał Erling, który dobrze wiedział, że Nero zwykł spędzać popołudnia na doglądaniu obejścia.

Kiedy uświadomił sobie, że minęła doba od chwili, gdy znajdowali się na wzniesieniu Graben daleko stąd w Szwajcarii, przeniknął go lodowaty dreszcz. Co się stało z uprowadzoną Tiril? A Móri chyba już nie żyje, to niemożliwe, by przetrwał do tej pory po takim zranieniu.

Krótki, gorączkowy oddech Erlinga przypominał szloch.

Wokół domu panowała cisza. Nie podobało mu się to. Znikąd nie słysząc dziecięcych głosów. Zatręknął do szczebiotu Taran i poważnego głosu Villemanna, kiedy starał się coś siostrze wytłumaczyć.

No, nareszcie ktoś znajomy! Księżna Theresa wyszła na werandę. Otworzyła oszklone drzwi do ogrodu i wołała przejęta:

— Erling, mój drogi, skąd ty idziesz? I jak ty wyglądasz! Boże, jesteś kompletnie przemoczony! A gdzie Tiril i Móri? O, Erlingu, jak to dobrze, że wróciłeś!

Co się stało? Tutaj było tyle zamieszania!

Podszedł do niej, spotkali się na trawniku wśród krzewów róż.

— Mam bardzo dużo do opowiadania — powiedział zdyszany. — Wejdźmy do środka!

Theresa wysłała go na górę, by się w swoim pokoju osuszył i przebrał.

— Ale wracaj zaraz, taka jestem niespokojna! — krzyknęła za nim.

Niedługo potem siedzieli na werandzie, a pokojówka podała Erlingowi ciepły posiłek i gorący napój. On w dalszym ciągu wycierał włosy dużym ręcznikiem, ale sinoniebieskie wargi zaczynały powoli nabierać normalnej barwy.

— Gdzie są dzieci? — zapytał. — I gdzie Nero?

Twarz Theresy wykrzywiła się boleśnie.

— Dolg został wezwany, by pomóc swoim rodzicom i tobie. Podróż z pewnością była bardzo niebezpieczna. Osobiście wyprawiłam go w drogę. Nero poszedł z nim, i jego wielki cień również, chociaż nie pokazywał się już od wielu lat. Ale niestety... Jednocześnie zniknęły też bliźniaki. Rozesłałam, kogo tylko mogłam, żeby ich szukać, ale nigdzie ani śladu.

— Myśli pani, że malcy poszli za Dolgiem?

— Tak — odparła Theresa. — To do nich bardzo podobne, a poza tym otrzymałam dziwne potwierdzenie swoich przypuszczeń. W południe musiałam się położyć i trochę odpocząć, bo Dolg opuścił dom o brzasku, a takie poranne wstawanie mści się już w moim wieku...

— Coś o tym wiem potwierdził Erling. — Jesteśmy prawie równolatkami.

— Naprawdę? — księżna była szczerze zdumiona. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. W każdym razie w chwili, gdy zasypiałam, usłyszałam głos. „Nie martw się!” powiedział jasno i dobitnie. „Dzieci są z Dolgiem. Nic im nie zagraża”.

— To był głos męski czy kobiecy?

— Męski. Ale, Erlingu, ja wiem, że Tiril i Móriemu stało się coś strasznego. Właściwie to tobie również. Dolg tak mówił, a on otrzymał wiadomość. Opowiedz mi o wszystkim, zanim skonam ze strachu!

I Erling opowiedział. O ruinach zamku Graben i o kamiennych tablicach, które teraz suszyły się na schodach werandy. O napadzie i jego katastrofalnych skutkach. I na koniec o swoim cudownym ocaleniu.

Kiedy skończył, Theresa siedziała długo bez słowa.

Potem rzekła:

— Jeśli dobrze to wszystko pojmuję, to Tiril nie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Oni chcą od niej uzyskać informacje. Dolg dowiedział się również, że jeśli o nią chodzi, to nie trzeba się aż tak strasznie śpieszyć. Ale Móri... Wiesz, Erlingu, taka jestem do niego przywiązana! On jest oparciem i radością życia mojej córki. Niewielu jest na świecie tak szlachetnych ludzi jak on. Gdyby umarł...

— Rozumiem — powiedział Erling cicho. — To nie może się stać! Tylko że ja, niestety, widziałem na własne oczy, jak przeszył go miecz.

Theresa zadrżała. W oczach miała łzy.

— Dolg otrzymał wiadomość, że niewidzialni towarzysze Móriego mogą go przez jakiś czas utrzymać przy życiu. Po części własnymi siłami, jeśli użyją wszystkich swoich umiejętności, a po części również dlatego, że on sam jako czarnoksiężnik przekroczył już kiedyś granicę krainy śmierci i dzięki temu trudniej go pokonać. Ale czas nagli!

— Powiniennem iść z Dolgiem. On jest taki mały.

— Otóż on wcale nie sprawiał wrażenia takiego małego, kiedy wyruszał w drogę — odparła Theresa. — I wyglądał na bardzo dobrze przygotowanego, Erlingu. A poza tym Cień go ochrania.

— Dokąd on poszedł?

— Nikt nie wie. Ale ja myślę...

— Tak?

— Ja myślę, że to ma coś wspólnego z błędnymi ognikami.

— Z błędnymi ognikami? — zdziwił się Erling. — Tiril również mówiła o błędnych ognikach. Miała sny i widzenia, ukazywało jej się bezkresne bagno z mnóstwem małych, tańczących niebieskich płomyków.

— Pamiętam — potwierdziła Theresa. — A ja powiedziałam wtedy, że to może być gaz błotny.

— Nikt nie wie, czym właściwie są błędne ogniki — rzekł Erling tonem człowieka, który dużo umie. Bardzo lubił móc się czasami popisać swoją erudycją. W ich małym kółku przyjaciół Erling bez wątpienia posiadał największą wiedzę książkową. — Zawsze miały wiele nazw. Już to samo świadczy, że ludzie nie bardzo zdają sobie sprawę, o co tu tak naprawdę chodzi. Co nieco jednak wiadomo. Niektórzy nazywają je światełkami elfów. My, Norwegowie, mówimy o nich latarnicy albo błędne ogniki, Szwedzi świetliki i także latarnicy oraz latarnice, rodzaj żeński. W Anglii to zjawisko nazywa się *will-o-the-wisp*, w Niemczech *Irrlicht* albo *Irrwisch*, po francusku *feu follet*. Po łacinie *ignis fatuus*.

— Ile ty rzeczy wiesz! — rzekła Theresa z podziwem.

Zadowolony Erling ciągnął dalej:

— Ale księżna pani nie była daleka od prawdy, mówiąc o gazie błotnym.

Theresa rozpromieniła się.

Erling jeszcze raz pośpiesznie wytarł włosy, po czym mówił dalej:

— To, co widzimy, to małe, niebieskie, chybotliwe płomyczki, które jakby skaczą po błotach, podmokłych terenach i bagniskach. Nauka uważa, że są to fosforyzujące gazy, może właśnie gaz błotny. W Norwegii właściwie się ich nie widuje, chociaż w baśniach i ludowych podaniach wiele się o nich mówi. Nauka twierdzi swoje, ale przecież w różnych ludowych opowieściach mamy całe orgie opisów tego rodzaju zjawisk i wyjaśnień, czym one są. Niektórzy powiadają, że

to dusze dzieci, które zmarły bez chrztu. Albo dusze ludzi, którzy swoimi złymi postępkami sprawili, że po śmierci nie mogą być ani w niebie, ani w piekle. One również mogą sprowadzać wędrowców na manowce i niebezpieczne ścieżki na bagnach. W niektórych krajach błędne ogniki uważa się za ostrzeżenie przed śmiercią. Inna wersja głosi, że kiedy księżyc znajduje się w określonej pozycji, a wiatr wieje z określonej strony i wtedy przyjdzie na świat taki bagienny latarnik, to musi on ukryć się w duszy człowieka i sprowadzać go na złe ścieżki. Jeśli mu się to nie uda, wraca na bagna i chroni się w zbutwiałym drzewie. Znanym przykładem był mnich Rush, który zaczynał jako zły uwodziciel, a potem był bardzo sympatycznym krasnoludkiem w pewnym dworze. Nie poszedł ani do piekła, ani do nieba, lecz stał się błędnym ognikiem na bagnach. W niektórych krajach mówi się, że ogniki to karły z latarenkami.

— Och, drogi Erlingu, ty naprawdę jesteś uczony!

Uśmiechnął się mile połączony.

— Od dawna wiedziałem trochę o błędnych ognikach, większość informacji zdobyłem jednak tutaj. Zebrałem je wszystkie przed naszym wyjazdem. Kiedy Tiril powiedziała, że zarówno ona, jak i Dolg widują błędne ogniki w snach albo mają takie widzenia, zacząłem szukać w pani przebogatej bibliotece, księżno.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Tak, dostałam sporo książek od brata. Czy ty wiesz, Erlingu, że w Wiedniu, w Hofburgu, znajduje się jedna z największych bibliotek na świecie? Liczy sobie co najmniej milion tomów, w tym osiem tysięcy inkunabułów i blisko trzydzieści tysięcy dzieł pisanych ręcznie, niezliczone ilości map i setki papirusowych zwojów.

— Oj! — jęknął Erling. — Wspaniale byłoby spędzić tam kilka dni. A przy okazji, co to są inkunabuły?

— To książki drukowane przed rokiem tysiąc pięćset pierwszym. Ale, Erlingu, zagadaliśmy się o błędnych ognikach i o książkach, a tymczasem musimy się jak najprędzej zastanowić, co robić, żeby pomóc naszym drogim.

Erling długo myślał.

— Ja otrzymałem bardzo stanowczą informację, że moje miejsce jest tutaj. I nie pomogły protesty ani zapewnienia, że chciałbym pomóc przyjacielom. Dolg zajmie się Mórim, a zresztą i tak, gdybyśmy nawet wyruszyli natychmiast, dojedziemy do niego za późno. Żaden zwyczajny śmiertelnik nie jest w stanie pomóc Móriemu, to oboje rozumiemy, prawda? Jedyne dla Tiril moglibyśmy może coś zrobić, pozostaje tylko pytanie, co?

— Jak myślisz, gdzie ona się znajduje?

— To wie tylko kardynał von Graben. To jego lokaje na nas napadli.

— Powinniśmy zatem pojechać do Sankt Gallen?

Erling skinął głową.

— Nie mamy jednak dość ludzi, by zorganizować skuteczny najazd na siedzibę kardynała. Wie pani, co ja myślę, księżno? Że powinniśmy czekać tutaj. Czekać na powrót dzieci. Tylko Dolg ma możliwość rozwiązania problemu.

— To prawda — rzekła w zamyśleniu księżna. — Ale tak strasznie trudno jest siedzieć z założonymi rękami. Tak bardzo chciałabym móc działać!

— Ja także chciałabym coś robić. I ciągle się zastanawiam, dlaczego zostałem usunięty z miejsca wypadku i przeniesiony bezpośrednio tutaj.

Theresa uśmiechnęła się blado.

— No, z pewnością jedną z przyczyn jest ulga, jaką mi sprawia twoja obecność w Theresenhof. Nie znajduję słów, żeby ją wyrazić. Drugim powodem mogą być te kamienne tablice, które powinny były znaleźć się w bezpiecznym miejscu, a nie utonąć w jakiejś rzece.

— Tak, to na pewno jest ważny powód — zgodził się Erling, odkładając ręcznik. Uznał, że jego włosy są już całkiem suche. — Nie zdążyliśmy dokładnie odczytać wszystkiego, co znajduje się na tablicach, tylko najwyraźniejsze napisy, jak na przykład nazwiska wielkich mistrzów. Jest tam z pewnością dużo więcej informacji, które warto by przestudiować. Tylko że teraz musimy poczekać, aż tablice wyschną.

— Wprost przeciwnie — zaproponowała księżna. — Wzór ryty w kamieniu staje się pod wpływem wilgoci bardziej czytelny. Przyjrzyjmy się tablicom, będzie to przynajmniej jakieś pożyteczne zajęcie!

Księżna wstała.

— Chodź, Nero, idziemy na dwór! Och, nie ma przecież, Nera, wciąż o tym zapominam! Bardzośmy się zaprzyjaźnili, Nero i ja, bez niego dom wydaje się taki pusty! Nie mówiąc już o tym, jak strasznie tęsknię za dziećmi.

Zeszli po schodach werandy do kamiennej księgi.

— Jest jeszcze dość jasno, możemy pracować na dworze, jeśli, oczywiście, nie marzniesz za bardzo?

Erling zapewnił, że nie. Służący przyniósł futrzane narzuty, żeby mieli na czym siedzieć, i zabrali się oboje do studiowania napisów na kamiennych tablicach, tym razem znacznie bardziej uważnego, niż to było możliwe na skalnej półce.

— Sami źli wielcy mistrzowie, powiadasz? — zapytała Theresa.

— Nie zdołaliśmy odcyfrować napisów na wszystkich płytach. Ale w tych, które udało nam się odczytać, przeważają określenia „zły”, „okrutny”, „diabelski” i tak dalej. Wiele nazwisk nic nam nie mówi, ale wiele jest też postaci historycznych. Najstraszniejsze odkrycie to Tomas de Torquemada.

— O, nie! — zawołała Theresa zdjeta dreszczem grozy. Wiesz, Erlingu, ja jestem głęboko wierzącą katoliczką, nie wątpię, że większość członków naszego Kościoła to wspaniali, szlachetni i bogobojni ludzie. Ale mieliśmy też różne, że tak powiem, czarne owce. Torquemada należał do najpotworniejszych. Podobny

jest kardynał von Graben. I niestety, wygląda na to, że miłość mojej młodości, obecny biskup Engelbert, który bez powodzenia zabiega o kardynalski kapelusz, wcale nie jest o wiele lepszy.

— Ja myślę, że biskup Engelbert nie jest taki bardzo zły — rzekł w zadumie Erling.

— Tak, i nie o to mi chodzi. On jest tylko niewybaczalnie słaby i pozbawiony charakteru, a przez to służy złu. No, to czytamy, zobaczymy, co tam znajdziemy!

Nie posunęli się zbyt daleko w swoich próbach tłumaczenia napisów na tablicach, gdy zauważyli coś dziwnego i budzącego grozę. Najpierw Theresa zwróciła uwagę, że raz po raz w powietrzu nad ich głowami pojawia się coś ciemnego i niewyraźnego, jakby cienie przelatujących o zmierzchu ptaków.

Erling uspokajał ją, że może zaproszyła sobie oko i łzawi, ale wkrótce potem on sam doświadczył tego samego.

— Te cienie zacierają jakby ku głównej drodze — powiedział marszcząc brwi.

— Mnie się też tak zdawało, a oboje nie mogliśmy sobie zaproszyć oczu.

— Nie, oczywiście, że nie — odpad Erling jakby nieobecny myślami.

Ujął kolejną kamienną płytę i owo dziwne zjawisko powtórzyło się. Erling i Theresa spoglądali na siebie, nie będąc w stanie pojąć, co się dzieje.

— Czy tam na skale również doświadczałeś czegoś podobnego? — zapytała Theresa. — Wtedy, gdy po raz pierwszy odczytywaliście inskrypcje.

— Nie, ale mieliśmy przecież...

Umilkł, a Theresa dokończyła przerwane zdanie:

— Mieliście ze sobą potężnego czarnoksiężnika Móriego. I wszystkich jego niewidzialnych towarzyszy. My zaś jesteśmy tylko dwojgiem zwyczajnych, słabych ludzi. Erling, mnie się zdaje, że nie powinniśmy dłużej przyglądać się tym tablicom.

On wciąż był pogrążony we własnych myślach.

— „Śpiący wielcy mistrzowie...” Może my ich budzimy?

Theresa głęboko wciągnęła powietrze.

— O tym samym pomyślałam! Nie ruszaj więcej tych płyt! Zaraz przyniosę z mojej kapliczki krzyż i inne święte przedmioty.

— Tak, proszę to zrobić — rzekł Erling z przekonaniem. — Chociaż...

— Chociaż co?

— Jest przecież wśród nich człowiek Kościoła. Tomas de Torquemada.

— On nam nie pomoże. Nie sądzę, by to był prawdziwy człowiek Boży.

— Nie, raczej wprost przeciwnie! Pośpiesz się! Erling nie zauważył nawet, że zwraca się do księżnej per ty. Ona też się nad tym nie zastanawiała. Pobiegnęła



do kaplicy i wróciła bardzo szybko, niosąc figurkę Madonny, kilka krucyfiksów i jakieś liturgiczne szaty.

— Nie chcę, żeby te tablice znalazły się pod dachem mojego domu — szepnęła. — Niech zostaną tutaj. Nie odważyłabym się ich więcej dotknąć. To rozsądne postanowienie — przyznał Erling. Pomagali sobie nawzajem w próbach unieszkodliwienia tablic wielkich mistrzów, używając tych remediów, jakie mieli pod ręką. Erling odnosił wrażenie, że coś wije się wściekłe i miota pomiędzy kamiennymi płytami, ale to chyba wpływ atmosfery, jaka się wytworzyła.

Kiedy zrobili już wszystko, co mogli, a kamienna księga została okryta kościelnym obrusem i ornatem, otoczona krzyżami i poddana łagodnemu nadzorowi figurki Marii Panny, Theresa odetchnęła głęboko.

— Erlingu. . . Ile tablic obejrzelśmy, zanim zaczęło się dziać to. . . ?

— Cóż — zaczął, poprawiając ornat, by jak najlepiej okrywał kamienną księgę. — Przeskakiwaliśmy od jednej do drugiej, tam i z powrotem. Ale pamiętam, że zauważyłem to zjawisko, kiedy chcieliśmy odczytać inskrypcje na jednej z najstarszych tablic wapiennych. Nie udało nam się to.

— No właśnie — potwierdziła Theresa. — A ja pamiętam, że po raz pierwszy doznałam zaburzeń wzroku, kiedy sięgnęłam po tablicę poprzednią, również z wapienia. Napisu nie można było odczytać. Ale widzieliśmy wiele cieni, które znikwały nad doliną, odlatując w kierunku głównej drogi.

— Owszem — zgodził się Erling. — Próbuję sobie przypomnieć, jak to było. Płyty Ordogno nie zdążyliśmy obejrzeć. Bo widzisz, Ordogno Zły jest postacią kluczową. Och, przepraszam, proszę mi wybaczyć, taki jestem tym wszystkim oszołomiony! Widzi księżna, chciałem powiedzieć.

— Nie, Erlingu — rzekła Theresa z uśmiechem. — Pozwalam ci mówić do mnie ty. Jako dobremu przyjacielowi. A mam takich zbyt mało. Tytuł ksiązęcy powoduje, że człowiek żyje niczym w klatce.

Erling ujął jej dłoń, pochylił się i ucałował z uszanowaniem.

— Dziękuję, Thereso! Nigdy nie nadużyję twojej przyjaźni.

Ona uśmiechnęła się jakby sama do siebie i zaczęła wchodzić po schodach na werandę, jak najdalej od strasznych kamiennych tablic.

— Powiadasz zatem, że Ordogno jest kluczową postacią?

— Tak. On był pierwszym wśród wielkich mistrzów nowszych czasów. To on musiał zostawić inskrypcje wyryte w kamieniu. „Kamień Ordogno”. Myśleliśmy, że inskrypcja na tym kamieniu zawiera informacje na temat dawnej reguły Zakonu. Ale zaginęła informacja, gdzie się znajdują kamienne tablice. Zaginęła wraz z Tiersteinami z Tiveden.

— Ja ich teraz nie widziałam. Znaczą ich tablic.

— Nie, nie dotarliśmy tak daleko. To zresztą i tak nie miałoby żadnego znaczenia, nawet gdybyśmy zdążyli je obejrzeć, w każdym razie w odniesieniu do

najmłodszego hrabiego von Tierstein. Bo on został kompletnie unicestwiony tam-tym razem, kiedy go widzieliśmy, nie zostało z niego nic.

— Świetnie! Ale wiesz, zdaje mi się, że widziałam nazwisko Guilelmo na jednej z tablic.

— Guilelmo Zły z Neapolu, tak. Ja też widziałem to nazwisko.

— To znaczy, że go uwolniliśmy?

— Nie wiemy przecież na pewno, co się właściwie stało. W ogóle wiemy tak rozpaczliwie mało. Ale tam w górach, zaraz na początku, Tiril zdążyła policzyć kamienne tablice. Naliczyła ich dwadzieścia cztery. Mniej więcej połowa była zniszczona albo nie potrafiliśmy odczytać napisów. A teraz za żadne skarby nie odważę się ich ponownie dotknąć.

— Ja też nie — powiedziała Theresa z drżeniem. — Ale co się działo po tym, gdy tablice zniknęły wraz z mnichem około roku tysiąc pięćsetnego aż do czasów kardynała von Graben, który żyje obecnie?

— Nie wiemy. Nie mamy pojęcia, czy Zakon egzystował przez cały czas, czy też zdarzały się martwe okresy, raz albo kilkakrotnie. Wciąż staram się przypomnieć sobie, ile tych falujących cieni uleciało znad schodów i zniknęło ponad doliną. Ja chyba widziałem trzy.

— A ja cztery — dodała Theresa. — A ponieważ wiemy, że ja widziałam więcej niż ty, możemy mieć nadzieję, że uwolniliśmy tylko cztery duchy? Nie, zaczekaj, na samym końcu był jeszcze jeden. . .

— Zgadza się — rzekł Erling. — To się wydarzyło dwukrotnie przy nieczytelnych inskrypcjach, raz przy Guilelmo Złym, i raz. . . Nie, to był jeszcze jeden nieczytelny napis. I mówisz, że na koniec jeszcze raz?

— Tak, przy tej najnowszej płycie.

Erling zastanawiał się.

— To nie mógł być mnich Wilfred von Graben. My i towarzysze Móriego usunęliśmy go jeszcze w górach. On już nie istnieje, nawet jako upiór. To musiał być. . .

Oboje, pobledli, patrzyli na siebie w milczeniu.

— To musiał być przedostatni — stwierdziła w końcu Theresa bezbarwnym głosem.

— Tomas de Torquemada — wyszeptał Erling.

Długo jeszcze stali na schodach, a coraz zimniejszy wiatr owiewał ich twarze.

— A zatem pięciu — uznał ostatecznie Erling. — O ile nasze domysły są słuszne, uwolniliśmy ich duchy. Duchy pięciu wielkich mistrzów najbardziej odpychającego zakonu. Ale chodź, wejdźmy do środka. Zaczyna być naprawdę zimno!

Księżna skinęła głową.

— Wydam zakaz zbliżania się komukolwiek do schodów, dopóki tablice nie zostaną stąd usunięte. Niezależnie od tego, kiedy się to stanie.

Erling otworzył przed nią drzwi i, gdy wchodziła, opiekuńczym gestem uniósł rękę nad jej ramionami, ale ich nie dotknął. Ona leciutko skłoniła głowę, dziękując mu za rycerskie zachowanie.

Na progu odwróciła się w stronę ogrodu, nad którym zapadał mrok.

— Zaraz wszędzie księżyc — stwierdziła. — Biedne dzieci! Noc się zbliża, a one błąkają się same nie wiadomo gdzie.

## Rozdział 3

Kardynał von Graben, który wyraźnie ożył na wieść o tym, że Tiril i jej przyjaciele wyruszyli w drogę, siedział we wspaniałej sali audiencyjnej i bębnił palcami w oparcie fotela. Był to niezwykle piękny fotel, przypominał tron, mebel naprawdę godny kardynała. Poza tym sala urządzona była na ciemno, sprzętami z kosztownego drewna ze złotymi skórzanymi obiciami, z portretów na ścianach spoglądały w dół ponure twarze.

Kardynał czekał. Czterej ludzie, których wysłał w pościg za tą niezdolną Tiril i jej kompanami, nie dali jeszcze znaku życia.

On sam przez całe lata przeszukiwał zamek Der Graben i nie znalazł najmniejszego śladu po dawnych wielkich mistrzach ani niczego, co mogłoby go naprowadzić na ślad tajemnicy Świętego Słońca.

Teraz czekał z taką niecierpliwością, że oddychając wciągał powietrze ze świstem. Już tak dawno temu wyruszyli, ci czterej. . .

Dlaczego ciągle coś stawia mu opór? Nic mu się nie udaje, a przecież jego życie definitywnie zaczyna się zbliżać do końca. Zaledwie parę tygodni temu był umierający. I tylko wiadomość o trzech jeźdźcach znajdujących się w drodze na zachód poruszyła w nim soki życiowe.

Mimo wszystko wiedział aż za dobrze, że jeśli chodzi o niego, to czas nagli.

Te sępy tylko czekają na jego śmierć!

Brat Lorenzo i biskup Engelbert, ten zdrajca. A z pewnością jeszcze wielu innych.

Kanonik czuwający przy drzwiach zameldował przybycie brata Lorenza.

Starzejący się już wyraźnie Włoch wszedł lekko się kołyszając. Jego oczy pałały triumfalnie.

— Wasza eminencjo. . . Moim ludziom się powiodło. Przyprawdzili ze sobą Tiril Dahl.

Kardynał zerwał się szybciej, niż mu siły pozwalały, i musiał się przytrzymać oparcia fotela.

— Naprawdę? Czy to możliwe? Po tych wszystkich latach?

Dopiero po chwili zwrócił uwagę na pewien niuans w słowach Lorenza i rzekł cierpko:

— Twoim ludziom? To przecież moi ludzie ścigali tę trójkę.

Lorenzo wyprężył się. Jego wzrok stał się lodowaty.

— Cofa pan dane słowo, wasza wysokość? Ten z nas, bratanek waszej wysokości albo ja, który pierwszy sprowadzi tu ściganą kobietę, zostanie waszym następcą jako wielki mistrz. Co prawda to są podwładni waszej wysokości ci czterej ścigający, ale to ja ich wysłałem! Wasza wysokość nie wydał żadnego rozkazu, w każdym razie ja go nie słyszałem. Nie zrobił też tego biskup Engelbert, który z pewnością nadal zastanawia się nad tym, jak postąpić, by przejąć pościg za Tiril Dahl i dwoma cudzoziemcami.

Kardynał machnął niecierpliwie ręką.

— O tym porozmawiamy później. Gdzie ona jest? W żadnym razie nie wolno jej sprowadzać tutaj. To by była katastrofa.

Ze specjalnym naciskiem na każde wypowiedane słowo Lorenzo oznajmił:

— Moi ludzie wtrącili ją do lochu pod zamkiem brata Gastona, wasza eminencko.

— Znakomicie! — Oblicze kardynała wyrażało wielki wysiłek intelektualny pomieszany ze złośliwą radością.

— Ona nie może zobaczyć ani mnie, ani Engelberta. Na tobie spoczywa obowiązek przesłuchania jej, Lorenzo. Jeśli ci się to nie uda, możesz się pożegnać z tytułem wielkiego mistrza.

Twarz Lorenza stała się twarda niczym kamień.

— Proszę na mnie polegać. Ja dobrze wiem, jak wydobyć informacje od kobiety. Ale wasza eminencko wciąż nie orientuje się, czego jeszcze moi ludzie dokonali.

— Mów zaraz! Co się stało z tamtymi dwoma? Z czarownikiem i tym norweskim kupcem. I znaleźli coś w Der Graben?

Lorenzo wyglądał na wielce zadowolonego.

— Czarownik nie żyje, wasza wysokość. Został przebity mieczem i ukryty pod leśną ściółką. Norwega strącili z niewiarygodnie wysokiej skały. Nikt by nie przeżył takiego upadku. Ale wasza eminencko się przez cały czas mylił. Szukał w niewłaściwym miejscu. A trójka cudzoziemców szła prosto tam, gdzie trzeba. To ruiny zamku Graben w kantonie Aargau, a nie Der Graben w kantonie Zurych.

— Co takiego?! Było jeszcze jedno miejsce? Ale jakim sposobem mogli iść wprost do niego? Tak od pierwszego razu? Skąd wiedzieli? Ja przecież szukałem przez całe życie!

— Myślę, że oni mieli naszyjnik. I że odnaleźli inskrypcję na łańcuszku.

— Tak. Zbyt późno powiedział mi ten głupawy Engelbert, że na naszyjniku znajdują się dziwne znaki, przypominające litery. A wtedy on już klejnotu nie miał, dał go swojej kochance, księżnej Theresie. Ta zaś przekazała go dalej, swojej

córcę, Tiril Dahl. Przeklęte babska! Naszyjnik znajdował się w posiadaniu mnicha Wilfreda von Graben. . . Byłem przekonany, że on ukrył go w Der Graben. Tyle straconych lat! No, a co oni tam znaleźli w tym Graben w kantonie Aargau? Szybko! Opowiadaj!

— Nic, wasza eminencjo! Nic, oprócz przeciętego na pół szkieletu.

— To szkielet mnicha! Bez wątpienia to mnich.

— Ale moi ludzie, zanim napadli na tych troje, śledzili ich przez jakiś czas. Otóż oni stali długo w pobliżu ruin i oglądali coś, co przypominało kamienne tablice.

— Co? Co ty mówisz? Musimy je zdobyć za wszelką cenę! One zawierają rozwiązanie zagadki.

Lorenzo wzruszył ramionami.

— Ten norweski kupiec zapakował je do swego plecaka.

Eminencja wbił w niego wzrok.

— I rozbiły się na tysiące kawałków, kiedy razem z kupcem zostały zrzucone z góry?

— Prawdopodobnie.

Twarz kardynała zrobiła się ciemnoczerwona.

— Dlaczego jeszcze nie wysłałeś innych ludzi, by szukali u podnóża góry? Skoro były wykonane z kamienia, to może chociaż kilka ocalało.

— Wydam polecenie natychmiastowego wyjazdu — rzekł Lorenzo niechętnie. W drzwiach ponownie stanął kanonik.

— Co tam znowu? — spytał kardynał ze złością.

— Nowe wiadomości. Posłaniec waszej eminencji z Austrii.

— Niech wejdzie!

Jeszcze jeden mężczyzna, bez wątpienia brat zakonny, bowiem jego przetykana złotem bluza miała na sobie znak promienistego słońca, wszedł do sali. Poruszał się z wielką godnością i pewnością siebie.

— *Gruss Gott*, bracie Johannesie — powitał go kardynał. — Jakie wiadomości przynosisz?

— Pędziłem tu co koń wyskoczy. Coś się dzieje w Kärnten.

— Wiem o tym — odparł kardynał. — Pragniesz mi powiedzieć, że troje z tych, których poszukujemy, udało się na zachód, prawda? Ale ja już o tym wiem. Przybywasz za późno.

— To stara wiadomość i dawno się upewniłem, że dotarła do waszej eminencji — odrzekł brat Johannes z godnością. — Nie, ja mam do zakomunikowania coś całkiem innego. Otóż kilkoro wędrowców zmierza na północny wschód, ku wielkim bagnetom. A są to dziwni wędrowcy, wasza eminencjo. Troje dzieci i pies, a towarzyszy im cień z tamtego świata.

— I co to nas może obchodzić?

— Zgodnie z tym, co mi powiedziano, troje malców to dzieci islandzkiego czarnoksiężnika i Tiril Dahl. Natychmiast rozkazałem bratu Alexandrowi i bratu Ottonowi, żeby się tam udali. Mają ze sobą ludzi, każdy trzech, a sam bez chwili zwłoki pospieszyłem tutaj.

— Co dzieci robią same poza domem?

— Wasza eminencja wie, że stare pisma Zakonu Świętego Słońca wspominają o bagnach, o wielkich bagnach, choć nigdy nie zostało wyjaśnione, jakie znaczenie te bagna mają.

— Oczywiście, bracie Johannesie! Ilu ludzi tam posłałeś? Dobierz sobie jeszcze, ilu ci będzie trzeba, i okrąż dzieciaki! Zabić je natychmiast! Nie potrzebujemy tu tego pomiotu czarnoksiężnika!

Johannes wahał się.

— Powiadają, że najstarszy z dzieci nie jest z tego świata.

— Co za bzdury! A kimże on jest? Aniołem może?

— To już raczej przeciwnie. Nie, diabłem też nie. Ludzie uważają podobno, że należy do rodu elfów.

Kardynał prychnął ze złością, a Lorenzo uśmiechnął się pogardliwie.

— Boisz się dziecka, Johannesie?

— Oczywiście, że nie! Jestem gotowy, mogę natychmiast ruszać w drogę powrotną. Pomkniemy niczym wichurę ku rozległym bagnetom. Jeśli nie uda nam się nic więcej, to możemy przynajmniej odciąć tym szczeniakom drogę tak, że nigdy już nie wrócą do domu.

— Znakomicie!

Po jego wyjściu kardynał usiadł i zaczął się zastanawiać.

— Wielkie bagna — powiedział sam do siebie półgłosem. — Dlaczego w kronikach nie ma nic więcej na ich temat?

Przeszedł do mniejszego pokoju obok wielkiej sali audiencyjnej, do którego nikt nie miał wstępu, i z dobrze zamkniętej szafy wyjął bardzo grubą księgę w czerwonej oprawie. Tę księgę, którą Islandczycy nazywali „Rödskinna”.

Pergaminowe arkusze były niezwykle cienkie. Dziwne litery wydawały się niezrozumiałe, tylko kardynał potrafił je tłumaczyć.

Nie była to „Rödskinna” biskupa Gottskalka Złego. Tamta w roku 1520 znalazła się wraz z islandzkim biskupem w grobie. Obie jednak były prawie identyczne, ponieważ łączyło je pochodzenie. Istniała tylko jedna różnica: podczas gdy islandzka „Rödskinna” zawierała runy i wiedzę odpowiednią dla dalekiej wyspy na Północnym Atlantyku, to księga kardynała została napisana po francusku, w języku, którym on władał biegle. Także i ta księga zawierała różne magiczne formułki, ale nie było ich nawet w połowie tak dużo jak w islandzkiej. Natomiast umieszczono w niej liczne tajemnice i wiedzę na temat Zakonu Świętego Słońca.

Obie jednak zostały spisane w tym samym czasie i w tym samym miejscu. W Czarnej Szkole na Sorbonie, pod koniec piętnastego wieku. Została w nich

zgromadzona dawna wiedza, a spisywanie obu nadzorował jeden człowiek. Był to najbardziej nieprzejednany przedstawiciel inkwizycji, dominikanin, Tomas de Torquemada. Kierował pracami ze swojej siedziby w Hiszpanii.

Od niego właśnie nauczył się wiele urodzony w Norwegii biskup Gottskalk. Równocześnie z Gottskalkiem tajemne sztuki studiował inny uczeń Torquemady, zakonnik Wilfred von Graben.

Ponieważ Gottskalk obrał sobie za siedzibę Islandię, nie liczył się jako kandydat na wielkiego mistrza Zakonu Świętego Słońca, choć był jego rycerzem. Natomiast inny rycerz, Wilfred von Graben, przewidująco osiedlił się w Szwajcarii. I to on został następcą Torquemady na stanowisku wielkiego mistrza i on także otrzymał księgę o tajemnicach Słońca.

Zirytowany kardynał von Graben niecierpliwie kartkował księgę. Wiedział, że wspomina się w niej o wielkich bagnach, ale gdzie?

Szukał niestrudzenie. Tutaj jest informacja o naszyjniku, którego bezskutecznie poszukiwał przez tyle lat. Dalej informacja o trzech częściach klucza Tiersteinów. Tych części zresztą także bracia zakonni kardynała nie znaleźli. Wspomniano o kamieniu Ordogno, ale nic na temat wyrytych na nim run. I ten kamień nie został odnaleziony.

No! Tutaj jest rozdział, w którym mowa o wielkich bagnach. . .

Kardynał von Graben wpatrywał się krótkowzrocznymi oczyma w księgę. Że też ktoś wpadł na pomysł pisania takimi maleńkimi literami! Za czasów jego młodości litery nie były takie małe!

Szczerze mówiąc na temat bagnisk nie znalazł zbyt wielu informacji.

Rozczarowany kardynał rozprostował plecy.

Wszystko, co znalazł, to słowa:

*Les feux sainsent, quand l'heure est venue.*

„Błędne ogniki wiedzą, kiedy nadejdzie odpowiednia pora”.

Nie mówiło mu to kompletnie nic.



## Rozdział 4

Księżyc stał nisko nad wymarłą krainą, kiedy Cień obudził Dolga. Tak nisko, że jakieś pooblamywane nędzne drzewo rysowało się na tle jego zimnej żółtawej tarczy.

Chłopiec ocknął się natychmiast.

Zebrał wszystko, co musiał mieć ze sobą w drodze, poruszał się spokojnie i bezgłośnie, wykonał najprostszą z możliwych poranną toaletę, przemył oczy, przeczesał grzebieniem swoje czarne, kędzierzawe włosy. Wtedy Cień dał znak, że powinien coś zjeść i wypić, a także zatroszczyć się o odpowiednio ciepłe ubranie, po czym mogli ruszać.

Dolg rzucił okiem na śpiącego Nera.

— Chętnie bym go ze sobą zabrał — powiedział szeptem, żeby nie budzić rodzeństwa.

— Nie — odparł Cień swoim ostrym, dalekim głosem. — Pies został oszołomiony. Dla jego własnego dobra lepiej będzie, żeby został tutaj.

— Groziłoby mu niebezpieczeństwo, gdyby poszedł z nami.

— Tak.

— W takim razie niech sobie śpi pod tą wiszącą skałą. Oni będą tutaj bezpieczni, prawda? Wszyscy troje.

— Czuwają nad nimi silne moce, nikt ich tu nie zobaczy. Zimno także im nie będzie. Chodź, idziemy!

Głos brzmiał surowo. Ale słysząc też w nim było delikatne tony czułości.

Ruszyli. Dolg dreptał obok Cienia, żeby nie czuć się tak rozpaczliwie samotny.

Odgłos jego kroków tłumiała gęsta trawa. Kroków Cienia nie było, rzecz jasna, w ogóle słysząc.

Łąki wokół przybrały w świetle księżyca niebieskawą barwę, księżyc zaś ciągle trwał nisko nad horyzontem, jakby całkiem nie miał ambicji wzniesienia się wyżej na nieboskłonie. Coraz trudniej było rozróżnić jakieś elementy krajobrazu. Znajdowały się tutaj drzewa, ale wyglądały beznadziejnie chorobliwie na tym podmokłym gruncie, w oddali otoczone dziwną mgłą majaczyły wysokie góry. Nocny wiatr zaczynał się dawać Dolgowi we znaki, przenikał go do szpiku kości.

— Dokąd my idziemy? — zapytał chłopiec.

— Na bagna za tamtymi wzniesieniami, tam, przed nami.

— A tak, widzieliśmy bagna z daleka, kiedy tutaj szliśmy — przypomniał sobie Dolg. — Wybacz mi, jeśli się naprzykrzam, ale bardzo bym chciał wiedzieć, na czym ma polegać moje zadanie.

— Gdybyś wiedział, nie chciałbyś iść dalej. Takich rzeczy lepiej nie wiedzieć.

— Nie brzmi to zbyt pocieszająco.

— Nie, ale przecież chcesz uratować swego tatę, prawda?

— Jasne, oczywiście!

— No to idziemy!

Przez chwilę szli w milczeniu. Dolg stwierdził, że otoczenie zaczyna się zmieniać. Było tak, jakby na bagnach kładła się barwa śmierci. Im bliżej mokradeł się znajdowali, tym bardziej wszystko zdawało się wymarłe, przerażające. Nagie skały, które mijali, były śliskie od deszczu, jaki niedawno musiał tu padać. Dolg miał wrażenie, że zbliżają się do jakiejś nie mającej końca ani początku krainy będącej absolutną nicością.

Nagle przystanął. Okrążyli ostatnie wzniesienie i teraz przed nimi jak okiem sięgnąć rozciągały się bagna.

— O rany — wyszeptał urzeczony.

Cień zatrzymał się również. Obserwował reakcję chłopca.

Powierzchnia bagna nie była równa. To tu, to tam wznosiły się niewielkie wzgórza, gdzie indziej znowu błota przecinały niezbyt głębokie rozpadliny, tu i ówdzie sterczały też pojedyncze głazy, a na porośniętych trawą kępach i wysepkach widziało się rachityczne drzewa i krzewy, bezradne i przejmująco samotne. Nie uległo jednak wątpliwości, że znajdują się na mokradłach.

Ale nie ten krajobraz o chorobliwym wyglądzie pochłaniał uwagę Dolga.

— Ja już tu kiedyś byłem — wyszeptał. — W snach i w widzeniach.. Błędne ogniki... One są tutaj właśnie.

Na całym bagiennym obszarze, zwłaszcza jednak tu gdzie szli, na ciężkich, mokrych błotach rozbłyskiwały małe, niebieskawe światełka. Dolg uśmiechał się sam do siebie. Czy one nie przypominają tańczących latarenek, może przenoszonych przez karły, które skaczą z jednej kępy trawy na drugą?

Księżyc nadal wisiał tak samo nisko jak przedtem. Jakby przestraszony spoglądał przed siebie pomiędzy dwoma wzniesieniami po prawej stronie błot.

Dolg spojrzął w górę na Cienia i uśmiechnął się znowu.

— Tutaj jest pięknie — powiedział swoim cienkim, chłopięcym jeszcze głosem. — Ponuro, ale pięknie. Bardzo lubię te światełka.

— I one ciebie też chyba lubią — odparł Cień sucho. — Byłem tutaj dopiero co, żeby zbadać teren. Wtedy ogniki były bardzo spokojne, niemal wypalone. Zrezygnowane, jakby musiały czekać już nazbyt długo. A popatrz na nie teraz!

Rozkołysane, tańczące, dosłownie buchające płomieniem, i takie niebieskie! To jest ich godzina, Dolg! To na ciebie one czekały. Tysiące lat.

— Na mnie? — zapytał chłopiec ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie rozumiem, co mógłbym zrobić?

— Przyjdzie czas, to zrozumiesz, mój piękny chłopcze — uspokoił go Cień. Nagle Cień odwrócił się do Dolga.

Po raz pierwszy w życiu chłopiec zobaczył coś, co tej mglistej, szarej postaci, która była jego nieznanym opiekunem, Cieniem, przypominało oczy. Twarde, surowe, połyskujące lodowato oczy wpatrywały się weń intensywnie.

Głos był ostrzejszy i bardziej przerażający niż kiedykolwiek.

— Dolgu z islandzkiego rodu czarnoksiężników... Droga, którą pójdziesz, będzie trudna. Nawet ja nie znam jej dokładnie, nawet ja nie wiem, co się ma stać. Ale trochę wiem, i będę z tobą niemal do samego końca, będę cię wspierał i pomagał ci na wszystkie sposoby. O jedno chciałbym cię teraz prosić... Jak najbardziej stanowczo i z całą powagą: Nie dawaj mi nigdy tego, czego od ciebie zażądam! Nigdy! Będę cię straszył i groził ci, ale ty nie ustępuj! Nie wolno ci spełnić moich żądań. Zrozumiałeś tę prośbę?

Dolg czuł się rozpaczliwie samotny.

— Tak, ale dlaczego?

— To, co będzie twoje, nie jest dla mnie.

— Słyszę smutek w twoim głosie — rzekł Dolg współczująco. — A nie chciałbym, żebyś się martwił. Ale zapamiętam, co mi powiedziałeś.

— Dziękuję! W takim razie możemy iść dalej.

— Możemy iść, ale dokąd?

— Ogniki wskażą ci drogę.

— Mówi się jednak, że one sprowadzają wędrowców na błędne ścieżki, wciągają ich na bagna, wiodą na zatracenie.

— Mówi się jeszcze więcej. Błędne ogniki sprowadzają też ludzi na błędne drogi życia tak, że na zatracenie idą ich dusze. Ale nic z tego nie odnosi się do ciebie, Dolgu. Tego, na którego czekały przez tysiące lat, nie zwiódą na manowce. Bardzo chcą wskazywać ci właściwą drogę.

Dolg chciał zapytać o więcej spraw, ale domyślał się, że nie dostanie odpowiedzi. Z wahaniem postawił stopę na porośniętej mchem, nierównej bagnistej ziemi, obok połyskiwały czarno niebezpieczne głębokie pomiędzy kępami traw i wzniesieniami.

Powoli jednak cofnął nogę, wciąż jeszcze nie czuł się gotowy.

Popatrzył na księżyc, który rzucał na ziemię słabe, mistyczne światło, na pół ukryty we mgle unoszącej się nad bagnami.

— Zawsze lubiłem księżyc — powiedział w rozmarzeniu. — On jest jak posłaniec, przynosi wiadomości, łączy ludzi.

— Jak to? — zapytał niepewnie głęboki, głuchy głos.

— Jeśli masz przyjaciela, który znajduje się daleko od ciebie... To możesz popatrzeć na księżyc i pomyśleć, że twój przyjaciel też na niego patrzy. W ten sposób nawiązuje się więź pomiędzy twoimi oczyma a oczyma twojego przyjaciela. Rozumiesz mnie?

— Tak. Ale księżyc łączy też różne epoki.

— W jaki sposób? — zdziwił się Dolg.

— Bo przecież on świeci od zawsze, całą wieczność. Ludzie, którzy żyli u zarańca czasu, widzieli ten sam księżyc, co my teraz.

— Och, to cudowne! — ucieszył się Dolg. Ale zaraz twarz mu posmutniała. — Pomyślałem sobie, że może akurat teraz mama widzi księżyc. Myślisz, że on mógłby przesłać jej wiadomość ode mnie?

— Spróbuj!

Dolg wciągnął głęboko powietrze i powiedział stanowczo, choć cokolwiek zdyszany:

— Kochany księżycu, ty, który świecisz na wszystkich... przekaż pozdrowienia mojej mamie, Tiril! Ona została pojmana przez złych ludzi i nie wiem, gdzie się teraz znajduje. Ale ty to wiesz i być może nawet teraz na nią patrzysz. Jeśli siedzi gdzieś zamknięta w jakimś lochu, pošlij jeden mały promień, który się do niej przedostanie i przekona ją, że nie mamy zamiaru jej zawieść. Powiedz jej, że najpierw musimy odnaleźć tatę i pomóc mu. Myślę, że ona się z nami zgodzi. Ale zaraz potem wyruszymy jej na ratunek. I zrobimy też wszystko co w naszej mocy dla wuja Erlinga...

— On jest bezpieczny — powiedział Cień. — Myślałem, że o tym wiesz.

— Nie, nie wiedziałem. Ale to wspaniale! Czy nie sądzisz, że teraz to już powinniśmy iść?

— Tak będzie najlepiej.

Dolg jednak wciąż jeszcze nie był gotowy. Żeby odłożyć wędrówkę przez bagna jeszcze choćby na chwilę, zapytał spłoszony:

— Czy wybaczysz mi, jeśli jeszcze raz cię o coś poproszę? Chciałbym wiedzieć, jak masz na imię. To jakoś tak niezręcznie nazywać cię Cieniem. A jeszcze gorzej mówić „panie Cieniu” albo „wujku Cieniu”, jak to robi Taran.

Prawdopodobnie dziwny towarzysz domyślał się, że Dolg potrzebuje więcej czasu, bo przystanął.

— Moje imię? — rzekł krótko. — Moje świeckie imię uległo całkowitemu zapomnieniu przed wieloma setkami lat. Nie wiem nawet, czy potrafiłbym je sobie przypomnieć.

— Więc ty kiedyś byłeś człowiekiem?

— Tak jest. Jeśli sobie przypomnę moje człowiecze imię, natychmiast ci powiem, jak ono brzmiało. A na drugim świecie posługujemy się językiem, który tobie wydałby się bezsensowny. I nie używamy imion. Nadawano mi wiele różnych określeń, takich jak: Samotny, Niezłomny, Ostatni, Poszukujący. Ale czy ty

mógłbyś się tak do mnie zwracać? Powiem ci w odpowiednim czasie, jakie było moje pierwsze imię.

— Dziękuję — uśmiechnął się Dolg. — A czy ty masz jakąś rękę, za którą mógłbym cię trzymać?

Coś dotknęło dłoni chłopca i zaraz poczuł dużą, chłodną męską dłoń, której nie widział, ale która jednak tam była.

Wtedy Dolg odważył się nareszcie iść dalej.

Błędne ogniki rozbłysły niespokojne, pełne zapachu niczym przejęci gospodarze, mający podejmować znamienitych gości.

— Zastanawiam się, dokąd pójdziemy — rzucił Dolg niepewnie.

Nagle wszystkie światełka zgasły.

— Co ja zrobiłem? — zawołał chłopiec przestraszony.

Cień zatrzymał się.

Księżyc przesłoniła chmura. Bagna leżały pogrążone w mroku. Nawet horyzontu nie było widać, ale nad nim i tak ciągle wisiała mgła.

Dolga ogarnęło uczucie bezradności. Co go czeka na tej drodze? Czy nie ma czegoś jaśniejszego, żadnej nadziei, która dodawałaby sił?

I oto znowu ogniki zapłonęły, teraz ułożone w wyraźną linię wijącą się przez bagna. Dolg zobaczył jedno światełko tuż obok siebie. Malutki, chybliwy, niebieski płomyk, który przyzywał go i wskazywał drogę.

Zrobił kilka kroków przez bagno, żeby przybliżyć się do światełka. Cień przed nim szedł naprzód, ale Dolg przykucnął i próbował dotknąć niebieskiego płomyka. Wokół niego było całkiem ciemno. Ostrożnie wysunął rękę. Przemawiał do płomyka, jakby to był kociak albo ranny ptak.

— Kim ty jesteś? Czym ty jesteś, mój przyjacielu, który chcesz mi wskazywać drogę?

Zdawało się, jakby płomyk był w jakiś sposób przymocowany do zbutwiełego kawałka drewna w bagnisku. Nerwowo odsunął się od ręki Dolga, spłoszony jak młoda dziewczyna, jak najbardziej nieśmiała dziewczyna.

— Nie, nie bój się mnie — przekonywał go chłopiec. — Nie zrobię ci nic złego.

Płomyk przeskoczył bagienną rozpadlinę i stał teraz spokojnie nad brązowo-czarną wodą, drżąc w lekkim nocnym wietrze.

Dolg podniósł wzrok i zobaczył kolejne płomyki. Niektóre stały nad połyskliwą wodą jak tamten, inne nad podstępными oparzeliskami, zauważył jednak, że wszystkie wyprężone niczym na baczność, każdy po swojej stronie wzdłuż wyraźnej ścieżki, choć przecież na bagnach żadnej ścieżki nie było. Żadne ludzkie stopy nie byłyby w stanie wydeptać szlaku w tak niebezpiecznym terenie. Nawet zwierzęta nie odważyłyby się tutaj wejść.

Cień zorientował się, że chłopiec przykucnął, i wrócił do niego. Patrzył rozbawiony na Dolga i pomógł mu wstać.

— Przepraszam, ale chciałem tylko trochę się przyjrzeć — powiedział zawstydzony chłopiec z uśmiechem. — Idziemy? — zapytał jeszcze.

— Powinniśmy.

Okazało się, że bardzo łatwo iść tą drogą, którą wyznaczyły dla nich błędne ogniki. Księżyc ukazał się znowu i Dolg widział wyraźnie niebezpieczne oparzeliska, ale tylko z daleka, wciąż w znacznej odległości od błędnych ogników.

One nas wiodą właściwą drogą, myślał. Zwyczajny człowiek już by dawno wpadł do bagna bez możliwości ratunku, natomiast my jesteśmy bezpieczni.

Niekiedy musieli okrążyć groźne trzęsawiska, innym razem wspinali się na wysokie wzniesienia. Wtedy jednak Dolg czuł się znacznie lepiej, bo na górze było całkiem sucho.

W końcu stanęli nad wielką rozpadliną, którą widzieli już z daleka.

— Wygląda na to, że będziemy musieli tamtędy przejść — szepnął Dolg. — Myślisz, że to niebezpieczne?

— Sądzę, że powinniśmy ufać naszym przewodnikom.

Nagle Cień zamarł.

— Ciii!

Dolg rozejrzał się ukradkiem wokół. Po chwili usłyszał coś i odwrócił się. Jego całkiem czarne oczy przepatrywały teren metr po metrze z taką uwagą, że widać było połyskujące białka.

Daleko za nimi na skraju mokradeł majaczyły jakieś niewyraźne postaci.

Ale ich głosy docierały tutaj całkiem wyraźnie.

— Konie trzeba będzie zostawić — rzekł jeden stanowczy męski głos po niemiecku z austriackim akcentem. — Przez bagna pójdziemy piechotą.

— Depczemy im po piętach — wtrącił inny głos. — Widzisz ich, bracie Ottonie?

— „Brat” — powiedział cichutko Dolg. — To znaczy, że oni są członkami Zakonu Świętego Słońca.

— Tak — potwierdził Cień niemal bezgłośnie.

Znowu dał się słyszeć pierwszy głos:

— Właśnie, czy to nie ich widzimy prawie na linii horyzontu na wschodzie, bracie Alexandre?

— Ich? Ja widzę tylko jedną sylwetkę. Dziecko. Ale ich miało być przecież troje, no nie? I pies.

— Tak, zgadza się.

— Oni nie widzą ciebie — stwierdził Dolg.

— Nie, i to bardzo dobrze.

— Jasne. — Chłopiec uśmiechnął się i uściśnął dłoń Cienia.

W oddali znowu rozległy się głosy.

— Machnij na to ręką! Jeden dzieciak to lepiej niż nikt. Tamtych dwoje pewnie już utonęło w bagnie. Teraz chodzi o to, żeby schwytać dzieciaka, zanim brat

Johannes się tu zjawi i cały honor z udanego pościgu spadnie na niego. Bracie Ottonie, skieruj swoich trzech ludzi na prawo, tak żeby okrążyli smarkacza. Moi trzej pójda od lewej, a my dwaj środkiem prosto na niego.

— Ale czy droga jest pewna?

— Skoro taki szkrab sobie radzi, to poradzimy sobie i my. Wszyscy gotowi?

Dolg zaczął dygotać.

— Czy nie powinniśmy uciekać?

— Nie, zaczekaj! Tutaj się coś dzieje! Zobaczmy, co to takiego!

Z początku Dolg nie widział nic szczególnego, po chwili jednak zauważył zmiany. Droga, którą wskazywały im błędne ogniki, przestała istnieć. Teraz wszystkie małe niebieskie światełka rozpiierzchły się po bagnach z tyłu za nim i za Cieniem.

— Ale przecież nie możemy tak stać i patrzeć, jak tamci zaczną się topić — powiedział Dolg wstrząśnięty. — Trzeba ich ostrzec!

— Nie będziemy się mieszać w to, co robią błędne ogniki. — odparł Cień. — Spójrz, one wyznaczają inną drogę, tym razem dla ludzi.

Dolg też to widział. Na bagnach pojawiła się nowa, wijąca się linia utworzona z małych niebieskich światełek, ale to z pewnością nie był szlak, którym on i Cień powinni podążać.

— Ja nie chcę na to patrzeć — oświadczył chłopiec stanowczo. — Zbiegnę niżej, nad tę wypełnioną wodą rozpadlinę.

Zrobił, jak powiedział. Cień z ociąganiem się ruszył za nim, ale cały czas zwrócony był ku bagnetom.

Dolg nie widział, co się dzieje, lecz glosy mężczyzn mimo wszystko do niego docierały. W tę cichą noc dźwięki niosły się daleko.

Inny głos, tym razem należący z pewnością do jednego z podwładnych:

— O, do diabła, patrzcie na te podskakujące, małe światełka! Co to jest? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Mówią o tym „błędne ognie” — rozległ się bardziej kulturalny głos jednego z rycerzy. — Nie ma się czym przejmować. Ludzie wierzą, że one sprowadzają wędrowców na manowce albo osiedlają się w duszach grzeszników, ale to wszystko zabobony. Ruszajcie zaraz, żeby się nam chłopak gdzieś nie zapodział!

— No, ale on jednak zniknął! Już go nie widać — mówił inny głos.

— Przecież wiemy, gdzie widzieliśmy go po raz ostatni. Tam trzeba iść, tylko się pośpieszcie!

— Nie podoba mi się to wszystko — narzekał któryś burkliwie. — Zrobiło się całkiem ciemno. Czy nie moglibyśmy poczekać do rana?

— Nic podobnego, nie mamy czasu!

Zaległa cisza. Dolg najchętniej zatkałby sobie uszy, ale był też ciekawy. Uparcie przekonywał swego towarzysza, że powinni iść dalej, lecz Cień zatrzymał się

i najwyraźniej miał ochotę obejrzeć całe przedstawienie. Jakby... Jakby akceptował to, co czynią ogniki.

Dolg wyrzwał ponad krawędzią rozpadliny.

W słabym, zamglonym księżycowym świetle zobaczył kilka mrocznych sylwetek przeskakujących z jednej kępy trawy na drugą, posuwających się dokładnie wzdłuż linii, którą wyznaczały im świetliki.

— Ogniki nie mają chyba zamiaru sprowadzić tych ludzi tutaj? — szepnął Dolg.

— Nie, nie, wprost przeciwnie!

— Mój drogi, nie chciałbym, żeby przeze mnie ludzie popadali w nieszczęście.

— Wiem. Jesteś dzieckiem o czystym i szlachetnym sercu, ale przestań o tym myśleć. Chodź, ruszamy dalej!

— Dzięki ci, dobry Boże — wyszeptał Dolg.

Droga do porośniętego trawą dna rozpadliny wcale nie była stroma. Niemal niezauważalnie schodziła w dół. Wygodnie się tutaj szło, stosunkowo równe podłoże, żadnych kęp i niebezpiecznych trzęsawisk.

Głosy prześladowców też tutaj nie docierały. Dolg błogosławił ciszę.

Ale nie zaszli zbyt daleko, gdy znowu zeszywniał z wrażenia.

— Widziałeś? — zapytał Cienia drżącym głosem.

— Nie patrz w tamtą stronę — upomniał go towarzysz.

Wzrok Dolga jednak uparcie kierował się tam, gdzie nie powinien.

Na krawędzi rozpadliny coś się poruszało. Coś szło ich tropem.

Coś niepojętego, coś okropnego. Dolg nie mógł zrozumieć, co to takiego. Dwie wysokie, niemal trójkątne sylwetki, całkiem czarne w blasku księżyca. Zdawało mu się... Zdawało mu się, że to dwuwymiarowi ludzie w szerokich oponkach, sięgających do samej ziemi, z kapeluszami o szerokich rondach na głowach. Najstraszniejsze jednak było to, że poruszali się oni tyłem i tak szybko, że zawsze było dokładnie widać ich sylwetki w kształcie trójkąta. Głowy mieli niczym szczyty stożków, a twarze, o ile w ogóle mieli twarze, były niezmiennie zwrócone w stronę Dolga i Cienia.

Chłopiec nie potrafił dłużej na nich patrzeć, zrobiło mu się niedobrze i odwrócił głowę... A na drugiej dłuższej krawędzi, po przeciwnej stronie rozpadliny, sterczały dwie równie odpychające zjawy. Zdawało się, że płyną w powietrzu, ustawione bokiem, jak na egipskich reliefach. Z tą tylko różnicą, że egipscy bogowie czy faraonowie i ich małżonki mieli twarze zwrócone na wprost, przed siebie. Te natomiast nie, pochylone, patrzyły w dół, na Dolga i jego przyjaciela.

Chłopiec zwrócił Cieniowi uwagę na dwie nowe postaci, ale ten sam je już zauważył.

— Nie przejmuj się nimi — rzucił krótko.

— Ale co to są za istoty?



— Umarli wielcy mistrzowie. Twoi rodzice i ich przyjaciel Erling znaleźli śpiących wielkich mistrzów. Erling i twoja babka zbudzili ich znowu do stanu przypominającego życie. To pech, ale babcia nie wiedziała, co robi.

Dolg mocniej zacisnął dłoń na rękę Cienia.

— Czy oni przyjdą nas pochwycić?

— Nie, nie, wprost przeciwnie!

Chłopiec zrobił wielkie oczy.

— To oni są naszymi przyjaciółmi?

— Raczej nie, ale nic nam nie zrobią. Przynajmniej na razie. Na razie czekają.

— A zatem to czterech wielkich mistrzów — rzekł Dolg takim tonem, jakby jego ciekawość nie została jeszcze zaspokojona.

— Zdaje mi się, że wyczuwam obecność jeszcze jednego, ale go nie widzę — dodał towarzysz, co chłopca raczej nie uspokoiło. — Ten piąty jest niebezpieczny — dorzucił Cień głosem pozbawionym wyrazu.

Nie mając odwagi powiedzieć nic więcej, Dolg szedł dalej w milczeniu. Często musiał przetykać ślinę i miał nadzieję, że Cień nie zauważy, jak bardzo jest przestraszony.

Zeszli do jakiegoś zagłębienia i księżyc całkowicie zniknął im z oczu. Nagle w górze, na bagnach, które dopiero co przebyli, rozległ się krzyk śmiertelnego przerażenia. Właściwie było za daleko, by słyszeć słowa, ale krzyk niósł się w powietrzu. Nie ulegało wątpliwości, że chodzi o ludzkie życie.

— Błędne ogniki — rzekł Dolg cicho.

— Owszem, sprowadziły wędrowca tam, gdzie chciały.

— Dwóch — szepnął Dolg. — Słyszeliśmy krzyki dwóch ludzi w najwyższej potrzebie.

— Chyba tak. Miejmy nadzieję, że byli to bracia zakonni, a nie ich podwładni.

— A ja myślę, że to tak samo źle, niezależnie od tego, kogo spotkało nieszczęście. I na dodatek z mojego powodu. Czuję się winny.

— Niepotrzebnie. To przecież oni chcieli ciebie złapać, a nie ty ich. Sami są sobie winni.

— Ale może oni mieli jakieś bardzo ważne powody?

— Oczywiście, że tak. W każdym razie bracia zakonni je mieli.

Dolg przyglądał się Cieniowi z zaciekawieniem.

— Czy ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

— Naturalnie!

— Towarzysze mojego taty o tym nie wiedzieli?

Cień roześmiał się z goryczą.

— Nie. Oni nie wiedzą też, kim ja jestem.

Chłopiec milczał przez chwilę.

— Mnie się zawsze zdawało, że to oni ciebie wybrali na mojego opiekuna, jeszcze zanim się urodziłem. To nieprawda?

W głębokim głosie Cienia słyhać było nutki rozbawienia.

— Jasne, że nieprawda! To ja sam się postarałem, żeby zostać wybranym.

Znowu zaległa cisza.

— Ale... W takim razie, kim ty jesteś?

— Jak już mówiłem, nie pamiętam mego pierwotnego imienia. To było tak dawno temu. A gdybym nawet opowiedział, czym byłem, to i tak byś nie zrozumiał. Jeszcze nie teraz.

— Ale chciałeś mi pomóc?

— O, tak! I jeśli mówię „pomogę ci”, to naprawdę zamierzam to zrobić. Przed chwilą otrzymałeś dowód. Wtedy, gdy cię prosiłem, byś mi nie dawał tego, czego zażądałem. Gdybym to dostał, wszystko zostałoby zaprzepaszczone — dla ciebie, dla twojego taty i twojej mamy.

— Uważam, że jesteś sympatyczny — oświadczył Dolg.

Cień roześmiał się.

— Nie. Ale jestem silny. Pod każdym względem.

Dziwne istoty na krawędziach rozpadliny nadal posuwały się za nimi. Jeszcze raz rozległo się dramatyczne wołanie o pomoc na bagnach za ich plecami.

Jeszcze jeden się topi, pomyślał Dolg wstrząśnięty. Ale nie powiedział ani słowa.

Teren ponownie zaczął się wznosić. Zaszli już bardzo daleko. Dolg pomyślał o swoim młodszym rodzeństwie i Nerze, śpiących pod wiszącą skałą, w sporej odległości od mokradeł. Ufał, że duchy dobrze strzegą całej trójki.

Nie przestawał jednak martwić się o rodziców.

Wuj Erling był bezpieczny w domu w Theresenhof, ale tata i mama...

— Chodźmy trochę szybciej — poprosił.

Cień zrozumiał jego intencję. Znajdowali się teraz tak wysoko, że ponownie widzieli księżyc. Zimny, biały i martwy świecił nad nimi i świecił też nad bagnami poza nimi tam, gdzie Dolg bał się spoglądać. W chłodnym, zielonkawym blasku księżycy widzieli ciągnące za nimi wstrętne upiory. Umarli wielcy mistrzowie? Czterej? I jeszcze jeden, którego bliskość wyczuwał jedynie Cień. Piąty, najgroźniejszy.

## Rozdział 5

Wysoko w górach nad Mórim czuwali jego niewidzialni towarzysze. Ruiny zamku Graben były stąd niewidoczne.

— No i jak przedstawia się sytuacja? — dopytywała się Pustka.

— Chłopiec powinien się pospieszyć — odparł Nauczyciel.

Duch Zgasłych Nadziei spojrzał na niego.

— Móri wciąż jeszcze nie wkroczył do najciemniejszej groty Śmierci. Wciąż jeszcze, nieprzytomny, trwa w krainie cieni, lada chwila jednak może nadejść ostateczny koniec.

— Ale pośród żywych już go nie ma? — zapytał Hraundrangi-Móri.

— Nie, dawno temu przekroczył granicę. Staramy się jak możemy, żeby kraina cieni go nie pochłonęła na zawsze. Jeśli zdołamy go utrzymać tu, gdzie się teraz znajduje, dopóki chłopiec nie dojdzie do celu, to będzie jeszcze szansa.

— O ile mały Dolg zdoła wypełnić zadanie, to tak — potwierdziła kobieta, będąca opiekuńczym duchem Móriego. — A przecież jeśli nawet sobie z tym poradzi... choć to naprawdę zbyt wysokie wymagania jak na dwunastoletnie dziecko... To ma jeszcze bardzo długą drogę tutaj.

— Wybrany opiekun Dolga, Cień, powiedział, że istnieje możliwość, by chłopiec uratował Móriego — rzekł Nauczyciel. — My takiej możliwości nie znamy.

— Kim właściwie jest ten Cień? — zapytał Duch Zgasłych Nadziei. — Które z was go wynalazło?

Przez chwilę wszyscy milczeli, potem odezwał się Nauczyciel:

— Żadne z nas. Później, już po wszystkim, uświadomiliśmy sobie, że on się wybrał sam. Kiedy szukaliśmy jak najlepszego opiekuna dla Dolga, on nagle pojawił się na naszej drodze.

— Tak, ja przepytywałem się na tamym świecie i odkryłem, że jego sława sięga daleko — wtrącił Hraundrangi-Móri w zamyśleniu. — Uważano go tam za najsilniejszego, najpotężniejszego i niezłomnego. A mimo to nie znalazłem nikogo, kto by wiedział, kim on jest ani skąd się wziął.

— Interesujące — mruknął Nauczyciel. — Czy jednak można mieć do niego zaufanie?

— Ja go po prostu o to zapytałam — oznajmiła ta, która pełniła funkcję ducha opiekuńczego.

— „W tym przypadku można”, odpowiedział mi. „Sam pragnąłem wspierać chłopca”. A potem dodał jeszcze coś, co mnie zupełnie zbiło z tropu.

Wszyscy czekali w napięciu.

— „Beze mnie Dolg nigdy by nie przyszedł na świat”.

Nauczyciel był wzburzony.

— Myślałem, że to my chcieliśmy mieć Dołga! On przecież jest nasz!

— Dolg jest synem Móriego, a moim wnukiem. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości — rzekł Hraundrangi-Móri ostro.

— Nikt nie wątpi, że to Móri spłodził Dolga — powiedział Nauczyciel pojednawczo. — Ale przecież dobrze wiemy, że to my zatroszczyliśmy się o to, by Dolg posiadał oczekiwane przez nas zdolności.

— Jednak żadne z nas nie zrobiło nic w sprawie jego wyglądu — przypomniała Pustka. — A pod tym względem Dolg różni się od zwyczajnych ludzi. To może być sprawa Cienia.

Jeszcze raz zrobiło się cicho.

— Czego ten Cień może od chłopca chcieć? — zastanawiała się kobieta-duch opiekuńczy Móriego.

— Tego nikt z nas nie wie — westchnął Duch Zgasłych Nadziei.

— Wiecie, co ja myślę? — zapytał Nauczyciel. — Otóż ja myślę, że Cień, kimkolwiek on jest, dowiedział się, że stworzyliśmy wyjątkowego człowieka. Skorzystał z tego i obdarzył chłopca jeszcze innymi cechami. Dał mu coś, czego sam potrzebował. I to dlatego Dolg otrzymał ów dziwny wygląd, którzy rzeczywiście nie jest naszą zasługą.

— Owszem, częściowo jest — przerwał mu Hraundrangi-Móri. — Wiecie przecież dobrze, że życzyliśmy sobie czarnoksiężnika. I chłopiec otrzymał znamię czarnoksiężnika. A ponieważ mój syn, Móri, przekroczył w Holar granicę pomiędzy życiem i śmiercią, to chłopiec przyniósł ze sobą na świat ten trupio blady kolor skóry. Natomiast oczy... Nie, nie mieliśmy zamiaru obdarzać go takimi dziwnymi oczyma.

— Słusznie, Hraundrangi-Móri — poparł go Nauczyciel. — Teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że towarzysz Dolga jest godny zaufania. Nie wolno nam sądzić, że on to wszystko zrobił dla własnego interesu i że gotów jest poświęcić chłopca.

— Naszego chłopca. Naszą nadzieję i jedyny ratunek — rzekła zaniepokojona Pustka.

Zaległa cisza. Siedzieli wszyscy wokół umarłego Móriego. Usunęli chrust i gałęzie, którymi przykryli go mordercy. Islandzki czarnoksiężnik leżał oto na gołej ziemi, równie blady jak jego starszy syn. Opiekunowie zamknęli ranę po mieczu, który przeszył ciało na wylot, lecz żar życia mogło ponownie wzniecić

tylko to, co, wedle słów Cienia, Dolg mógł, być może, zdobyć podczas swojej wędrówki.

Nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać.

Kobiecych duchów, Powietrza i Wody, nie było przy Mórim. One podążyły za Erlingiem i uratowały go od niechybnej śmierci.

Nie było też Nidhogga ani Zwierzęcia. Te z kolei towarzyszyły Tiril, żeby dać jej choć trochę poczucia bezpieczeństwa.

Niewiele wprawdzie mogły dla niej zrobić, ale znajdowały się przy niej i to było najważniejsze.

Gdyby nie one, Tiril czułaby się najbardziej samotną osobą na świecie.

Nie wiedziała bowiem, gdzie się znajduje, podczas drogi z gór na dół wielokrotnie bito ją po głowie i traciła przytomność, a teraz panowały wokół niej nieprzeniknione ciemności.

Tiril nie wiedziała nic. Wyczuwała jednak pod dłonią szorstkie futro i szeptała Zwierzęciu podziękowania za to, że przy niej jest. Inna chłodna i bezkształtna dłoń głaskała ją po policzku. Tiril przytulała się do niej i dziękowała Nidhoggowi za to, że jej nie zawiodł w tych trudnych dniach, w zimnej, wilgotnej ciemnicy, której charakteru nie była w stanie określić.

Dolg i Cień weszli dość wysoko na wzgórza, które chłopiec od dawna widział majaczące przed nimi we mgle. Teraz był zdyszany i prosił, by chwilę odpoczęli.

Cień zgodził się.

Dolg usiadł na ziemi i wpatrywał się w bagna, które dopiero co zostawili za sobą.

Przed jego oczyma migotały tysiące błędnych ogników.

— Czy wolno mi o coś zapytać?

— Proszę bardzo!

— Czy wszędzie na świecie istnieją błędne ognie?

— Nie, to dość niezwykle zjawisko. Ale to prawda, że istnieją nie tylko tutaj.

— Ale dlaczego akurat na tych bagnach? I dlaczego musieliśmy tu przyjść? Czy może dlatego, że leżą najbliżej naszego domu?

— Nie, nie, to są wyjątkowe bagna. I te ogniki też są wyjątkowe, one czegoś strzegą.

Dolg rozmyślał przez chwilę.

— Chcesz powiedzieć, że duchy wiedziały o tych bagnach? I że postarały się, by moi rodzice sprowadzili się z Norwegii do Austrii?

Cień potrząsnął głową. Musiał się uśmiechnąć, słysząc pytanie chłopca.

— Nie, duchy nic o tym nie wiedziały. To ja odkryłem, że ma się urodzić wyjątkowe dziecko. Wtedy, kiedy twój ojciec, Móri, przekroczył granicę tamtego

świata i wędrował po nim wraz z duchami, one obdarzyły go pewnymi zdolnościami, dzięki którym mógł spłodzić takie dziecko jak ty. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nosisz w sobie wiele z dziedzictwa czarnoksiężników, lecz także z dziedzictwa królestwa Śmierci. Przekonasz się o tym, kiedy będziesz starszy. O jednym wszakże powinieneś pamiętać: twoja matka jest nietknięta.

— Co to znaczy?

— Poza twoim ojcem nie tknął jej żaden mężczyzna.

Dolg był już na tyle dorosły, że zrozumiał, co Cień chce powiedzieć.

Mimo wszystko zaniepokoił się trochę.

— Ale mówią, że chociaż mam trupio bladą skórę, to po moich oczach niczego poznać nie można.

— Wiem — odpad Cień, kiwając głową. — Zaraz ci to wytłu... Cicho!

Dolg był przekonany, że nie do niego skierowane jest to ostrzeżenie. Cień chciał uciszyć samego siebie. Mimo to chłopiec słuchał, czy tamten nie powie czegoś jeszcze.

Długo siedzieli w milczeniu, w końcu Cień poruszył się ledwie dostrzegalnie, a wtedy Dolg wyszeptał:

— Coś płacze, zawodzi, żali się. Ale to strasznie daleko.

— Tak, przed nami.

— Ja też zauważyłem, że przed nami. Z bagnisk nie dochodzą już żadne głosy.

— Tego nie wiemy, za bardzo się oddaliliśmy.

Dolg nie miał odwagi odwrócić głowy, wiedział jednak, że ci czterej dwuwymiarowi, te cztery płaskie postaci, biegają tam i z powrotem po obu stronach miejsca, w którym siedzą oni obaj z Cieniem. Teraz dziwne postaci jakby się do nich zbliżyły i Dolg odwrócił się plecami, żeby ich nie widzieć.

Uważał, że tak będzie lepiej.

Ufał, że Cień się nie myli i że te paskudne papierowe figury nic im nie mogą zrobić. Jeszcze nie teraz w każdym razie.

A tym, co stanie się w przyszłości, będą się martwić później. Na razie Dolg zastanawiał się, na czym ma polegać jego zadanie.

I wciąż wysiłał uwagę, nasłuchując. Daleko, bardzo daleko na bagnach, tam którądy przechodzili jakiś czas temu, rozległ się jeszcze jeden śmiertelny krzyk.

To bracia zakonni i ich ludzie.

Twarz Dolga wykrzywiła się boleśnie, dręczyły go straszne wyrzuty sumienia. Naprawdę nie chciał, by ktokolwiek umierał z jego powodu. Nawet źli ludzie.

— Bracie Ottonie! Bracie Ottonie, gdzie jesteś?

W głosie brata Alexandra brzmiał lęk.

Nikt mu nie odpowiadał, ale słyszał jęki i zawodzenie od strony oparzeliska, w którym zniknął brat Otto.

W końcu rozległo się zdławione:

— Tutaj jestem, bracie Alexandrze. Mój wierny sługa mnie wyciągnął.

— Straciłem dwóch ludzi, Ottonie.

— Ja również.

— W takim razie obaj mamy już tylko po jednym. Czy nie powinniśmy zawrócić?

— Nie możemy. Czyż nie widziałeś bagna, które rozciąga się za nami? Jeden z moich ludzi próbował przez nie przejść i natychmiast bezpowrotnie pogрузił się w błocie. Musimy posuwać się dalej.

Wraz ze swoim ostatnim sługą rycerz Otto zdołał się przedostać do rycerza Alexandra. Kiedy znaleźli się wszyscy czterej obok siebie, poczuli się raźniej.

— Te przekłete ogniki — mamrotał brat Alexander. — To one sprowadziły nas na błędne ścieżki.

— Tak! Róbcie, co chcecie, ale nie wolno wam iść za tymi światełkami. To prawdziwe błędne ognie!

— Powinniśmy ostrzec brata Johannesesa — rzekł rycerz Alexander.

— On się tu jeszcze długo nie pojawi — odparł brat Otto. — Pojechał przecież do Sankt Gallen, żeby powiedzieć o dzieciach.

Obaj ludzie towarzyszący braciom zakonnym dygotali w nocnym chłdzie. Obaj zdążyli zawrzeć znajomość z bezdennymi oparzeliskami, na szczęście zostali z nich wyciągnięci, ale byli oblepieni bagienną roślinnością, przemoczeni i cuchnący. Śmiertelnie przerażeni trzymali się jak najbliżej zakonnych braci.

— Tutaj mamy jakąś wielką rozpadlinę, a może to dno doliny — mówił brat Alexander. — Wygląda, że teren jest bardziej suchy, a przynajmniej nie widzę tam tych ohydnych, niebieskich światełek Schodzimy!

Brat Otto wahał się.

— Ale ja widziałem właśnie na krawędzi tej rozpadliny coś nieokreślonego. Trudno mi było zobaczyć dokładniej w tym bladym świetle księżyca, ale wyglądało to jak bardzo czarny cień i przepływało tuż nad ziemią. Jakby kilka postaci.

— Tak. Posuwają się tyłem. Ale cokolwiek to było, to już zniknęło. Idziemy!

Cudownie było znowu poczuć pod stopami twardy grunt.

Brat Alexander pochylał się nad porośniętą trawą ziemią.

— Ślady — oznajmił. — Ślady dziecięcych stóp. Dziecko, które widzieliśmy, przeszło tędy. Chodźcie, trzeba iść, dopóki księżyc jeszcze świeci! Noc ma się ku końcowi i księżyc niedługo zajdzie.

Brat Otto mrużył oczy i wpatrywał się przed siebie.

— Nic nie widzę — narzekał. — Wszystko tonie we mgle.

— To wygląda jak jakieś zbocze albo skłon doliny.

— Tak. W każdym razie oznacza chyba granicę bagnisk.

Wszyscy czterej myśleli to samo: Jakim sposobem wrócimy do naszych koni?

Ale jeszcze bardziej pragnęli, by ta koszmarna noc się skończyła i niebieskie światełka pogasły.

Żeby nastał dzień! I żeby można było znaleźć suchą drogę z powrotem. Albo chociaż okrążyć bagna. Niezależnie od tego, jak są rozległe, można je przecież okrążyć?

Jeszcze tego nie wiedzieli. Dolg zresztą również nie. Te wzniesienia, do których zbliżali się czterej ludzie i na których znajdował się chłopiec z Cieniem, tworzyły rodzaj wyspy na zdających się nie mieć końca mokradłach.

Małą wyspę szczelnie otoczoną i strzeżoną przez błędne ogniki.



## Rozdział 6

Dolg i Cień znowu ruszyli w drogę. Noc była ciemna, księżyc krył się za chmurami, a nad horyzontem unosiła się mgła. Jedyne słaba nocna poświata pozwalała im widzieć drogę przez wzniesienia, które były wyższe, niż Dolg przedtem sądził.

Nic jednak dziwnego, że nie uświadomił sobie tego wcześniej. Szli przez teren pofałdowany i trudno było określić wysokość poszczególnych wzniesień, zwłaszcza przy tej mglistej pogodzie.

— Czy my się nie spóźnimy? — zapytał zdjęty nagłym niepokojem. — Tatuś może czekać tak długo?

— Nie wolno ci tak myśleć — odparł Cień tym swoim dziwnie dalekim głosem. — W ten sposób blokujesz pozytywne myśli, przestajesz wierzyć, że nam się uda. A ponadto problem nie polega na tym, czy twój tata może tak długo czekać, ale na tym, czy duchy zdołają go tak długo powstrzymać przed ostatecznym odejściem do krainy zimnych cieni.

— Dla mnie jest to różnica prawie niedostrzegalna — rzekł Dolg. — Ale... Zamierzałeś mi coś wytłumaczyć jakiś czas temu, tylko przerwały ci jęki na bagnach.

— Tak, wiem. Nie ma teraz czasu, żeby się zagłębiać w tamte sprawy, ale o jednym mogę cię zapewnić, Dolg, ja też nigdy się nie zbliżyłem do twojej matki.

— Dziękuję — szepnął Dolg. — Wiesz, mama zawsze była dla mnie jak święta.

— Wiem. I zresztą to wcale nie jest dalekie od prawdy. Ale zdaje mi się, że większość dzieci tak myśli o swoich matkach.

— Też tak uważam. Chociaż nasza mama to żyje jakby wyłącznie dla taty. Dla nas, dzieci, oczywiście też, i dla babci, i Nera, i dla dworu. Ale najbardziej to dla taty. Ja bardzo lubię na nich patrzeć, kiedy są razem. Oni się nawzajem uwielbiają wciąż tak samo jak w czasach, kiedy byłem mały. Zawsze odnoszą się do siebie z wielkim szacunkiem, z oddaniem i... jak to babcia kiedyś powiedziała: z lojalnością. I każde ma swoje prawa. A poza tym śmieją się zawsze z tych samych rzeczy, lubią ze sobą żartować, czasami bawią się słowami, odmieniają je

na wszystkie sposoby, przemieniają zwyczajne powiedzenia, aż kompletnie tracą sens i brzmią całkiem inaczej.

— Tak, oni są ze sobą bardzo szczęśliwi, wielokrotnie to zauważałem. I masz rację, to zawsze wielka przyjemność widzieć, jak dwoje ludzi jest do siebie przywiązanych po wielu latach małżeństwa. A ja, rzecz jasna, obserwowałem też i was, dzieci. Rodzice i babcia stworzyli wam piękne i harmonijne życie. I dlatego tak chętnie ci pomagam.

— Dziękuję, Cieniu! Powiedz mi, czy ty współpracujesz z duchami tatusia? Cień zastanawiał się, zwlekał z odpowiedzią.

— No, w każdym razie nie przeciwdziałałem ich poczynaniom. Mamy ten sam cel, choć opieramy się na różnych założeniach. Założenia to warunki, punkt wyjścia.

— Wiem. Ja jestem mądry.

Dolg powiedział to z powagą, bez fałszywej skromności, po prostu stwierdził, że tak jest.

— Jesteś bardzo mądry jak na dwunastolatka — przytaknął Cień. — Uważam, że twoja babka, Theresa, nauczyła cię bardzo dużo. Babcia to wspaniały człowiek.

Teraz z kolei Dolg przez chwilę się wahał.

— Mówisz, że obserwowałeś nas uważnie. Czy zawsze jesteś przy nas?

— Zawsze jestem przy tobie, chociaż przez kilka lat mnie nie widywałeś. Ja czekałem, czekałem na to, co dzieje się teraz. I dlatego trzymałem się w niewidzialnym tle.

Z pewnością zamierzał powiedzieć „niewidzialny w tle”, pomyślał Dolg, ale nie chciał poprawiać przyjaciela.

Mój Boże, czy Cień jest przyjacielem? Chłopiec nie był o tym tak do końca przekonany, ale akurat teraz nie miał nikogo innego, na kim mógłby polegać.

Z tym „akurat teraz” też miał niejaki trudności. Wygląda na to, że aż nazbyt wielu oczekuje, by Dolg wypełnił swoje zadanie, cokolwiek by to było, a potem będą mogli rzucić się na niego. Wszyscy. Cień również.

Dolg pragnął, żeby Nero był przy nim. Ze wszystkich istot na całym świecie najbardziej ufał właśnie swojemu psu. Tak, bo teraz Nero należał do niego, Dolg „przejął” go z błogosławieństwem mamy. Nero kochał wszystkich w Theresenhof, łącznie z wujem Erlingiem, ale najbardziej przywiązany był do Dolga i z nim spędzał najwięcej czasu. Zgadzał się też obaj we wszystkim.

Teraz chłopiec bardzo tęsknił do przyjaciela.

— A więc ty wiedziałeś, że będę musiał tutaj przyjść, kiedy skończę dwanaście lat? — zapytał Cienia.

— Nie, nie! Miałem co prawda nadzieję, że ta wyprawa się odbędzie, ale dopiero kiedy dorośniesz, trwałoby to pewnie jeszcze wiele, wiele lat. I może nigdy by nic z tego nie wyszło. Może moje nadzieje by się nie spełniły. Ale stało się

coś, czego nikt nie zakładał, twój ojciec został śmiertelnie zraniony. I wtedy ja uderzyłem.

Dolgowi nie bardzo się podobało to wyrażenie.

— To znaczy, że duchy nie wiedziały o tych bagnach ani o błędnych ognikach, ani o niczym innym?

— Nic nie wiedziały, to właśnie staram się ci wytłumaczyć.

Chłopiec milczał zaszępiiony.

— To znaczy, że tak jak mówiliśmy przedtem, duchy miały wobec mnie inne plany? Na później?

— Tak jest.

— Czy one są złe z powodu tego, co się stało?

— Wprost przeciwnie! Bo choć same jeszcze o tym nie wiedzą, to zgadza się także z ich planami, z ich zadaniem dla ciebie, tyle tylko że tamto zadanie będziesz musiał wypełnić w innym czasie.

— Nic a nic nie rozumiem.

— I wcale nie musisz. Powodem, dla którego duchy są wdzięczne losowi, że ja się włączyłem do sprawy, jest oczywiście to, że tylko ty i ja możemy pomóc twemu ojcu, czarnoksiężnikowi Móriemu. Tylko my dwaj.

— Tak, rozumiem, chociaż to trochę dziwne. Zawsze słyszałem, że urodziłem się jako czarnoksiężnik. Ale niczego nie umiem, nie mam żadnej wiedzy czarnoksiężnika i tatuś wcale nie chce mnie niczego nauczyć. Jedyne, co mi pokazał, to kilka magicznych run. Teraz też mam przy sobie różne czarodziejskie runy.

— To dobrze — rzekł Cień, ale myślami był gdzie indziej.

— Uff! — jęknął Dolg. — O mało nie wpadłem na drzewo! Czy jesteśmy teraz w lesie?

— Wkrótce znajdziemy się na szczycie wzgórza, a tutaj wszystkie wzniesienia porasta las. Las liściasty.

Kroki Dolga stały się powolniejsze. Wokół było bardzo ciemno. Noc wkroczyła w swoją najciemniejszą fazę, chmury pokryły niebo gęstą powłoką, a las liściasty jeszcze pogłębiał mrok. Nad horyzontem przewalił się grzmot.

— To burza?

— Tak. Idzie w naszą stronę.

Przenikliwe, żałosne jęki stały się teraz głośniejsze. Zdawało się, że pochodzą z głębi lasu. Dolg odwrócił się nieznacznie i spojrzał na północny kraniec bagien, który znajdował się na lewo od nich. Tam również dostrzegł błędne ogniki, chociaż znajdowały się bardzo daleko. Zdawało się, że burza pobudza je do życia, świeciły znacznie jaśniej i były bardziej niebieskie niż poprzednio. To właśnie wtedy Cień powiedział mu, że wzgórze, na którym się znajdują, jest ze wszystkich stron otoczone mokradłami. Dolg nie mógł tego widzieć, ale tam, gdzie las się kończy, zboczce znowu obniża się ku bagnetom, tak samo jest po ich prawej stronie, od południa, gdzie bagna podchodzą do samego podnóża góry.

Niezależnie od tego, którądy pójda, i tak droga do domu wiedzie przez bagna. Droga do domu? Od czasu do czasu Dolg zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek odnajdzie tę drogę. Dom rodzinny zdawał się niewypowiedzianie daleko. W innym świecie.

— Tam właśnie zmierzamy — powiedział Cień krótko i szorstko.

Chłopiec przełknął ślinę.

Nie wiedział, jaki to instynkt nakłonił go, by się obejrzał, ale nagle doznał nieprzyjemnego uczucia, że ktoś wpatruje się w jego kark.

W tym samym momencie pierwsza błyskawica rozdarła niebo i na krótko oświetliła okolicę.

Dolg krzyknął, nie z powodu błyskawicy, lecz dlatego, że zobaczył, którądy podążają czterej śpiący wielcy mistrzowie.

Szli tuż za Cieniem i za nim. Tak blisko, że gdyby mieli płuca, to z pewnością czułby na karku ich oddechy.

Mignęły mu tylko ich długie do ziemi opończe i dwa lub trzy nakrycia głowy — czarne płaskie kapelusze o szerokich rondach, z całkiem innej epoki.

Wyglądali potwornie groźnie, kiedy tak posuwali się za nim. Jakby mieli zamiar wbić w jego szczupłe barki swoje wychudłe szponiaste palce.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że ich obecność przeraża chłopca. Wkrótce jednak miał przeżyć kolejny szok. Znacznie gorszy od tamtego.

Znacznie, znacznie gorszy!

Wyglądało na to, że Cień również czerpie nowe siły z wyładowań atmosferycznych. Przede wszystkim stał się dużo wyraźniejszy, wyglądał prawie tak, jakby kontury należały do żywej osoby.

W zimnym świetle błyskawicy Dolg widział... Nie, nie twarz Cienia, na to oczy chłopca znajdowały się zbyt nisko, a poza tym błyskawice przelatowały zbyt szybko, ale zobaczył jakiś dziwny blask na piersi Cienia, jakby światło odbijało się w czymś połyskliwym, co było ukryte pod szeroką czarną opończą.

Znak promienistego Słońca.

Z gardła Dolga wyrwał się krzyk przerażenia i chłopiec rzucił się do ucieczki. Na oślep w czarny las.

## Rozdział 7

Sen nie przychodził tej nocy do księżnej Theresy. Zresztą to zrozumiałe. Skąd miał się brać spokój niezbędny do tego, by zasnąć? Jej córka została uprowadzona przez strasznych wrogów, a zięć znajdował się w objęciach śmierci. Najstarszy wnuk wyruszył w drogę, by pomóc rodzicom, małe dwunastoletnie dziecko znajdowało się teraz całkiem samo na nieznanych drogach. Chłopiec miał do wypełnienia zadanie, którego istoty nikt nie znał, a które będzie od niego wymagać wiele sił i poświęcenia.

Dwoje młodszych wnucząt księżnej zniknęło z domu wczesnym rankiem. Prawdopodobnie malcy wyruszyli za starszym bratem, którego uwielbiali.

Nawet wierny pies Nero opuścił dom. Towarzyszył swemu małemu panu w śmiertelnej wędrówce. Tak, Theresa nazywała w myślach tę wyprawę śmiertelną wędrówką, bo tak bardzo się bała o los swego wnuka.

Wcale też nie poprawiało sprawy to, że po obiedzie spała kilka godzin, bo tak strasznie była zmęczona wydarzeniami, jakie miały miejsce nad ranem.

Teraz myśli kłębiły jej się w głowie.

Dolg, ukochany wnuk. Próbowała sobie wyobrazić jego twarzyczkę. Te czarne jak sadza włosy, opadające w lokach na czoło i na kołnierzyk koszuli. Tę bladą skórę i niewiarygodnie piękne rysy twarzy. Dolg wyglądał jak cudowna istota nie z tego świata.

Oczy... Które najpierw tak wszystkich przeraziły, gdy stwierdzili, że jednolicie czarna tęczówka pokrywa niemal całą gałkę, a wąskie smużki białka widoczne są jedynie na obrzeżach. Dokładnie tak samo jak u zwierząt. Taran w gniewie zwykła mówić, że Dolg ma focze oczy, ale to nieprawda. Foki mają oczy lekko wyłupiaste, czego nie można powiedzieć o Dolgu. Oczy Dolga są głębokie, czarne i nieprzeniknione.

Chłopiec ma też długie czarne rzęsy. Jest bajecznie wprost urodziwy i... taki obcy. Ale to dobre dziecko. Spokojne, miłe i życzliwe ludziom.

Dlaczego właśnie on musi być poddany takiej okropnej próbie?

Nie, trudno, wszelkie usiłowania na nic. Theresa dzisiejszej nocy i tak nie zaśnie.

Cichuteńko wyslizgnęła się z łóżka, by nie budzić wiernej pokojówki śpiącej w pokoju obok. Włożyła elegancki szlafroczek, a na nogi ranne pantofle i bezszelestnie wymknęła się za drzwi.

Było lato, noc ciepła, ale księżna nie miała ochoty wychodzić do ogrodu. Na schodach werandy leżały te potworne kamienne tablice z inskrypcjami na temat śpiących wielkich mistrzów. Erling i ona zbudzili kilku z nich... nie, nie do życia, to złe określenie, ale w każdym razie do jakiejś egzystencji pod postacią cieni.

Theresa strasznie się bała, że te cienie teraz tropią jej małego wnuczka Dolga. I to z jej winy.

Ale skąd oni mieli wiedzieć, czym się to skończy? Duchy chciały przecież, by Erling przyniósł tablice do Theresenhof, gdzie będą bezpieczne.

Ech, to wszystko takie skomplikowane, takie trudne!

Zeszła na dół do kuchni. Panowało tu nadal przyjemne ciepło po dziennym gotowaniu, było przytulnie i spokojnie. W kuchniach na ogół nic nie straszy.

Theresa odczuwała zbyt wielki niepokój, by siedzieć. Stała po prostu przy oknie i wyglądała na dwór.

Noc była ciemna, księżyc już zaszedł, ale na wschodzie niebo rozdzierały raz po raz błyskawice.

To dobrze, że burza tak daleko, myślała Theresa. I dobrze, że nie na zachodzie, dokąd poszły dzieci.

Sądziła, naturalnie, że musiały pójść ku szwajcarskim górą, gdzie czekał śmiertelnie zraniony ojciec. Nie przyszłoby jej do głowy, że dzieci mogły udać się na wschód.

W drzwiach pojawił się Erling. Theresa instynktownie poprawiła szlafroczek pod szyją i otuliła się nim szczelniej.

— Słyszałem, że schodziłaś po schodach. A później zobaczyłem światło w kuchni — powiedział. — Nie przeszkadzam ci?

— Nie, nie! Przeciwnie!

— Ty też nie możesz spać?

— Nie, przewracałam się tylko z boku na bok. Usiądź przy stole, Erlingu. Dobrze jest mieć towarzystwo w takim niepokoju.

Erling zrobił, jak prosiła. Siedzieli każde po swojej stronie stołu ustawionego pośrodku kuchni, a wielkiego tak, że mogłoby przy nim zasiąść z pięćdziesiąt osób. To była bardzo ładna i przytulna kuchnia, z wypolerowanymi do połysku miedzianymi rondlami na ścianach i z warkoczami czosnku zwieszającymi się spod sufitu. Ogromny, pomalowany na biało piec chlebowy zajmował jedną całą ścianę i znaczną część pomieszczenia.

Theresa postawiła na stole świecę. To było dla niej zupełnie nie znane uczucie, siedzieć w środku nocy w kuchni, a na dodatek w towarzystwie mężczyzny!

Jakie to dziwne — rzekła filozoficznie nastrojona. — W strachu, niepokoju i napięciu człowiek na ogół nie płacze. Jakby wszystkie zmysły i uczucia zostały

zablokowane. Chociaż moi bliscy rozpięchli się gdzieś po świecie i grozi im wielkie niebezpieczeństwo, ja nie płaczę. Nie mogę, ale też i nie mam potrzeby.

Erling skinął głową.

— To przyjdzie później. Człowiek w takim napięciu nawet nie jest w stanie odczuwać smutku.

Theresa spoglądała na niego ukradkiem. Wydawał się taki spokojny i bezpieczny, Theresa była mu szczerze wdzięczna, że jest teraz przy niej. Nagle uświadomiła sobie, że nie zniosłaby tego wszystkiego, gdyby Erlinga nie było w Theresenhof.

Ze smutnym uśmiechem przypomniała sobie, jak niegdyś pragnęła, by Tiril poślubiła Erlinga zamiast tajemniczego Móriego. Teraz już tak nie myślała. Tiril i Móri stanowili jedno, byli nierozłączni.

Inna przelotna myśl pojawiła się w jej głowie. Była rada, że Tiril nie wybrała Erlinga. Z jakiegoś powodu teraz ta ewentualność nie wydawała jej się sympatyczna.

Drgnęła na dźwięk jego głosu.

— Thereso... Czy byłąbyś w stanie rozmawiać o czymś innym niż ten rozdzierający serce niepokój gnębiący zarówno ciebie, jak i mnie?

— Z pewnością byłaby to pociecha, móc rozproszyć choć na chwilę bolesne myśli. Bo przecież i tak nic zrobić nie możemy. I to właśnie jest najbardziej rozpaczliwe. Nie możemy pomóc, natomiast zdołaliśmy zaszkodzić. Mam na myśli to, co się stało, kiedy próbowaliśmy odczytywać inskrypcje na kamiennych płytach.

— Ja powinienem teraz być przy Dolgu — rzekł Erling jakby sam do siebie. — On tam samotnie zмага się z losem, a ja, dorosły, silny i zdrowy mężczyzna, siedzę tu beczynnienie.

— Wróciłeś za późno, żeby mu towarzyszyć, wiesz o tym. Poza tym tam też niewiele byś mógł zrobić.

— Mógłbym chociaż dodawać mu otuchy, żeby nie czuł się taki samotny. Ale teraz takie rozmyślenia nie mają sensu. Właśnie tego powinniśmy unikać. Chciałem ci powiedzieć, że zanim tu przyszedłem, leżałem nie śpiąc i zastanawiałem się, jak to się człowiek miota w tym życiu. Nie wierzę w przeznaczenie, uważam, że mamy wiele możliwości wyboru. Jeśli ja na przykład powinienem iść w lewo, a zamiast tego pójdę w prawo, to zmienię przez to całe swoje życie. Tylko ten jeden jedyny ruch decyduje o wszystkim.

— To przerażające, kiedy się pomyśli, jak niewiele trzeba, by wszystko ułożyło się inaczej — potwierdziła Theresa swoim melodyjnym głosem. — Ty wiesz, że ja głęboko wierzę w Boga i dawniej byłam przekonana, iż we wszystkim, cokolwiek się zdarza, jest głęboki sens, ale teraz już tak nie myślę. Ciągle przecież dzieją się rzeczy najzupełniej bezsensowne.

— No właśnie — zgodził się Erling. — Niby wiemy, czego byśmy chcieli, a nieustannie zbaczamy z kursu.

— To prawda.

— I ty, i ja przeszliśmy w życiu swoje, Thereso. Żadne z nas nie doświadczyło takiego szczęścia, jakie jest udziałem Tiril i Móriego.

— A które teraz źli ludzie chcą unicestwić. Dlaczego, Erlingu? Dlaczego?

Światło rzucało delikatny blask na uczernione sadzą garnki i pięknie rzeźbione szafy, odbijało się ciepłymi refleksami w wypolerowanej miedzi, a kuchenne kąty tonęły w mroku.

Erling przyglądał się księżnej. W jej ciemnych włosach pojawiły się już dawno srebrne nitki, nadal jednak wyglądała bardzo młodo. Zresztą wcale też nie była jeszcze stara.

— Twoje małżeństwo z Catherine... — rzekła niepewnie. — Kiedyś musiałeś chyba być z nią szczęśliwy?

— Owszem, w pierwszych miesiącach tak. Ale to było jakieś gorączkowe i bolesne szczęście, ponieważ nigdy nie wiedziałem, czy mogę na niej polegać i jej ufać. Nie była w stanie spojrzeć na mężczyznę, by nie zaczynać podboju. Nigdy nie miałem pewności, jak daleko się w tym posuwa, trzeba było roku, zanim stało się to dla mnie jasne. Dowiedziałem się wtedy, że nader często przekracza wszelkie granice.

Grymas bólu przemknął po twarzy Theresy.

— Czy myślisz, że ja tego nie znam? Ja nie kochałam mego męża, a mimo wszystko sprawiało mi to ból.

— To upokarza i uwłacza człowiekowi — powiedział kiwając głową. — Czujemy się wtedy podeptani. Jakby nasze uczucia nie miały żadnej wartości i można je było odrzucić, zlekceważyć. Zresztą wtedy, kiedy odkryłem, że Catherine zdradzała mnie przez cały czas, moje uczucia dla niej już zdążyły wygasnąć.

Theresa nic na to nie powiedziała. On wiedział bardzo dobrze, że żadnych cieplejszych uczuć do księcia Adolfa nigdy nie żywiła. I jeszcze teraz doznawała wyrzutów sumienia z tego powodu. Adolfowi też nie musiało być lekko, chociaż nigdy mu nie powiedziała, jak źle się czuje w tym małżeństwie. Jedyne, co mu okazywała, to obojętność.

Ukradkiem znowu popatrzyła na Erlinga.

Właściwie to powinna go była zapytać, jak długo zamierza zostać w Theresenhof. Pewnie musi niebawem wracać do Bergen, do swojej firmy, jest przecież poważnym przedsiębiorcą.

Nie miała jednak odwagi. Nie zniosłaby teraz jeszcze jednego rozczarowania. Pragnęła, żeby został tu długo, jak najdłużej...

Ale też dręczyło ją inne pytanie, już dawno chciała mu je zadać. Teraz się w końcu odważyła.

— Erlingu... Czy mogę zapytać o twój wiek?



Odpowiedział natychmiast.

— Ale... — Theresa zrobiła wielkie oczy. — W takim razie byłbyś ode mnie młodszy zaledwie o rok. Tak, tak, bo widzisz, ja miałam siedemnaście lat, kiedy urodziłam Tiril.

— Jak to miło, że jesteśmy równolatkami. — Erling z uśmiechem ujął jej dłoń spoczywającą na stole. — My, staruszkowie! Dowiedziałem się też, ile lat ma Móri, bo nam się zawsze wydawało, że jest mniej więcej w tym samym wieku co Tiril. A tymczasem nieprawda, on jest dwanaście lat od niej starszy.

Theresa spoglądała w okno.

— Móri wydaje się jakby bez wieku — rzekła w zamyśleniu. — Jakby czas nie miał dla niego znaczenia. Niekiedy sprawia wrażenie młodzieńca, a innym razem znowu jakby miał tysiąc lat.

Żadne z nich nie mówiło o Mórim jako o umarłym. Nie dopuszczali do siebie takiej myśli, dla nich on nadal żył.

Theresa nie cofała swojej dłoni. Dobrze jej było tak czuć na niej delikatnie, lecz stanowczo obejmującą ją rękę Erlinga.

Siedzieli w milczeniu, a błyskawice dalekiej burzy wciąż przecinały niebo. Nigdy jednak nie słyszeli grzmotów.

— To najdłuższa noc w moim życiu — szepnęła w pewnej chwili Theresa.

— W moim także — westchnął Erling. — Ale mimo wszystko... niezależnie od rozpacz i niepokoju, chyba nigdy też nie przeżyłem piękniejszej nocy.

— Ani ja — zgodziła się Theresa cicho. — Chociaż nie roztrząsamy poważnych problemów i mówimy tylko o aktualnych sprawach, o naszym niepokoju, to czuje, że nawiązała się między nami bardzo piękna przyjaźń, Erlingu.

— Ja odczuwam dokładnie to samo.

Theresa uśmiechnęła się.

— Wiesz, tak niewielu ludzi mówi mi po imieniu. Nawet mój drogi zięć nigdy tego nie robi. Ale bardzo chcę, żebyś właśnie ty tak się do mnie zwracał.

— Dziękuję, Thereso — powiedział wzruszony.

Księżna znowu się uśmiechnęła zakłopotana.

— Aż dziwne, że znalazłam sobie takiego dobrego przyjaciela, i to jeszcze mężczyznę w moim wieku!

— Ty bywałeś w życiu bardzo samotna, prawda?

— O, tak! Bardziej niż możesz przypuszczać. Prawdę powiedziawszy to zaczęłam żyć dopiero, kiedy pojawili się przy mnie Tiril i Móri. — Spoważniała. — A dzisiejszej nocy potrzebuję twojej obecności bardziej niż kiedykolwiek.

— Oczywiście, Thereso! Ofiarowałam mi przyjaźń i powinnaś wiedzieć, że ja ze swej strony pozostanę twoim przyjacielem do końca życia. Zawsze możesz na mnie liczyć i polegać na mnie. Gdybyś kiedykolwiek znowu miała jakieś kłopoty albo czuła się samotna i pozbawiona przyjaciół, natychmiast nawiąż ze mną kontakt! Zjawię się niezwłocznie.

— Wiesz, jak miło słyszeć takie słowa? I ty także pamiętaj, że zawsze możesz na mnie polegać. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek zmartwienia, wezwij mnie, będę przy tobie.

— Dziękuję.

Milczeli długo. Theresa nigdy nie miała zapomnieć tej chwili. To była najtrudniejsza doba jej życia, a siedzi oto w towarzystwie Erlinga w ciepłej kuchni, z ręką w jego dłoni.

Spojrzała na niego i poczuła, że serce ze szczęścia omal jej się nie wyrwie z piersi, choć przecież pogrążona była w najczarniejszej rozpacz. Theresa zapamiętała Erlinga takim, jakim go widziała po raz pierwszy wiele lat temu w Norwegii. Była urzeczona jego powierzchownością i manierami, myślała wtedy, że byłby to najbardziej odpowiedni mąż dla jej nieszczęśliwej córki.

Szybko jednak uświadomiła sobie, że tak nie jest. Tiril wybrała Móriego, Erling natomiast elegancką, lecz pozbawioną charakteru Catherine. Catherine żyła chwilą i bardzo łatwo nawiązywała przyjaźnie, szczególnie z mężczyznami. Theresa wtedy była rozczarowana ze względu na Tiril. Teraz nie miała wątpliwości, że córka wybrała właściwie.

Erling się zmienił. Z pewnością stał się bardziej dojrzały. Świadomość, że są równoletkami, wprowadziła ją w zakłopotanie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Erling pije za dużo, choć tego wieczora przecież nie pili. Sam jednak jej się zwierzył, że to okropna sytuacja z Catherine sprawiła, iż szukał pocieszenia w winie. I sam też powiedział, że teraz już żadne wino nie jest mu potrzebne. Rzeczywiście, w ostatnich dniach bardzo zmniejszył ilości wypijanego trunku.

To bardzo Therese uspokajało.

Za czyściutko wymytmymi oknami Theresenhof wciąż jeszcze trwała noc. Księżna spoglądała w ciemność i czuła w sercu dojmujący ból. Postanowili, że nie będą o tym rozmawiać, ale ilekroć pomyślała o swoich bliskich, którzy są gdzieś teraz w tych ciemnościach, do oczu napływały jej łzy.

— Moje małe wnuki — szeptała. — Niech wszystkie moce niebieskie chronią je dzisiejszej nocy!

— Powiniennem być z Dolgiem — powtórzył znowu Erling. — Ale, Thereso, my oboje jesteśmy tylko zwyczajnymi śmiertelnikami. W niczym nie przypominamy Móriego i Dolga. I czujemy się tacy bezsilni.

— Jestem ci wdzięczna, że należysz do zwyczajnych śmiertelników i nie masz żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Cieszę się, że jesteśmy razem dzisiejszej nocy, ty i ja. Cieszę się, że tak po ziemsku martwimy się, czy dzieci teraz nie marzną i nie są głodne albo przestraszone.

Erling uściśnął jej rękę. Długo wsłuchiwali się w nocną ciszę, a ich myśli krążyły wokół tych, na których czekali.

Gdzie jest Tiril? I Móri, i Dolg? Co robią Villemann i Taran, a także Nero?

Przed wszystkim jednak martwili się o zbyt jeszcze młodego, samotnego Doga.

## Rozdział 8

Dolg nie zaszedł, oczywiście, zbyt daleko w tym ciemnym lesie. Kolejna błyskawica oświetliła fragment drogi, zdołał zobaczyć szlak przed sobą, ale niemal natychmiast wszystko znikło i po chwili chłopiec zaplątał się w zarośla. Gałęzie biły go po twarzy i po rękach, ale on przedzierał się naprzód w nocnych ciemnościach... Nagle wpadł do jakiejś kamienistej rozpadliny. Nie było wprawdzie głęboko, ale potłukł się boleśnie.

Skąd przyszło mu do głowy, że mógłby uciec od cieni? Duchy w ciemnościach widzą równie dobrze jak przy dziennym świetle. Przenikają swobodnie przez drzewa i kamienie, jeśli to konieczne.

Znowu szły tuż-tuż za nim i przerażony chłopiec zaczął rozpaczliwie krzyczeć. Próbował wydostać się z rozpadliny, spojrzął w górę, rozglądał się na wszystkie strony i właśnie wtedy nadeszła kolejna błyskawica.

Jego krzyk zagłuszał dudnienie grzmotu. Przed nim, w miejscu dokąd miał zamiar uciekać, stał piąty wielki mistrz.

Wysoko, bardzo wysoko ponad głową Dolga tkwiła najokropniejsza zjawa, jakiej chyba nie mógłby sobie wyobrazić.

Był to wysoki, kościsty i pochylony starszy mężczyzna, ubrany tak jak inni na czarno, w szerokiej opończy, ale bez kapelusza. Ten wielki mistrz był mnichem i najwyraźniej za życia mieszkał w klasztorze. Ascetyczne ubranie, ascetyczne oblicze, a mimo to trudno było się oprzeć jego wielkiemu autorytetowi.

Są tacy ludzie, którzy po dotknięciu jakiegoś przedmiotu, który trzymał w rękach ktoś inny, potrafią wiele o tamtej osobie powiedzieć. Młody Dolg nie potrzebował dotykać żadnych przedmiotów. Wystarczyło, że popatrzył. Teraz też miał wrażenie, iż wie o tej zjawie wszystko. A może też było tak, że owa podobna do cienia istota, tkwiąca na krawędzi rozpadliny, chciała zaszczerpić w duszy chłopca przerażenie?

Tak, bo o innych cieniach kręcących się wokół niego nie wiedział właściwie nic.

Błyskawicznie, dosłownie w ciągu ułamka sekundy chłopiec zrozumiał, jakiego rodzaju człowiekiem był za życia ten upiór. Nie wiedział absolutnie nic na

temat Tomasa de Torquemady. Nie miał pojęcia, jak brzmi imię wysokiego, czarnego cienia. Ale w okamgnieniu zobaczył wspaniały królewski zamek, ów człowiek stał obok królewskiej pary, Ferdynanda oraz Izabelli Hiszpańskiej — Dolg nie wiedział, oczywiście, co to za ludzie — i wszystko wskazywało na to, że jest im niemal równy dostojnością. Chłopiec zobaczył półnagich mnichów, biczących swoje pochylone grzbiety w podobnych do grobowych krypt klasztornych celach, a obok na krzesłach leżały włosiennice. Dolg widział też, jak ten człowiek siada do stołu, na którym znajdują się wyłącznie najbardziej niezbędne pokarmy. Kolejne wizje następowały po sobie tak szybko, że Dolg nie był w stanie oddzielać poszczególnych obrazów, widział, jak ten wielki inkwizytor przesłuchuje heretyków, tych, którzy odważyli się wyznawać inną wiarę niż on sam, widział nieszczęsnych odszczepieńców w ponurych izbach tortur, jednych powieszonych głowami w dół, innych z zatkanymi ustami, choć pojęcia nie miał, dlaczego, widział ich w drodze do katedry okrytych wiązками złocistej słomy z czerwonymi krzyżami na plecach i na piersiach, a tam czekał na nich inkwizytor, surowy i nieubłagany.

Tylko tyle Dolg zdołał zauważyć, przeleciało mu przed oczyma znacznie więcej obrazów, ale nie był w stanie pojąć, co przedstawiają. W tym, co zdołał rozróżnić, nie było ani jednej sceny ukazującej dobro.

Błyskawiczne obrazy przeminęły. Ciężko dysząc ze strachu, z twarzą zalaną łzami, Dolg wyciągnął magiczną runę ojca spod koszuli na piersi. Drżącymi rękami uniósł ją i trzymał przed sobą.

Było ciemno, lecz Dolg usłyszał zdumiewający wybuch, poprzedzony krótkim, złowieszczym śmiechem.

Chłopiec nie pojmował, co to. Pojęcia nie miał, że Tomas de Torquemada znał runy równie dobrze jak on sam. To przecież sam wielki inkwizytor przyczynił się do powstania obu ksiąg zwanych „Rödskinna”. Jedną z nich otrzymał wielki mistrz Zakonu Świętego Słońca, drugą spisał biskup Gottskalk wykorzystując wiedzę zdobytą na Sorbonie. Osobisty udział Torquemady w powstaniu ksiąg polegał na przekazywaniu wiedzy, a następnie na korespondencji z mnichem, jego uczniem i następcą, który to fakt przez całe życie utrzymywał w najściślejszej tajemnicy. Jako fanatyczny katolik odżegnywał się od tego rodzaju wiedzy, a jednocześnie pociągała go ona z przemożną siłą.

Gdy Dolg stał z runą wyciągniętą w stronę upiora, Cień jednym gwałtownym szarpnięciem wy dostał go z rozpadliny. Dolg wrzasnął jeszcze głośniejsze i, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, skierował magiczny amulet w stronę Cienia.

Ten syknął gniewnie, oburzony.

— Głupcze, nie machaj mi tym przed oczyma! Ja ci przecież pomagam!

— Nie — jęknął Dolg na pół z płaczem i opuścił rękę trzymającą runę. — Ty jesteś jednym z nich. Widziałem znak Słońca na twojej piersi.

Cień milczał przez chwilę, a potem rzekł spokojnie:

— Nie jestem jednym z nich. Nie jestem członkiem żadnego śmiesznego, napuszonego zakonu. To taka nowa moda, z którą ja nie mam nic wspólnego.

Usłyszeli groźne pomruki od strony pięciu wielkich mistrzów, których uraziły słowa Cienia na temat śmiesznego zakonu. Dolg udał jednak, że nic do niego nie dotarło. Odwrócił się w stronę, gdzie, jak sądził, znajduje się Cień.

— Więc ty należysz do starszych wielkich mistrzów? Z dawnych czasów?

Nieoczekiwanie w głosie Cienia dało się wyczuć śmiertelne zmęczenie.

— Tak. Z naprawdę bardzo, bardzo dawnych czasów. Ale wielki mistrz... Nie. Ten tytuł został wymyślony znacznie później. W epoce rycerskiej, może nawet w czasach krzyżowców.

Dolg zastanawiał się chwilę, potem odetchnął.

— W takim razie ufam ci. Muszę ci ufać. Przykro mi, jeśli cię uraziłem, nie miałem takiego zamiaru, ale byłem przestraszony. Poczuję się zdradzony przez jedyne przyjaciela.

— Rozumiem cię — odparł Cień krótko. Kolejna błyskawica rozdarła niebo i wtedy zobaczyli, że pięciu wielkich mistrzów otacza ich kręgiem. Teraz jednak Dolg nie zwracał na nich uwagi. Nie mogli mu nic zrobić, dopóki ma do wykonania swoje obecne zadanie. Tak zapewniał Cień.

Dolg wiedział o tym bardzo dobrze. Wiedział, że pozwolą mu wykonać zadanie, ponieważ oni sami zrobić tego nie mogą. Ale później rzucą się na niego.

Poczuł się bardzo mały, samotny i bezradny.

Tylko myśl o umierającym ojcu skłaniała go do działania. Ojciec nie miał teraz nikogo prócz niego.

— Cicho — nakazał Cień.

Dolg nasłuchiwał.

Z daleka dochodziły do nich odgłosy kroków, jakby ktoś wspinał się na wzgórze.

Dolg powiedział udręczonym głosem:

— Idą za nami żywi rycerze Słońca. Śpiący wielcy mistrzowie nas nie opuszczają, a wraz z tobą towarzyszą nam też najstarsi.

— Poza tym... punkt wyjścia — rzekł Cień sucho.

Dolg próbował odnaleźć jego spojrzenie, by zrozumieć, co tamten ma na myśli, ale było zbyt ciemno.

— Czy możemy iść dalej? — zapytał cicho.

— Owszem. I nie przejmuj się tymi czarnymi braćmi, którzy się za nami wloką. Oni nie mogą zrobić ci nic złego.

— Teraz jeszcze nie — dodał Dolg cierpko.

— Jeszcze nie — powtórzył Cień. — Daj mi rękę. Tutaj jest okropnie ciemno.

Tego nie musiał Dolgowi dwa razy powtarzać. Chłopiec ujął lodowatą dłoń, która się do niego wyciągnęła. O tyle spraw chciał zapytać, i dotyczących pięciu

mistrzów, i swojego zadania, ale to nie było miejsce ani czas na takie rozmowy.

Jedno pytanie zdołał jednak wyszeptać:

— Więc ty nie jesteś ich przyjacielem? Nie stoisz po tej samej stronie co oni?

— Trzymam się od nich tak daleko, jak to tylko możliwe! Ja stoję po twojej stronie i po stronie duchów Móriego, nie zapominaj o tym! Naszym obecnym zadaniem, twoim i moim, jest uratować Móriego od śmierci. Wszystko inne nie ma znaczenia.

— Nawet twoje osobiste pragnienia?

— Nawet one — odpad Cień bardzo smutnym głosem.

Dolg uściśnął jego rękę ze współczuciem. Zdumiało go, jaka silna i żywa zdawała się ta dłoń mimo chłodu, który przenikał chłopca do szpiku kości.

— O twoich pragnieniach będziemy mogli porozmawiać później — rzekł pocieszającym tonem.

Po głosie można było poznać, że Cień się uśmiecha.

— Jesteś bardzo dobrym i sympatycznym chłopcem, Dolg.

Jak dobrze było usłyszeć pochwałę! Zastanawiał się przez chwilę, idąc za Cieniem przez gęsty las drogą, której nie było widać.

— Czy ty też uważasz, że mam dziwne imię? — zapytał nagle.

— Nie. To znakomite imię. W moim ojczystym języku, który już dawno temu został zapomniany, oznaczałoby to „Solitaire”.

— Oj — uśmiechnął się Dolg. — A ja nie wiem nawet, co to może znaczyć we współczesnych językach.

— Ten, który jest sam, samotnik, pustelnik, a także diament osobno oprawiony.

— Bardzo mi się podoba takie imię — oznajmił chłopiec uroczyście. Po krótkiej chwili dodał: — Las jest większy, niż sądziłem. I... znowu daleko przed nami pokazują się światła elfów! Czy my przypadkiem nie schodzimy w dół?

— Owszem, ale nie ku tym wielkim bagnetom. Ta góra ma kształt stożkowaty z niewielkim zagłębieniem u szczytu. Wchodzimy w zagłębienie.

— Czy to wygasły wulkan? — zapytał Dolg.

— Zgadza się. Ale to stary i trudno dostępny wulkan, a krater ma tak wypełniony popiołem i lawą, że ludzie nie wiedzą, iż kiedyś był wulkanem. Nadejdzie czas, że będą nad nim latać, i wtedy odkryją, jak się sprawy mają naprawdę.

— Będą latać?

— Tak, ale trzeba na to jeszcze trochę poczekać. Za to my wkrótce będziemy na miejscu.

Dolg od dawna słyszał, ale zdawał się nie zwracać uwagi na żałosne zawodzenie, które narastało, w miarę jak oni z Cieniem zbliżali się do bagna.

Kiedy las się skończył, zrobiło się jaśniej i Dolg zobaczył nieduże okrągłe błota, coś jakby zarośnięte leśne jezioro, po którym poruszały się chwiejnie światła elfów. Wyglądało to tak, jakby tańczące elfy trzymały w rękach małe lampki.

Zatrzymał się na skraju lasu.

— To tam dalej... to wygląda jak... jak kamienny blok.

— Tak, ale idź przez bagno bez lęku. Ogniki wskażą ci drogę.

— Dobrze — odparł Dolg. — Ale nie mam ochoty mieć przy sobie tych tam...

— Wielkich mistrzów? Ja się nimi zajmę.

— A żywi ludzie? Nie pójdą za mną?

Cień się roześmiał.

— Nie, ich nie musisz się obawiać.

— Ty ze mną nie pójdziesz?

— Nie. Od tej chwili musisz sobie radzić sam.

— Ale co mam robić?

— Szukaj! Kiedy znajdziesz, będziesz wiedział, że to jest to. I powinieneś się spieszyć. Duchy walczą o życie twego ojca. Nie utrzymają go już długo.

Dolg spojrział zrozpaczony na Cienia, który wydawał się teraz, w poświacie blednącej już nocy, bardzo wyraźny. Za nimi, w głębi lasu, mignęła gromadka czujnie za nimi podążających wielkich mistrzów. Jeszcze dalej słychać było głosy żywych rycerzy zakonnych i dwóch wiernych giermków.

Cień nie znajdował już żadnego pocieszenia dla Dolga i chłopiec znowu niepewnie patrzył na bagna. Migotliwe błędne ogniki wyznaczały mu drogę. Małe światełka dygotały z podniecenia.

— Nie dostałem od ciebie zbyt wielu wskazówek — westchnął Dolg. — Ale skoro nie chcesz powiedzieć nic więcej, to nie. Trudno!

— Ja nie mogę — usprawiedliwiał się Cień. — Nie mogę ci za bardzo ułatwić sprawy, bo wtedy nie chciałbyś się podjąć czekającego cię zadania. No, idź już, bo zaraz się tu zjawią tamci dranie!

I Dolg rozpoczął swoją samotną wędrówkę.

— Pomóżcie nam teraz wszyscy — szeptał, nie bardzo wiedząc, kogo prosi o wsparcie. Chyba rzeczywiście wszystkich, Boga i duchy, umarłych czarnoksiężników i Madonnę babci Teresy, a także błędne ogniki.

Te ostatnie akurat stanowiły prawdziwą pomoc. Teraz wydawało się, że są większe, prawie jak żyjące istoty. A kiedy wsłuchać się uważnie, to dało się również odróżnić ich słabiuteńkie popiskiwanie, a może to śpiew? Ale trzeba było wrażliwych uszu, dobrej woli i bujnej wyobraźni, by słyszeć ich pieśń.

Żałosny jęk wskazuje mi drogę, myślał Dolg, kiedy na chwiejnych nogach, w swoich najlepszych butach, starał się utrzymać równowagę, przeskakując z jednej kępy trawy na drugą. Żeby tylko szedł prosto tam, skąd dochodzi dźwięk, to...

— Dziękuję wam, moi mali przyjaciele — szeptał do najbliższych ogników.

— Widzicie, ja to wszystko robię dla taty. On jest taki...



Dolg czuł, że troska o ojca dławi go w gardle, i umilkł, by odzyskać kontrolę nad uczuciami. Musiał panować nad sobą, nie powinien był myśleć zbyt wiele o ojcu. To było jego motto podczas całej tej podróży.

Kiedy znajdował się już na bagnach, uświadomił sobie, że z tyłu za nim ma miejsce jakieś zamieszanie. Odwróciwszy się zobaczył, że błędne ogniki znowu się rozproszyły tak, iż nikomu by już nie wskazały drogi.

Cień daleko za nim zagradzał drogę czterem obudzonym wielkim mistrzom. Ich warkliwe protesty niosły się nad bagnami. Dolg zatrzymał się na chwilę, by zobaczyć, co się tam dzieje.

Nie ulegało wątpliwości, że cztery postaci umykały przed Cieniem niczym parskające wściekle koty.

Cień jednak był silniejszy. Musiały ustąpić wobec jego potęgi.

Ale co z piątym? Z tym najniebezpieczniejszym? Od samego początku gdzieś zniknął.

I właśnie to przerażało chłopca najbardziej.

Starał się jednak otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia, jeszcze raz podziękował błędnym ognikom i ruszył w dalszą drogę.

Kamienny głąz był już teraz całkiem blisko. Całkiem blisko był też płacz, który nie ustawał ani na chwilę.

I oto doszedł, był na miejscu.

Kiedy znalazł się w cieniu wielkiego głązu, stanął, żeby spojrzeć za siebie. Teraz ukazali się też żywi rycerze.

W ciszy dźwięczały ich głosy. Echo odbijało je od ścian wygasłego krateru.

— Czy ty też wyczuwasz ten okropny nastrój, bracie Ottonie? — zapytał jeden z głosów.

— Tak, to straszne, wciąż mi się wydaje, że ktoś nas śledzi. Jakieś wielkie czarne cienie. Nie widzę ich, ale...

— No, ja też tak czuję — rzekł inny głos, bardziej prymitywny i najwyraźniej bardziej przestraszony.

— I ja — burknął jeszcze jeden.

— A teraz znowu to przeklęte bagno — złościł się ten, który miał na imię Otto. — Może by się dało jakoś to obejść.

— Myślę, że nie — odpad drugi z rycerzy, zapalając pochodnię. — Popatrz no tam! Ten smarkacz poszedł wprost na bagno! Powinniśmy iść jego śladami. Pójdziemy krok w krok za nim. Wygląda mi na to, że on zmierza do tego wielkiego kamienia.

Zupełnie nie wiadomo skąd nadleciał podmuch wiatru tak silny, że woda na powierzchni oparzelisk zafalowała, i zgasił pochodnię w ręce rycerza, po czym natychmiast ustał.

Wędrowcy zdołali ponownie zapalić pochodnię.

— Ślady zniknęły — stwierdził jeden z ludzi głęboko wstrząśnięty. — Wygląda to tak, jakby je wiatr zdmuchnął.

Rozmawiali przez chwilę, zastanawiali się nad niezrozumiałymi dla siebie sprawami, po czym jeden władczy i donośny głos zawołał:

— Jesteś na bagnach! Wiem, że jesteś! Co tam robisz i czego szukasz w samotności? Przyszliśmy tutaj, by się tobą zaopiekować i bezpiecznie odprowadzić cię do domu!

Nie jestem taki samotny, jak się wam wydaje, pomyślał Dolg, ale nie odezwał się ani słowem.

— Co się stało z twoim rodzeństwem? — rozległo się kolejne pytanie. — Twoja mama się o nie martwi i...

Inny głos starał się uciszyć tamtego.

— Ciii! Jego matki nie ma przecież w domu! — Tyle w każdym razie dotarło do Dolga.

Ku swemu przerażeniu chłopiec stwierdził, że błędne ogniki rozbłysły znowu, płonęły za nim, wyznaczając krętą ścieżkę.

— Spójrzcie tam! — zawołał jeden z ludzi. — Chłopak poszedł tamtędy! Idziemy za nim!

Dolg nie wiedział, co jest gorsze: strach, że prześladowcy odnajdą drogę i dopędzą go, czy też przekonanie, że to przecież nie jest ta droga, którą on szedł.

Tamci kłócili się o to, który pójdzie pierwszy, w końcu rycerze wysłali jednego z podwładnych.

Teraz Dolg nie mógł już dłużej stać beczynn timer. Wyszedł z cienia i zawołał:

— Stój! Nie idź tamtędy! Wpadniesz w topiel i wessie cię bagno!

— O, jest chłopczyk! — wykrzyknął jeden przymilnie. — Co się z tobą dzieje, dziecko? Zabłądziłeś? Sam biedak w nieznanym lesie, pewnie się boisz? Poczekaaj, zaraz ci pomożemy!

— Nie posyłajcie swoich ludzi na zatracenie!

— Głupstwa! Skoro ty przeszedłeś, to my też.

— To idźcie sami, nie wysyłajcie innych! — Dolg był zły.

— Nie myśl, że się boimy! To ty boisz się nas!

Rycerz nakazał swemu słudze wrócić na stały grunt, sam natomiast z dumnie podniesioną głową wkroczył na coś w rodzaju pomostu, wyznaczonego przez błędne ogniki.

— Nie! — krzyknął Dolg. — Nie rób tego! Zawróć!

Gdy rycerz Alexander stanął na bagnie, rozległo się głośnie plaśnięcie i bulgotanie. Odgłosy te powtarzały się raz po raz, w miarę jak tonący ponawiał próby wydobywania się z mokradła.

— Pomóżcie mi! — wrzeszczał w kierunku swoich towarzyszy i chociaż starał się panować nad głosem, Dolg słyszał w nim śmiertelne przerażenie.

Trzej ludzie wbiegli na bagna, ale jeden natychmiast wpadł w głębinę, więc dwaj pozostali zawrócili w popłochu.

— Nie, nie chcę, żeby się potopili — powiedział Dolg cicho. — Nie pragnę niczyjej śmierci, chociaż oni pragną mojej. Pomóżcie im się wydostać — prosił. — W każdym razie tym niewinnym.

On sam nie był w stanie nic zrobić. Cofnąć się już teraz nie mógł. Odwrócił się więc, zakrył uszy rękami i wszedł ponownie w cień wielkiego kamienia.

— Pomóżcie im — szeptał raz po raz.

Krzyki przerażenia docierały do niego mimo wszystko. W końcu usłyszał odgłosy wskazujące na to, że co najmniej jeden z tamtych zdołał się wyrwać z bagna. Słyszał wrzaski rycerza Alexandra, coraz wyraźniej przechodzące w gulgot, nieszczęśnik zachłystywał się wodą, ale wciąż wzywał ratunku. Trwało to i trwało, w końcu jednak zaległa cisza.

Dolg odwrócił się. W świetle pochodni zobaczył na skraju lasu trzech sparaliżowanych strachem ludzi. Na bagnie z zamulonej głębinie wydobywały się z bulgotem bąble powietrza.

Chłopiec poczuł się chory. Oparł się o skałę i trwał w tej pozycji, dopóki nie usłyszał, że tamci trzej powlekli się do lasu.

Jego myśli o błędnych ognikach trudno by określić jako piękne. Przekłęci mali mordercy, powtarzał w duchu. Nie odważył się jednak powiedzieć tego głośno. Jeśli chciał jeszcze kiedyś wrócić do domu, musiał się zdać na ich łaskę.

Wciąż docierały do niego głosy trzech mężczyzn wycofujących się przez las.

— No dobrze — mówił brat Otto. — Tak czy inaczej jestem w stanie sporządzić zadowolający raport. Ten smarkacz nigdy nie wydobędzie się z bagien, więc można go już teraz uważać za umarłego. Pozostałe bachory i psa też trzeba uważać za zaginione na mokradłach. Straciliśmy co prawda wielu ludzi, w tej liczbie brata Alexandra, ale zadanie zostało wypełnione. To możemy oznajmić bratu Johannesowi, jeśli go spotkamy.

W końcu głosy oddaliły się tak, że Dolg niczego już nie słyszał. Był sam.

Las trwał w ciszy.

Z innego lasu po drugiej stronie bagnisk też nic nie było słychać. I nigdzie ani śladu skradających się wielkich mistrzów. Cienia też nie.

Błędne ogniki pogasty.

Nagle chłopiec uświadomił sobie, że żaloszny płacz również ustał.

Nigdy jeszcze Dolg nie czuł się taki opuszczony i samotny jak w tej chwili.

## Rozdział 9

Co ja, na Boga, mam robić? — zastanawiał się Dolg. Ludzka noga nigdy pewnie jeszcze nie powstała na tym wzgórzu, czy jak nazwać tę niewielką suchą wyspę pośród mokradeł, na której znajdował się skalny blok.

Nic nie widzę i pojęcia nie mam, gdzie się znalazłem. Nie mogę czekać do brzasku, bo tymczasem mój tata mógłby umrzeć.

Jestem kompletnie bezradny.

Po omacku wspinał się na głaz i stwierdził z wielkim zdziwieniem, że ten kamień to zastygła lawa. Tak, oczywiście, że lawa, bo co innego mogłoby się znajdować w kraterze wygasłego wulkanu?

Myśl o lawie ożywiła wspomnienia opowieści ojca o jego ukochanej Islandii, której nie widział od wielu lat. Dolg poczuł ucisk w gardle, gdy przypomniał sobie pełne cudownego rozmarzenia spojrzenie ojca, kiedy mówił o swoim ojczystym kraju. Ojciec, którego może już nie ma wśród żywych i który nigdy już nie zobaczy swoich ukochanych wzgórz pokrytych grubymi warstwami lawy ani dzikich wodospadów.

— Pomóżcie mi — szeptał Dolg, głaszcząc chropowatą powierzchnię kamienia. — Pomóżcie mi tak, by tata mógł jeszcze raz zobaczyć Islandię. A wtedy bardzo bym chciał mu towarzyszyć.

Czekał.

Och, ta cisza! Czuł się tak, jak gdyby opuścił świat ludzi — świat duchów zresztą także — i znajdował się w jakimś innym, nie znanym wymiarze. Nie, gorzej! To tak, jakby cała ludzkość wymarła, a on był jedną jedyną żywą istotą na świecie poza obrębem tego krateru.

Było to przeświadczenie tak intensywne, że przynajmniej częściowo musiała się za tym kryć prawda. Ale co to za prawda? Czy to on tak myśli, to jego uczucia? Czy też ktoś inny mu je narzuca?

Ja już nie wrócę, pomyślał. Bez pomocy światełek elfów jestem stracony. A ich już nie ma. Niewielkie bagno przede mną jest puste i ciemne, światełka pogasły.

Cała odwaga opuściła Dolga. O co ma walczyć? Do czego dążyć, skoro i tak

już nie wróci do domu?

Nagle usłyszał jakiś głos, nie był pewien, czy słyszy go z zewnątrz, czy też głos jest w nim, i poczuł na ramieniu czyjaś delikatną dłoń.

— Zapomniałeś o mnie, Dolgu? — zapytał głos, który właściwie nie istniał.  
— Czy zapomniałeś, że idzie z tobą twój opiekun?

Słusznie! Jego kobiecego ducha opiekuńczego! Całkiem o nim zapomniał. Zapomniał o tej kobiecie, która towarzyszyła mu od urodzenia, ale która nigdy, ani razu mu się nie ukazała.

— Nie jesteś sam — ciągnął dalej głos. — Nie widzisz mnie teraz, a ja nie mogę zrobić dla ciebie niczego namacalnego. Wszystko, co mogę, to być przy tobie, wspierać cię i pocieszać.

— To wystarczy — rzekł Dolg. — Dziękuję ci, że mi o sobie przypomniałeś! Ważna jest dla mnie świadomość, że jesteś przy mnie. To mi daje ogromną siłę.

— My, duchy opiekuńcze, po to właśnie jesteśmy przy was, ludziach. Możemy ostrzegać was przed niebezpieczeństwem, a także pomóc w spełnianiu waszych pragnień, przede wszystkim jednak mamy wspierać ludzi, którzy bardzo często w głębi duszy czują się bardzo samotni i zabłąkani w świecie.

Dolg z wdzięcznością skinął głową.

— Ale akurat teraz, w tym konkretnym przypadku, ja pomóc ci nie mogę. Nie mam do tego prawa. Chciałabym tylko, byś wiedział, że przy tobie jestem.

— Więcej nie mogę wymagać. Dziękuję ci, moja droga przyjaciółko.

Z nową odwagą uniósł rękę i ponownie zaczął badać blok lawy.

Po chwili postanowił obejść go w kółko. Głaz leżał na niewielkiej wysepce trwałego ładu, nie całkiem pośrodku mokradeł, ale też z dala od ich brzegów. Wysepkę ze wszystkich stron otaczało bagno.

Okrażenie bloku nastroczało jednak trudności. W jednym miejscu mokradła podchodziły do samego głazu. Dolg, przyciśnięty do powierzchni kamienia, musiał się ostrożnie prześlizgnąć na suchy łąd.

Kiedy znalazł się już za najbardziej niebezpiecznym narożnikiem, odkrył, że przynajmniej dwie rzeczy wyglądają tu obiecująco. Jedna to to, że „wysepka” była czymś więcej niż tylko tym jednym blokiem lawy, składała się z kilku podobnych bloków, a pomiędzy nimi znajdowały się wąskie przejścia. Drugim radosnym odkryciem były światelka elfów.

Znajdowały się tutaj. Chwiejne i pełgające wskazywały mu drogę w jednym z przejść pomiędzy kamieniami.

Cóż! Do tej pory go nie oszukały, więc pewnie i teraz ma szansę przedostać się bezpiecznie.

Dolg podążył korytarzem, który wskazywały ogniki. I teraz w jego reakcjach pojawiło się coś nowego, coś, czego za bardzo nie odczuwał od wyjścia z domu: pragnienie przygody.

Który chłopiec da za wygraną i odejdzie na widok tajemniczego wejścia do nie znanej grotty?

Dolg rozumiał, że czas działa przeciwko niemu. To, co niegdyś musiało być wygodnym i w miarę szerokim pasażem, teraz zostało na wpół zamknięte przez osuwające się bloki.

— Ja się tędy nie precisnę — powiedział głośno, jakby błędne ogniki były żywymi istotami.

Wokół kamieni powstało zamieszanie.

One mnie rozumieją, pomyślał zdumiony.

Ogniki przesuwają się badawczo po skale, ku górze, wokół bloku, po czym zebrały się pod jednym z dwóch kamieni, jakie Dolg widział przed sobą.

— Żeby tu tylko nie było tak ciemno — westchnął.

Tu i ówdzie z lekkim szumem rozbłyskały pojedyncze płomyki. Następnie świetliki zebrały się w dużą gromadkę we wzruszającej próbie dania mu więcej światła.

— Dobrze, teraz muszę spróbować — powiedział Dolg i westchnął. Ukucnął i uważnie studiował wejście, znajdujące się pod dwoma sąsiadującymi ze sobą blokami, chociaż w większej części pod jednym.

Błędne ogniki świeciły i świeciły pełne zapału i zaangażowania, ale zbyt wiele blasku nie były w stanie z siebie wykrzesać.

Mimo wszystko jednak raz po raz udawało im się zaświecić silniejszym płomieniem. I właśnie w jednym z takich momentów Dolg coś dojrzał.

Znaki! Znaki na skale i ślady, że ktoś kiedyś ociosywał lawę, by uzyskać lepszy dostęp do wnętrza.

Niegdyś na wysepce musiały być jakieś rachityczne drzewa wyrosłe z ziaren, które przywiał tutaj wiatr, bowiem na ziemi leżało kilka spróchniałych konarów. Może kiedyś, dawno, dawno temu były to pnie? Światełka elfów tańczyły po nich radośnie.

Teraz Dolg zrozumiał lepiej, na co chciały zwrócić jego uwagę. Spróchniałe drewno może świecić.

Dolg wyjął krzesiwo z małego woreczka, który nosił u pasa.

— Zechciejcie być tak mili i cofnijcie się — poprosił. — Spróbuję zapalić ogień. Potrzebuję pochodni.

Owszem, światełka niemal natychmiast wycofały się z przejścia pomiędzy kamieniami. Zsuwały się po cienkich pniach i przenosiły na bagna, gdzie stały w gromadkach, niezbyt daleko od Dolga, sprawiając wrażenie, jakby go obserwowały, z drżeniem, zaciekawione.

Dolg pocierał krzesiwo i wreszcie, po kilku nieudanych próbach, udało mu się zapalić koniec wybranego konara.

Papier i ołówek przygotował już wcześniej i teraz zaczął kopiować znaki wyryte na skale. Były tak zniszczone przez deszcze i wiatr, śnieg i lód, że chło-

piec musiał przysuwać bardzo blisko płomień pochodni, unosić go wyżej i znowu opuszczać, aż w końcu udało mu się skopiować znaki.



Nie rozpoznawał wśród nich żadnej z magicznych run ojca.  
Natomiast jeden ze znaków, choć nie miał on nic wspólnego z runami, rozpoznał od pierwszego spojrzenia.  
Znak Świętego Słońca.



Chyba rzeczywiście było tak, jak mówili w domu dorośli: rodzina Dolga i wuj Erling wciąż posuwali się jakby o krok przed rycerzami Zakonu. Bo tego miejsca rycerze z pewnością nie znali.

Co prawda bracia Alexander i Otto dopiero co tu byli, ale jedyne, czego pragnęli, to życie Dolga. Nie wiedzieli nic o istnieniu tego tajemniczego wzgórza.

Pojęcia nie mieli o niczym.

Dolg zawstydził się niewyraźnego uczucia triumfu, że ma nad nimi przewagę. Uznał, że najlepiej będzie wrócić na ziemię. Wciąż jeszcze nie dotarł przecież do celu.

Odłożył przybory do pisania, które babcia dała mu w ostatniej chwili. Zmusiła go, by je wziął, choć on sam uważał to za najzupełniej zbędne. Teraz jednak przekonał się, jak bardzo są ważne.

Ale przecież nie oczekiwał tego wszystkiego! A czego oczekiwał? Na to nie umiałby odpowiedzieć nawet w przybliżeniu.

Z pochodnią w lewej ręce prześlizgnął się pod skałą.

Musiał odsunąć trochę ziemi, zrobić większy otwór, żeby się przedostać na drugą stronę.

Okazało się, że tylko na początku korytarz jest ciasny i trudny do przebycia. Kiedy już tam wszedł, po kilku metrach mógł się wyprostować. Raz po raz musiał schylać głowę, ale posuwał się naprzód bez większych trudności.

Błędne ogniki mu nie towarzyszyły.

Wyczuwał, że idzie po kamieniach. Szare nocne światło sączyło się do środka poprzez wąskie szczeliny pomiędzy blokami ponad nim.

Oświetlał sobie pochodnią ściany i stwierdził, że również tutaj znajdują się znaki, rozmieszczone w równych odległościach, a właściwie jeden znak, był to bowiem zawsze ten sam dobrze znany znak Słońca.

To oznaczało, że znajduje się na właściwej drodze.

Korytarz przed nim się zwężał. Akurat w momencie, kiedy miał uczynić kolejny krok, w jego głowie rozległo się ostrzeżenie, słyszał niemal wyraźnie głos, który powiedział: „Stop!” Zatrzymał się.

Korytarz nie wyglądał teraz zbyt przyjemnie. Dolg stał, lecz wyciągał przed siebie pochodnię, by lepiej widzieć.

Coś trzasnęło cicho i w ręce chłopca został tylko mały kikut tego, co przed chwilą stanowiło pochodnię. Pałaca się część leżała na kamiennej podłodze, a obok niej dwa zardzewiałe miecze o wciąż ostrych klingach.

Spadły z góry, kiedy Dolg uniósł pochodnię.

A gdyby tak jej nie wyciągnął przed siebie i sam przekroczył to miejsce. . .

Zaczął drzeć na całym ciele.

Ujął płonąca żagiew. Kawałek nie spalonego jeszcze drewna był bardzo krótki, nie na długo już wystarczy, ale co można było zrobić? Schował drugą część pochodni na wypadek, gdyby jej potrzebował później, żałując, że nie wziął ze sobą jeszcze pozostałych dwóch kawałków drewna.

— Dziękuję ci, moja przyjaciółko, za ostrzeżenie — powiedział cicho. — A przy okazji, jak ci na imię?

I zaraz potem w jego głowie pojawiło się imię Eliveva. Obce imię z innej cywilizacji.

— Dziękuję, Eliveva — szepnął. — Zdaje mi się, że potrzebuję twojej pomocy bardziej, niż oboje oczekiwaliśmy.

Wyglądało na to, że korytarz powinien teraz być bezpieczny. Dla pewności spojrzął jeszcze uważnie w sufit, ale nie zauważył więcej mieczy.

Tam, którą szedł, było ciasno. Akurat w chwili, gdy pomyślał, że formacje skalne nie powinny być o wiele większe, natrafił na ścianę, obok której znajdował się niemożliwy do przebycia otwór. Czyżby to był ślepy korytarz?

Rozgniewany wrócił do miejsca, gdzie spadły miecze. Rozejrzał się wokół. . .

Owszem, w rogu zobaczył otwór, którego przedtem nie widział. Ostrożnie wycofywał się w tamtym kierunku. Nie miał już zaufania do tego miejsca.

Musiał przeciskać się pomiędzy kamiennymi blokami. I nagle nie wiadomo skąd nadleciał silny podmuch wiatru. Pochodnia zgasła.



Dolg znajdował się w jakiejś pustej grocie. Dotykając ścian posuwał się po omacku przed siebie. Nie bał się, miał wrażenie, że nic mu tu nie grozi.

Ale ponownie przyszło ostrzeżenie, tym razem ostre.

Przez chwilę stał bez ruchu.

Potem wyciągnął przed siebie ręce.

To, co wydawało mu się przeciągiem pomiędzy blokami, było czymś więcej. Ukucnął i ostrożnie badał ręką przestrzeń wokół siebie. Był przestraszony.

Najpierw ręka wymacała zimny kamień. Nagle jednak w ogóle wszelki grunt zniknął. Gwałtowny wiatr przeleciał mu między palcami i Dolg domyślił się, że siedzi nad kanałem bardzo starego wulkanu. Prowadził on zapewne do wnętrza ziemi. A w takim razie wulkan nie był całkiem wygasły i mógł się obudzić. Nie, ale z pewnością istniały jeszcze inne otwory, idące w głębi pod górą, w których powstawały przeciągi jak w najwspanialszych kominach.

Ale jakie to wszystko mogło mieć znaczenie dla Dolga? Z tego co widział, tylko jeden kanał mógł prowadzić go dalej. I nie wolno mu było wejść do tego kanału, niechybnie stoczyłby się w głąb, w jakąś nie znaną czeluść.

W dalszym ciągu badał po omacku otoczenie. Wiatr dochodzący z dołu rozwiewał mu włosy, ale chłopiec nie rezygnował. Musiał bardzo uważać, żeby nie stracić równowagi.

Po dłuższej chwili zrozumiał, że może przejść po prawej stronie otworu. Dla pewności pełził na czworakach. Zapalenie pochodni teraz nie miałoby sensu, zgasła by natychmiast.

Żeby tak na zewnątrz zrobiło się widno! Ale do świtu było jeszcze daleko, a jego ojciec nie mógł czekać.

W końcu znalazł się poza idącym z dołu strumieniem powietrza. Obmacał ścianę i stwierdził, że ciągnie się ona dalej. Wstał i ostrożnie, krok za krokiem, posuwał się wzdłuż niej, aż zaszedł tak daleko, że odważył się ponownie zapalić pochodnię.

Kiedy płomień strzelił w górę, Dolg rozejrzał się.

Został mu już do przebycia niewielki kawałek. Przed sobą miał wejście do nieznanej czeluści, za sobą ścianę. . .

I tu również kończyło się kamienne podłoże. Tym razem jednak nie było to groźne. Musiał jedynie zeskoczyć na niższy poziom.

Niełatwo było się zorientować w topografii tego miejsca, lecz Dolg domyślał się, że znajduje się ciągle w obrębie granic „wyspy”. Nie był to wielki obszar, on jednak musiał się wciąż przeciskać pomiędzy blokami niczym w labiryncie.

Na niższym poziomie nie zauważył lawy. To była lita skała obok kanału wylotowego wulkanu.

Przypominał sobie teraz opowiadanie ojca, że stare kratery często mają porowate ściany oraz liczne boczne korytarze i odgałęzienia. Powinien bardzo uważać, bo łatwo tu zablądzić.

Jak dotychczas nie odszedł zbyt daleko od punktu wyjścia.  
Dokąd udać się teraz?  
Gdyby wspiał się w górę z tamtej strony, z pewnością wkrótce dotarłby do kolejnego otworu.  
Warto by go było zbadać.  
Dolg postawił stopę na trochę wystającym kamieniu, wyciągnął ręce, by chwycić brzeg skały i podciągnąć się w górę.  
I wtedy przyszło kolejne ostrzeżenie.  
Dolg natychmiast cofnął rękę i instynktownie odskoczył w tył.  
Straszna lawina wielkich kamieni i odłamków lawy z hukiem runęła na miejsce, gdzie dopiero co stał. Musiał się pospiesznie odczołgać jak najdalej, jeśli nie chciał być uderzony. Mimo to parę kamieni spadło z wielką siłą, raniąc mu boleśnie nogi.  
Przerażony i rozdygotany usiadł w kącie, obejmując rękami trzęsące się kolana. Ból w pokaleczonych nogach był tak dojmujący, że chłopiec musiał zaciskać zęby.  
Ale udało mi się umknąć, pomyślał. Gdybym nie otrzymał ostrzeżenia, leżałbym teraz tam pogrzebany na zawsze.  
Cały teren pełen był pułapek.  
Nie każdy zdołałby tędy przejść!  
Rzeczywiście, nie każdy. Ale on jakoś się posuwa do przodu. Drogi przez mokradła były przed nim otwierane. Za każdym razem, gdy znajdował się w niebezpieczeństwie, przychodziło ostrzeżenie.  
Kim więc on jest?  
Otrząsnął się z tych myśli i zaczął się zastanawiać, co też się kryje za kolejnymi śmiertelnymi pułapkami. Cokolwiek by to było, chronione jest bardzo troskliwie.  
Dolg nie zauważył najmniejszego śladu, który mógłby świadczyć, że jakiś człowiek współczesny próbował się tędy przedostać. Pułapki były nie naruszone. I nigdzie żadnych szkieletów umarłych śmiałków.  
Pytanie tylko, czy to, co zostało tu ukryte, nadal istnieje? Ktoś przecież mógł, podobnie jak on, bardzo, bardzo dawno temu tutaj wejść i to zabrać.  
Może stało się to już za życia Cienia? Tata i mama mówili, że niektóre ślady wiodą aż do starożytnego Rzymu, do epoki cesarzy. Dolg wyobrażał sobie, że Cień należy właśnie do tamtych czasów.  
Tak strasznie dawno temu! Blisko dwa tysiące lat!  
Owszem, bo przecież wielkie bloki lawy zdążyły opaść na dół po tym, kiedy tutejsza droga została wyznaczona.  
Dolg obejrzał swoje nogi, a kiedy przekonał się, że skaleczenia są powierzchowne i nie stanowią zagrożenia, wstał.

Tym razem niewiele miał dróg do wyboru. Zdecydował się na ostatnią, jaka była, i po chwili znalazł się w korytarzu, który powinien prowadzić do krawędzi krateru wygasłego wulkanu.

Znajdował się teraz na poziomie, który musiał leżeć poniżej powierzchni bagnien.

Krótki korytarzyk i Dolg znalazł się na większej otwartej przestrzeni, w której łatwiej było się orientować.

Za nim, w korytarzach, rozległ się łoskot kolejnej kamiennej lawiny.

Nagle w pobliżu wyczuł jakiś ruch. Był właśnie w drodze ku szerokiemu i wygodnemu przejściu, lecz zawrócił instynktownie i pochylił głowę przerażony. Czy to zwierzę? A może...?

Serce chłopca uderzyło niespokojnie.

W głębi ktoś czekał. Ktoś, kto pokazywał mu, że idzie nie tam, gdzie trzeba.

Postać mignęła tylko na ułamek sekundy i natychmiast zniknęła w ciasnym, ciemnym korytarzu.

Dolg długo stał jak sparaliżowany, zanim nareszcie był w stanie poruszyć nogami...

Nie dość że spotkał tu jakąś istotę ludzką, to jeszcze udało mu się w okamgnieniu ją zobaczyć. I właśnie to, co zobaczył, tak go zaszokowało.

Dolg nigdy nie przypuszczał, że coś mogłoby go aż tak wytrącić z równowagi. Serce waliło jak oszalałe, miał sucho w ustach i musiał oprzeć się o ścianę, bo nogi nie chciały go nieść. Kolana się pod nim ugiwały.

— Mój Boże — szeptał. — Mój Boże.

Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Długo wciągał powietrze. Teraz już wiedział, kto to tak płakał w strasznej samotności.

Nareszcie z największym trudem doszedł do ciasnego, wąskiego korytarza. Dolg przyjął, że zjawą chciała, by udał się za nią. A może właśnie teraz popełniał błąd?

Wchodził na teren, który nie był przeznaczony dla niego?

Trudno. Wierzył w pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy. Niespokojnie spoglądał na pochodnię, lecz sprawiała wrażenie, że jeszcze trochę mu poświeci.

Od tej chwili był całkowicie pewien, iż znajduje się poniżej powierzchni bagnisk i jest w drodze do jednej z podziemnych ścian dawnego wulkanu. Przez cały czas jego droga mniej lub bardziej wiodła w dół. Poza tym raz zeskoczył na niższy poziom.

Pragnął, by nie znana istota ukazała się ponownie, ale nie doczekał się tego.

Natomiast Dolg zaczął się powoli domyślać, na czym ma polegać jego tajemnicze zadanie.

Było słowo na oznaczenie tego...

Cóż, najpierw chciał zobaczyć, czy będzie w stanie je wykonać.

W korytarzu, który wskazała mu zjawa, nie musiał posuwać się po omacku. Nie wiedział, gdzie się podział jego przewodnik, było tu mnóstwo różnych przejść, ale dla niego zadanie było oczywiste. Wszystko wskazywało na to, że Dolg zbliża się do celu.

Chłopiec zdawał sobie sprawę z tego, że innemu człowiekowi nie poszłoby to tak gładko jak jemu. Ta nieznana istota, która przyprawiła go o szalone bicie serca, poumieszczała niezdarne i wzruszające, ale bardzo skuteczne ostrzeżenia wszędzie tam, gdzie Dolgowi mogło grozić niebezpieczeństwo. Jeśli na przykład nadepnął na specjalny kamień, który właśnie mijał, została wprawiona w ruch jakaś broń. Ale Dolg widział jedynie czubek broni wbijający się w skalną szczelinę. Zdążył się zorientować, że to strzała z jakiegoś metalu, choć nie wiedział z jakiego. I nie zamierzał tego sprawdzać.

Przy tym kamieniu istota zdołała położyć liść. To wystarczyło, by zwrócić uwagę Dolga. W korytarzu znajdowało się wiele takich suchych liści i Dolg uważał, żeby na nie nie nadepnąć. Nie chciał wiedzieć, przed czym go ostrzegają.

Przez cały czas starał się iść ku końcowi korytarza. Przypuszczał, że tam znajduje się kres jego wędrówki, cel, dla którego tutaj przyszedł. Korytarz zamykał dość duży, okrągły kamień, mniej więcej wysokości Dolga.

Zza kamienia sączyło się słabe, niebieskawe światło.

Czy to znowu błędne ogniki?

Nie, zdawało mu się, że kolor tego światła ma nieco inny odcień.

Tym razem znajdował się w końcowym punkcie, co do tego nie mogło być wątpliwości. Serce chłopca biło tak, że o mało nie rozsadziło piersi, czuł pulsowanie w całym ciele, na szyi, w głowie, w rękach, kolana się pod nim ugiwały. W ustach zaschło mu do tego stopnia, że bał się, iż już nie zdoła oderwać języka od podniebienia.

Ale jeśli to krypta grobowa? Czy starczy mu sił, by tam wejść? Sam?

Jednak musiał. Teraz już nie było odwrotu.

Tatusz... Muszę pomóc tacie.

Dolg czuł, że ze strachu za chwilę zacznie płakać. Przygoda może być zabawna, kiedy się ją przeżywa z innymi, tak że można się nawzajem wspierać. Ale nie w ten sposób, głęboko pod ziemią nie wiedząc zupełnie, o co w tym wszystkim chodzi, nie mogąc przekazać wiadomości nawet najbliższemu, gdzie mały Dolg się znajduje. Tak, bo teraz czuł się naprawdę mały i bezradny.

— Pomóżcie mi — powiedział cicho.

Z wahaniem dotknął kamienia. Potem odłożył na bok pochodnię i ujął głaz obiema rękami. Pociągnął mocno ku sobie.

Kamień lekko drgnął. Dolg popatrzył na swoje drobne ręce i zapragnął mieć teraz niepokromioną energię i siłę pięści swego młodszego brata Villemanna. Villemann nie bał się niczego. Nawet rzeczy i zjawisk, których nie znał. Dolg

zawsze był bardziej opanowany, skupiony i ostrożny. Znakami rozpoznawczymi Dolga były łagodność i smutek. Dolg był marzycielem.

Ale teraz sytuacja wymagała zdecydowanego działania. Dolg nie znał swej siły fizycznej, ale teraz musiał ją wypróbować.

Chwycił głaz tak mocno, jak tylko mógł. Był przecież zaledwie dwunastolatkiem, a tu potrzeba było chyba kilku roślących mężczyzn.

Kamień się poruszył. Zachęcony Dolg szarpnął jeszcze raz i odskoczył w tył.

Kamień potoczył mu się pod nogi i o mało nie zgasił pochodni. Chłopiec w ostatniej chwili zdołał pochwycić palący się jeszcze kawałek drewna.

Otwór był wolny.

Dolg zamknął oczy i przełknął ślinę. Następnie otworzył oczy i postanowił, że się odważy. Przeszedł przez otwór i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, była to naturalna grotka w górze pochodzenia wulkanicznego.

Znajdowała się tam tylko jedna jedyna rzecz: kamienny słupek pośrodku izby. A na samym czubku, tak wysoko, że Dolg wyciągniętymi rękami ledwie mógł jej dotknąć, spoczywała kula. Promiennie niebieska, przezroczysta kula albo, dokładniej mówiąc, kamień.

To błękitne, mieniające się światło sączyło się przez maleńki otworek w skalnej ścianie. Brzask wczesnego poranka padał wprost na kulę i odbijał się od niej migotliwie.

Dolg wstrzymał oddech i stał bez ruchu. W domu widział naszyjnik z szafirami. Ten kamień tutaj to szafir nieprawdopodobnej wprost wielkości, pięknie szlifowany. Ani jedna najmniejsza plamka nie skaziła jego urody.

W głowie chłopca pojawiła się pewna myśl, a właściwie wspomnienie. Co to powiedział cesarz, brat babci Theresy?

„Niedokładnie zapamiętałaś, Thereso. To było o wiele więcej. Oni mieli nie tylko złote słońce, mieli także dwie kule! Jedną czerwoną i jedną niebieską!” „To prawda”, przypomniała sobie babcia. „Ale czy to były kule? A może kamienie?”

Kule albo kamienie... Oboje mieli rację. To musi być największy szafir na świecie. Dolg zdawał sobie sprawę, że nie potrafi go ukryć, nawet gdyby go ujął w obie ręce. Nie tylko on, ale i dorosły mężczyzna by tego nie zrobił.

Kamień był tak niewypowiedzianie piękny na swoim postumencie. Jego uroda nie robiła jednak zbyt wielkiego wrażenia na Dolgu. Coś całkiem innego sprawiało, że czuł mrowienie na skórze.

Znalazł oto od dawna poszukiwane połączenie pomiędzy Zakonem Świętego Słońca a baśnią o morzu, które nie istnieje!

## Rozdział 10

Dolg długo stał, nie mogąc się zdecydować, czy wolno mu dotknąć takiej świętości.

Na tym jednak przecież polegało jego zadanie: miał przynieść kamień.

To oczywiste, że dla ludzi, którzy ukryli go w tym niedostępnym miejscu, kamień był świętością. I rozumiało, że trwali w przekonaniu, iż klejnot posiada wyjątkowe właściwości. Ale długa jest droga od przesądów i wiary w tak zwane kamienie szczęścia do rzeczywistości i do tego, by naprawdę posiadały wyjątkową moc i magiczną energię.

Wiedział na przykład, że pewien kryształ górski jest w stanie wzmocnić siły człowieka, przekazać mu specjalne wibracje. Wiedział też, że istnieje cała dziedzina wiedzy na temat, jak różne kamienie mogą wzmocniać lub ochraniać człowieka, ale szczegółów znał niewiele. Nie zajmował się bliżej tym zagadnieniem, a już zwłaszcza o szafirach nie wiedział nic.

Cóż, ten szafir z pewnością jest wyjątkowy. Ma większe zdolności, niż szlachetne kamienie zazwyczaj miewają. W każdym razie ktoś, kto go tutaj umieścił, na pewno tak sądził.

Jednej właściwości Dolg się domyślał, nie było to specjalnie trudne, można było przypuszczać, że chodzi o uwolnienie. Uwolnienie zaczarowanych dusz.

Dolg wyciągnął ręce w górę i szepnął spontanicznie:

— Wybacz mi, jeśli zrobię teraz coś niewłaściwego. — Następnie objął oburącz stojącą na postumencie przezroczystą, mieniącą się niebieskim blaskiem kulę. — Bądź tak dobry, nie zabijaj mnie!

Jeśli oczekiwał, że stanie się coś dramatycznego, kiedy jego ręce dotkną kuli albo ruszą ją z miejsca, w którym trwała, to się mylił. Nie wydarzyło się nic złego, wszystko dokonało się w ciszy i spokoju. Zdawało mu się nawet, że słyszy coś jakby pełen smutku szum, idący ku niemu nie wiadomo skąd. Ale to tylko przywidzenie, wywołane pewnie uroczystym nastrojem chwili.

Nietrudno było utrzymać kulę i Dolg w wielkim skupieniu, obejmując klejnot ramionami, ruszył ku wyjściu. Nie przesunął z powrotem kamienia blokującego otwór. Trochę dlatego, że był zbyt ciężki, ale też i dlatego, że w pomieszczeniu,

które zamykał, nie było już czego ochraniać.

I właśnie wtedy to dostrzegł. Coś niezwykłego działo się z niebieskim szafirem, ale narastało tak wolno i niezauważalnie, że początkowo wcale nie zwrócił na to uwagi.

Dolg stał ze szlachetnym kamieniem w rękach, unosił go dość wysoko przed sobą. Musiał bardzo wolno wciągać powietrze, tak silne było działanie kamienia.

Została uwolniona jakaś potężna siła i teraz promieniowała z kamienia tak, że chłopiec w całym ciele odczuwał wibracje. Przeląkł się i o mało nie upuścił skarbu, dosłownie w ostatnim momencie chwycił go mocniej.

Tak nie mogę tego nieść, pomyślał, muszę schować klejnot. Zastanawiał się chwilę, po czym wyjął lekki sweter, który babcia zapakowała mu do tornistra. Owinął starannie kamień, ułożył go troskliwie w tornistrze i zapiął dokładnie paski.

Zrobił kilka kroków, po czym podniósł wzrok, żeby się rozejrzeć, i wtedy ponownie zobaczył tamtą istotę, która wskazała mu drogę do kamienia.

Przystanął.

Jeszcze raz ogarnęło go bezgraniczne zdumienie. Był tak wzruszony, że do oczu napłynęły mu łzy. Istota stała w przejściu, jedną ręką wspierając się o ścianę, a w jej twarzy Dolg wyczytał niezdecydowanie.

— Ty jesteś strażnikiem, prawda? — zapytał bardzo ostrożnie i przyjaźnie.

Przemknęła mu przez głowę myśl, potwierdzająca wcześniejsze przypuszczenia. Zrozumiał, że słowa nie mają znaczenia. Ta istota czyta w jego myślach, choć pewnie nie rozumie słów, które on wypowiada.

„Podejdz bliżej, ja nie jestem niebezpieczny”, pomyślał Dolg.

„Miej dla mnie litość”, dotarło do niego w odpowiedzi.

Dolg skinął głową.

„Chodź do mnie! Mam na imię Dolg. Pochodzę z islandzkiego rodu czarnoksiężników”.

Wyczuwał, że pomiędzy nim a tą istotą wytworzył się bardzo piękny nastrój, że serce mu wzbiera wzruszeniem, a do oczu napływają łzy. Wiedział, że przeżywa coś wyjątkowego. Uczestniczy w spotkaniu dwóch czasów.

Starał się, by w jego myślach zawierało się tyle przyjaźni i wyrozumiałości, na ile tylko mógł się zdobyć:

„Czy mi się zdaje, czy spędziłeś tu bardzo wiele czasu? Że oni, ci, którzy ukryli tutaj kamień, zostawili cię, byś go pilnował? A potem o tobie zapomnieli?”

Istota nie wydawała się specjalnie zaskoczona ani przestraszona obecnością Dolga. Ale to chłopca w najmniejszym stopniu nie dziwiło.

Odpowiedź nadeszła natychmiast, Dolg wyczuwał zaufanie, jakby od dawna istniała między nimi wspólnota:

„Ja nie wiem, co się stało. Zostaliśmy napadnięci przez jakieś obce istoty i musieliśmy natychmiast dobrze ukryć nasze klejnoty. Mnie wyznaczono do pilnowa-

nia. A potem... Nie wiem, czy coś im przeszkodziło, czy byli bardzo zajęci, czy tak po prostu o mnie zapomnieli. Czekanie trwało bardzo długo. Już mi się zdało, że nikt się tu nigdy nie pojawi”.

„W takim razie ogromnie się cieszę, że to ja mogłem do ciebie przyjść”, odpowiedział Dolg z uśmiechem.

Tamta istota odpowiedziała mu także uśmiechem.

„Ja też się cieszę. Chcesz mi pomóc?”

„Oczywiście! Ale najpierw jedno pytanie: Czy ty jesteś żywą istotą, czy duchem?”

Odpowiedź długo nie nadchodziła, wobec tego Dolg rzekł pośpiesznie:

„No nic, to nie ma wielkiego znaczenia. W jaki sposób mógłbym ci pomóc?”

Chłopiec rozumiał, że decyzja została podjęta.

„Najpierw ja pomogę tobie”, odparła istota z praczasu. „To będzie moje podziękowanie dla ciebie. A poza tym wielu nastaje na magiczną siłę kamienia, wielu chciałoby ci go odebrać”.

„Dziękuję, ale w jaki sposób ty możesz mi pomóc?” — dopytywał się Dolg cokolwiek zaskoczony.

„Tutaj w podziemnych korytarzach grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, a otwór, przez który wszedłeś, został zasypany kamieniami. Ale ja wiem, jak cię stąd wyprowadzić”.

„Tysięczne dzięki. To bardzo miłe z twojej strony”, rzekł Dolg nieoczekiwanie bardzo oficjalnie. „Widzisz, ja muszę uratować od śmierci mojego tatę, i wszystko wskazuje na to, że tylko ten szlachetny kamień może mu pomóc”.

Strażnik przyznał mu rację.

Ruszyli ku wyjściu i Dolg zobaczył, że istotnie korytarz i wejście zostały całkowicie zasypane kamieniami. Widocznie ci, którzy ukryli kamień, woleli mieć pewność, że nikt niepożądany go stąd nie wyniesie.

Przez chwilę Dolg niepokoił się, że zgaśnie mu pochodnia. Podczas gdy strażnik szedł prosto przed siebie i wskazywał mu inną drogę, zdawało się wiodącą w mroczną głąb ziemi pod wulkaniczną górą, Dolg zwolnił kroku i próbował od dogorywającej żagwi zapalić swój zapasowy kawałek spróchniałego drewna.

„Kiepsko mi idzie”, przesłał w myśli informację strażnikowi. „Zaczekaj na mnie. Boję się, że światło całkiem mi zgaśnie!”

I rzeczywiście, w tej chwili pochodnia zgasła, a na chłopca napadło coś od tyłu, szarpało go i ciągnęło, chcąc mu odebrać tornister.

— Ratunku! — wrzasnął ile tchu w płucach.

Coś przebiegało obok niego i szamotało się z gniewnym sykiem. Teraz w korytarzu panowały ciemności i Dolg, którego jakaś siła cisnęła o ścianę, siedział zgięty w pół, wsłuchując się w odgłosy dziwnej walki. Było tak, jakby walczyły ze sobą dwie pantery, tylko dużo ciszej. Przeciwnicy wydawali głuche pomruki



i ostre parskania, jakieś dwie postaci miały się błyskawicznie w ciemnym korytarzu, zwinne i zaciekle. Czaiły się jedna na drugą, rzucały na siebie. . .

Dolga zajmowały dwie sprawy: musiał bardzo uważać, by mu nikt nie odebrał tornistra z ogromnym szafirem, więc po prostu na nim usiadł, a poza tym nieustannie próbował zapalić pochodnię. Koniec drewna żarzył się słabiutko i chłopiec dmuchał weń niestrudzenie, osłaniając ogień dłonią. Och, ratunku, pomóżcie mi, dobre duchy. Niech pochodnia znowu zapłonie, myślał błagalnie. Niech mi nie zgaśnie to jedyne światełko, jakie mam. Drugą ręką raz po raz sprawdzał, czy błękitna kula znajduje się na miejscu.

I nagle pochodnia buchnęła wielkim płomieniem, a on zrozumiał, że sprawiła to jego własna dłoń, która dotykała szafiru. To magiczna siła kamienia wznieciła ogień!

Odnosił teraz wrażenie, że jego przyjaciel, strażnik, uzyskuje przewagę. Ale przeciwnik wciąż był straszny.

Piąty śpiący wielki mistrz.

Dolga ogarnęła wściekłość.

— Jakim sposobem tu wlałeś, ty stara flądrowo? — wrzasnął, ponieważ piąty wielki mistrz był równie dziwacznie dwuwymiarowy jak inni mistrzowie. Widocznie zbyt długo spał w stosie kamiennych tablic, pomyślał chłopiec złośliwie.

Wielki mistrz — błąkająca się po ziemi dusza Tomasa de Torquemady, o czym jednak Dolg nie wiedział — wbił w chłopca swoje ohydne spojrzenie. I ta chwila nieuwagi wystarczyła, by strażnik ostatecznie uzyskał przewagę. Wielki mistrz spojrział na niewłaściwą osobę i strażnik uniósł talizman Świętego Słońca, oślepiając starego mordercę heretyków.

Rzecz jasna Torquemada nosił na piersi podobny amulet. Tyle tylko że znak strażnika miał najwyraźniej większą moc. Wielki mistrz krzyknął przejmująco i tak piskliwie, jakby nawet głos uległ spłaszczeniu od leżenia pomiędzy tablicami w kamiennej księdze.

Mimo bardzo nieprzyjemnej sytuacji Dolg na myśl o tym wybuchnął śmiechem.

Z ostrym, przenikliwym gwizdem obrzydliwy cień przemknął przez szparę pomiędzy kamieniami i zniknął.

— Uff! — odetchnął Dolg. — Dziękuję!

„Jeszcześmy się go do końca nie pozbyli”, rzekł strażnik ostrzegawczo. „W nim nagromadziło się niewiarygodnie dużo zła. Jeśli chcesz się z nim rozprawić ostatecznie, musisz go przycisnąć do muru jego własnymi grzechami i ohydnyimi postępkami”.

„Ale ja nie wiem, kim on jest. Czy też kim był”.

Strażnik zauważył, że chłopiec drży ze strachu, i skierował ku niemu stanowczą myśl:

„Wyjdźmy stąd jak najszybciej”.

Dolg uznał, że to najlepsze, co mogą zrobić.

Nowy przyjaciel wiódł go przez tajemnicze ciasne korytarze, dopóki nie zobaczyli przed sobą jaśniejącego otworu. Chłopiec zgasił pochodnię i mrużył oczy w świetle. Słońce jeszcze nie wzeszło, nad ziemią budził się brzask, było szaro, a nad bagnami wznosiła się mgła. Tak gęsta, że widział jedynie wąską krawędź kolistego wzniesienia otaczającego krater.

Gdzieś na bagnach krzyknął jakiś ptak, może wielki głuszec. Dolg nie znał się na tym. Żałosne krzyki niosły się daleko.

W powietrzu panowała nieprzyjemna wilgoć, a stopy Dolga zanurzały się w miękkim, mokrym mchu, kiedy tak stał na małej wyspie u stóp wulkanicznej góry. Dygotał w chłodzie poranka, był zmęczony i brudny. Bezsenność dała mu się we znaki.

Dolg i strażnik wielkiego szafiru popatrzyli na siebie. Niegdyś strażnik musiał mieć bardzo ładne ubranie biało-czerwono-złote. Teraz szata zwisała mu z ramion w żałosnych strzępach.

Dolg stwierdził teraz, że to strażniczka; istota z pryncypalu była kobietą, której wieku Dolg nie potrafiłby określić. Przymknęła swoje udręczone oczy i uniosła twarz, by wchłonąć możliwie jak najwięcej światła.

Ta twarz, niezwykle czysta i szlachetna, była niewypowiedzianie piękna, ale nie przypominała istot obecnie zamieszkujących ziemię. W tej właśnie chwili mallował się na niej nieskończony, trudny do pojęcia, jakiś nieznośny smutek, na którego widok serce Dolga ścisnęło się tak boleśnie, że aż jęknął.

Niewiasta otworzyła oczy i uśmiechnęła się łagodnie, z wdzięcznością do tego, który wybawił ją od wiekuistego czekania w ciemnościach. Mógł się tylko domyślać, jak strasznie samotna musiała być przez cały ten czas.

Dolg pamiętał własną reakcję, kiedy wyszedł ze skalnych korytarzy na bagna. Wokół niego panowała cisza. Jakby cała ludzkość wymarła i poza obrębem wygasłego krateru nie było ani jednej żywej istoty.

Wtedy uświadomił sobie, że może jest ktoś inny, kto myśli i czuje tak samo, i że za tym wrażeniem kryje się bolesna prawda.

Teraz wiedział. To nie było jego doznanie, przeżywał wtedy bezgraniczną samotność strażniczki szafiru.

Długo patrzyli na siebie.

Jej czarne loki spadały kaskadami na plecy. Twarz miała bladą, ale nie tak trupio białą jak Dolg. Bo jego dziedzictwo było przecież skutkiem nierozsądnego postępku Móriego, który odważył się na wędrówkę po krainie Śmierci. Ale oczy strażniczki były smoliste czarne, bez chociażby smużki białka, ogromne, lekko skośne pod długimi czarnymi rzęsami.

Dokładnie takie same jak oczy Dolga.

## Rozdział 11

Nie, ona wcale nie była zaskoczona jego widokiem. Ale jak to będzie, kiedy przekona się, że tylko oni oboje należą do tego gatunku, a wszyscy inni ludzie wyglądają zupełnie inaczej?

„Dokąd chcesz teraz iść?”, zapytał Dolg uprzejmie.

„Do domu”, odpowiedziały mu jej myśli. A słowo „dom” nabrzmiate było tęsknotą i samotnością.

„Ja także chcę iść do domu”, pomyślał Dolg zdumiony, bo tym razem słowo „dom” wcale nie oznaczało Theresenhof, choć przecież bardzo kochał to miejsce. Nie, przemknęło mu przez myśl wspomnienie siebie samego, jak jeszcze mały siedzi w łóżeczku i pyta matkę: „Czy niedługo pojedziemy do domu?” Tiril popatrzyła wtedy na niego zdziwiona. „Masz na myśli Norwegię czy Islandię?” A on odpowiedział, że nie wie. Wiedział jednak, że w snach widuje jakiś niezwyklej krajobraz i że jest to krajobraz jego rodzinnych stron. Tylko że teraz nie mógł sobie przypomnieć, jak tam było.

Istota tak bardzo do niego podobna przekazała mu swoje myśli:

„Przedtem jednak musimy pomóc komuś innemu”.

Niemal niedostrzegalnym gestem wskazała mu bagna.

Dolg spojrział w tamtą stronę. Mgła, która przedtem okrywała wszystko i która nadal wisiła nad mokradłami, zmieniła się. Dopiero co bagna trwały mroczne i wymarłe, a teraz pozapalały się na nich błędne ogniki. Rozproszone po całej powierzchni, którą Dolg był w stanie ogarnąć wzrokiem. Małe, niebieskie płomyczki, z daleka wyglądające jak niebieskawe plamy w mglistej bieli. Kiedy tak stał i patrzył na ogniki, zdawało mu się, że podchodzą, zbliżają się do niego, tłoczą u jego stóp.

„Uwolnij je”, poprosiła strażniczka.

„Ale to przecież nie są jedyne błędne ognie, jakie istnieją”, zaprotestował Dolg. „A ja nie mogę jeździć po całym świecie i ich szukać”.

„Nie wszystkie błędne ognie są takie jak te. Większość to zwykłe ogniki, które powstają na bagnach z gnijących drzew i ziemi. Te zgromadziły się na tych ogromnych bagnach, bo wiedziały, że niebieski kamień jest ich jedynym wyba-

wieniem”.

„Czym więc są te światła elfów?”

„To dusze, które nie znalazły spokoju”.

„Rozumiem i bardzo chętnie im pomogę. Co mam robić?”

„Unieś w górę wielki szafir. A potem zawołaj w stronę bagien, z całą miłością i zrozumieniem, na jakie potrafisz się zdobyć, że życzysz im, by szczęśliwie dotarły do domu, to znaczy do miejsc, w których odnajdą spokój. To bowiem nie jest jednolita grupa. One należą do różnych sfer, do różnych czasów i różnych części świata”.

Dolg wziął swój tornister.

„Ja zaraz. . .”

Strażniczka powstrzymała go ruchem ręki.

„Zatrzymaj się. Powinieneś wypowiedzieć te słowa, ale jeśli uczynisz tylko to, to sam już nigdy nie odnajdziesz drogi do domu. Poproś najpierw, by cię bezpiecznie przeprowadziły przez bagna”.

„Oczywiście! Jaki ja jestem nierozumny! A tamte drugie bagna? Te największe? Czy one są również zamieszkane przez. . . Jasne, przecież muszą być, bo pokonałem je bez najmniejszej trudności drogą, którą wyznaczyły ogniki”.

„Teraz też będzie tak samo, gdy tylko się tam znajdziesz, one wskażą ci, które iść”.

„Rozumiem. Jestem gotów”.

Kobieta głęboko wciągnęła powietrze.

„W takim razie możesz zaczynać”.

Dolg rozwinął sweter i wyjął kamień. Ponownie doznał wzruszenia na widok kryształowej czystości klejnotu niebiańskiej barwy. Z najwyższą ostrożnością uniósł go obiema rękami, zastanawiał się przez chwilę nad tym, co ma powiedzieć, po czym zawołał w stronę bagien:

— Drodzy przyjaciele, którzy pomogliście mi przyjść tutaj! Bądźcie równie życzliwi i przeprowadźcie mnie z powrotem przez bagna! Ufam wam! Muszę na was polegać! A teraz życzę wam, by każde z was dotarło nareszcie do domu, który sobie wybierze. Nie wiem, skąd przychodzicie ani jakie przyświecają wam cele, lecz życzę wam spokoju i wszystkiego najlepszego, co tylko mogę sobie wyobrazić. Proszę ten szlachetny kamień, by pomógł wam dojść szczęśliwie tam, dokąd zdążacie!

„Znakomicie”, przekazały mu myśli strażniczki.

Zaległa nieprawdopodobna cisza. Krzyczący na bagnach ptak umilkł, wiatr ustał i mgła trwała w całkowitym bezruchu tuż nad mokradłami. Cała natura wstrzymała dech. Błędne ogniki też się nie poruszały.

Początkowo Dolg myślał, że nie udało mu się ich uwolnić, że szlachetny kamień to oszustwo, szklana kula pozbawiona mocy, choć przecież czuł, że trzyma

w ramionach ogromną siłę. Z klejnotu promieniowała wielka energia. I zrozumiał, że tylko on na całym świecie potrafił odnaleźć niebieski szafir. Duchy, dusze zmarłych istot, nie były w stanie odsunąć wielkiego bloku, który zamykał wejście, a żadna żywa istota ludzka nie mogła liczyć na pomoc błędnych ogników. On jednak należał do tego samego rodzaju co strażniczka i ci, którzy niegdyś ukryli drogocenny klejnot na niedostępnych bagnach.

Nie musiał długo czekać. Najpierw dał się słyszeć delikatny szum i zaraz potem mógł zobaczyć, że tam, gdzie dopiero co znajdowały się ogniki, ukazują się maleńkie elfy i nowo narodzone dzieci ludzkie, nieco dalej widział gromadkę dzieci trochę mniejszych niż on, lecz obdarzonych takimi samymi dziwnymi oczyma, z powodu których tak cierpiał we wczesnym dzieciństwie.

Dzieci patrzyły na niego, a z ich czarnych oczu biła radość. Dolg był tak wzruszony, że łzy spływały mu po policzkach, musiał wytrzeć nos, żeby móc coś powiedzieć.

Widział też większe dzieci. Ułomne, nieszczęśliwe dzieci ludzkie, i zrozumiał, że zostały kiedyś wyniesione do lasu, bo rodzice nie chcieli mieć do czynienia z kalekami. Zostawili malców własnemu losowi. Może dzieci zostały w lesie pomordowane, może tylko porzucone, ale przecież nie były w stanie odnaleźć drogi do domu ani wrócić o własnych siłach. Widział karty z maleńkimi latarenkami w dłoniach, widział poległych wojowników i innych ludzi, którzy zeszli na błędne ścieżki, może w lesie, a może w ogóle w życiu.

Opowiem ludziom, że baśnie o błędnych ognikach są do pewnego stopnia prawdziwe, pomyślał. Jest z pewnością tak, jak powiedziała strażniczka, że większość płomyków to dzieło natury, lecz mity o błędnych ognikach musiały powstać tutaj, na tych rozległych bagnach otaczających święty szafir.

„Ale co z moim tatą? Jak ja się do niego dostanę? Nie chciałbym, żeby odszedł na wieczny odpoczynek. On musi żyć!”

„Kiedy nadejdzie właściwa pora, będziesz wiedział, co robić”, odparła strażniczka. „Dzięki ci, Dolgu z islandzkiego rodu czarnoksiężników! Jeszcze się zobaczymy, bo wciąż jeszcze ani ja, ani moi kuzyni nie zostaliśmy uwolnieni. Ale dzięki tobie jesteśmy na najlepszej drodze”.

Dolg rozglądał się wokół, lecz już jej nie widział. Nie widział też tych istot, które dzięki szafirowi pojawiły się na bagnach, a które były podobne do Dolga.

— Nie! — zawołał przerażony. — Ty nie możesz sobie pójść, nie wolno ci tak po prostu zniknąć! O tak wiele rzeczy chciałbym cię zapytać. Kim ja jestem? Kim jesteś ty i tamci? Chciałbym poznać historię szafiru. Znaku Słońca. Morza. Chciałbym wiedzieć wszystko!

Elfy i pozostałe istoty czekały bez ruchu.

— Podejdźcie! — zawołał Dolg, a echo jego głosu długo jeszcze dzwoniło we wszechogarniającej ciszy.

Czekał, lecz nic się nie działo.

Wobec tego westchnął z żalu i rozczarowania, zrezygnowany owinął szafir, schował go ponownie do tornistra, który starannie zapiął.

Ale teraz nie czuł się już taki samotny. Zobaczył, że małe istotki wytyczyły mu drogę. Niknęła ona gdzieś we mgle daleko na bagnach, lecz Dolg się nie bał. Machały do niego z zapalem, niektóre wybiegały na drogę, inne tłoczyły się u jego stóp. Jakiś mały elf wyciągnął rękę, tak że Dolg mógł wziąć ją w swoją.

Chłopiec wiedział z baśni i mitów, że nie wolno poddawać się elfom, bo wtedy człowiek znajdzie się w ich władzy. Ale czuł, że do tych istot tutaj takie przestrogi się nie odnoszą. On wyświadczył im nieocenioną przysługę, za co okazują mu jedynie wdzięczność. Z całego serca pragnął być jego przyjaciółmi.

Ujął wyciągniętą drobną dłoń, tak małą, że z trudem obejmowała palec Dolga, i ruszył wskazaną przez ogniki drogą.

Towarzyszyły mu z wielkim ożywieniem, tłoczyły się przy nim, wielokrotnie o mało ich nie podeptał. Wszystkie chciały być jak najbliżej niego. Wszystkie chciały go dotykać. Dolg wziął na ręce jakieś dziecko, które zamiast nóg miało dwa kikuty. Niósł je przez bagna na jednej ręce, a drugą trzymał dłoń małego elfa. Zwrócił uwagę, że wszyscy sobie nawzajem pomagają. Większe istoty niosą nowo narodzone dzieci, a jakiś ranny rycerz wprost chylił się do ziemi pod ciężarem wszystkich maleństw, które dźwiga. Młoda, najwyraźniej chora na suchoty dziewczyna, która zwierzyła mu się szeptem, że oczekiwała dziecka i że ojciec dziecka ją utopił, na obu rękach niosła noworodki. Karły wymachiwały latarenkami i starały się rozmawiać z Dolgiem, który rozumiał zaledwie połowę z tego, co mówiły.

Nareszcie znalazł się poza obrębem bagien. Odwrócił się i patrzył na stojącą na skraju mokradła gromadkę.

— Dziękuję — powiedział z uśmiechem. — Pójdę teraz dalej, by pomóc mojemu tacie. Wy zaś jesteście wolni, możecie udać się, dokąd chcecie, albo tam, gdzie jest wasz dom.

Oni jednak wciąż stali, jakby czekając.

— O co chodzi? Chcecie jeszcze raz zobaczyć święty kamień?

Zrozumiał, że to konieczne. Za pierwszym razem zaledwie pokazał im kulę. Teraz chcieli czegoś więcej, jak się domyślał, bo ich szepty, ciche okrzyki i pospieszne rozmowy świadczyły, że są bardzo podnieceni.

Ostrożnie wyjął znowu piękny klejnot. Jeszcze raz słyszał pełen zachwytu szum, przeciągłe „Oooch!”, płomyki na jego widok bladły i w końcu bagna leżały puste. Najwyższy punkt kamiennego bloku sterczał w morzu mgły, a za nim widać było las.

Dolg zadrżał. Został sam i świadomość tego sprawiała, że lodowaty dreszcz przenikał go do szpiku kości. Ostrożnie schował cudowną kulę, rozejrzał się, by odnaleźć powrotną drogę, po czym ruszył przed siebie. Był wdzięczny losowi, że jest już ranek i na świecie pojaśniało, dzięki czemu wszystko stało się bardziej

realistyczne i pod wieloma względami łatwiejsze.

Ale las, do którego się zbliżał, wydawał się potwornie ciemny i ponury. Znowu ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, takie jakiego doświadcza człowiek poruszający się samotnie w nie znanym terenie. Przyspieszył kroku, ale wciąż trzymał mocno w ręce tornister, żeby nikt nie mógł. . .

Nagle stanął jak wryty.

Przed nim wyrósł Cień.

W tym zamieszaniu związanym ze zdobyciem pięknego kamienia Dolg całkiem zapomniał o swoim towarzyszu.

— Ach, kogóż ja widzę! — zawołał uszczęśliwiony. — To dla mnie prawdziwa radość! Najlepsze co mnie mogło spotkać, to twoje towarzystwo tutaj. Wiesz, udało mi się wypełnić zadanie! Pojęcia nie masz, co niosę w tym tornistrze.

— No, a cóż to takiego? — zapytał Cień swoim ponurym głosem.

— Cudownie piękny szlachetny kamień. Niebieski szafir tak urodziwy, że wprost trudno sobie wyobrazić! Cesarz wiedział o jego istnieniu, ten klejnot stanowi połączenie baśni o morzu, które nie istnieje, ze znakiem Świętego Słońca.

— To wszystko brzmi bardzo interesująco, Dolg. Ale czy nie zapomniałeś o swoim posłannictwie w związku z duchami Móriego? A przecież one prosiły cię, żebyś się spieszył jak tylko można. Wkrótce ostatnia iskra życia twego ojca zgaśnie.

— Och, nie! — jęknął Dolg. — Musimy się spieszyć, spieszyć. . .

Cień zatrzymał go ruchem ręki.

— Pozwól, żebym ja zajął się kamieniem. Jeśli chcę, mogę poruszać się w czasie i w przestrzeni. Dotrę do duchów Móriego jeszcze przed wschodem słońca.

— Naprawdę chcesz to zrobić?

Dolg już położył rękę na zapięciu tornistra, ale zaraz znowu ją cofnął.

— Nie, to niemożliwe. Ja muszę sam donieść kamień na miejsce. To moja rola.

— Ale ty nie zdążysz. Dawaj mi kulę!

Skąd Cień wiedział, że kamień jest kulisty? Dolg przypomniał sobie jego słowa: „Nie oddawaj mi tego, co znajdziesz! Żebym cię nie wiem jak prosił, groził ci albo cię straszył, nie oddawaj mi tego!”

— Nie będziemy więcej o tym rozmawiać — powiedział cicho i zaczął biec.

Cień natychmiast go dogonił i szarpnął tak, że o mało nie wyrwał mu ramienia ze stawu.

— Daj mi kamień, ale już!

— Nie! Możesz mnie zabić, a ja i tak nie oddam.

Ledwo chłopiec wypowiedział te słowa, dopadło go czterech wielkich mistrzów. Jakie to straszne wrażenie znaleźć się twarzą w twarz z tymi mglistymi, dziwnie płaskimi upiorami! Nigdy w życiu nie chciałby doznawać tego po raz drugi. Wrzasnął i zaczął wymachiwać rękami, ale żadnego z napastników nie trafił.

Miał wrażenie, że ich tu nie ma, a zarazem był pewien, że są. Nie umiałby nawet sam sobie opisać tego przeżycia.

Przyciskając desperacko tornister do piersi, domyślił się, czego chcą ci czterej. Zbliżyli się coraz bardziej i bardziej, aż stanęli tuż przy nim. Naturalnie idiotyczny stan, w którym się znajdowali, uniemożliwiał im uczynienie czegoś konkretnego, jak na przykład pochwycenie kuli i ucieczka. Mogli jednak unieszkodliwić Dolga, a potem jakaś większa i sprawniejsza siła mogła wkroczyć do akcji.

A owa potężniejsza, zła siła, to nie mógł być nikt inny, jak tylko postać, którą Dolg już przedtem spotkał: ów okropny piąty wielki mistrz. Strażniczka szafiru powiedziała przecież, że jeszcze się go do końca nie pozbyli.

Ci czterej zaś byli wystarczająco skuteczni w próbach powstrzymania chłopca. Oblepiali go niczym czarna, mglista masa, z której wyłaniały się wbite w niego przenikliwe ślepie. Mgła była tak gęsta, jakby przeznaczona do tego, by go zadławić.

Dolg próbował krzyżeć, lecz nie był w stanie, bliskość tych okropnych postaci nie pozwalała mu otworzyć ust, czuł się jak tonący, jeśli natychmiast nie zaczerpnie powietrza, to jego płuca rozerwą się na drobne kawałki.

Mignął mu błysk znaku Słońca, prawdopodobnie na piersi jednego z napastników. Poczuł, że ma pustkę głowie, pociemniało mu w oczach, lecz mimo to nieustannie sobie powtarzał: „Nie wypuszczaj z rąk tornistra, trzymaj mocno, zapamiętaj go starannie, nie wypuszczaj z rąk tornistra!”

Bo jeśli czterem wielkim mistrzom się nie uda, to Cień zagarnie tornister z kamieniem. Sam go przecież przed tym ostrzegał.

Dolg pograżył się w ciemności, nie był w stanie się temu przeciwstawić.

Budził się bardzo powoli. Dokuczał mu dojmujący ból w gardle i w płucach. Czuł się obity i obolały na całym ciele.

Więc tamci jednak zdołali ukraść mu bezcenny skarb? Mimo wszystkich wysiłków i wielkiego poświęcenia nie potrafił donieść go do celu.

Pięknie, nie ma co!

A ojciec czeka!

Rozczarowanie, rozpacz i wyrzuty sumienia były tak wielkie, że Dolg wybuchnął płaczem, a to było chyba najgorsze, co mógł zrobić swoim nadwężonym drogom oddechowym. Poczuł rozrywający ból i starał się powstrzymać szloch. Otworzył oczy i zobaczył ponad sobą mlecznobiałe niebo. Niczym migotliwy opal.

Minęła dłuższa chwila, nim sobie uświadomił, że ten efekt opalizowania to po części skutek jego łez, lecz także mgły, która najwyraźniej cofnęła się teraz i wisiała ponad lasem, oraz słońca wyglądającego spoza mgły.

Leżał nadal obolały. Coś go uwierało w plecy. Pewnie korzeń drzewa albo



kamień.

Kamień?

Ostrożnie pomacał, a potem wyciągnął tornister. Drżącymi palcami odpinał pasek.

Głęboki, zachrypły głos sprawił, że podskoczył.

— Aha, więc jednak jest w tobie jeszcze trochę życia.

— Ciebie — wykrztusił Dolg. — Ale ty nie... Gdzie jest...?

— Nie, ja go nie wzięłem. Ja unieszkodliwiłem tamtych. Na zawsze.

W głosie Cienia słychać było zmęczenie.

— Jak bym mógł odebrać coś małemu chłopcu, broniącemu skarbu, który może uratować życie jego ojcu, i gotów jest sam oddać za ten skarb życie?

Dolg usiadł. Cień stał przed nim.

— Jesteś bardzo błąd — rzekł chłopiec zdziwiony i trochę przestraszony. — Jesteś zmęczony, a ubranie masz podarte. Czy sprawy poszły niezbyt dobrze?

Cień roześmiał się gorzko.

— Niezbyt dobrze, a cóż to za wyrażenie! Ale masz rację, mój mały chłopcze. Pokonanie za jednym zamachem czterech złych duchów wymaga siły. Na szczęście ja jestem mocniejszy niż oni wszyscy, bo ja mam pierwotną siłę. Oni są tylko epigonami.

— Co to znaczy?

— To tacy, którzy są tylko podobni do kogoś, kto był przed nimi. Naśladowcy. Ale wszyscy noszą znak Słońca i dlatego są niepokonani, w każdym razie dla większości. Niemniej jednak mój znak okazał się silniejszy, a moje umiejętności większe.

— Co z nimi zrobiłeś?

— Zakląłem ich, kazałem im zniknąć w głębi ziemi. Wysłałem ich tam, gdzie jest ich miejsce. Do ich grobów, do prochu, w który zmieniły się ich ciała. Już nigdy więcej nie wrócą.

— Ale zmęczyło cię to bardzo — rzekł Dolg ze współczuciem. — I oparłeś się pokusie, by zabrać mi kamień, a zamiast tego uratowałeś mi życie. Należą ci się za to podziękowania. Nie pozwolę ci wziąć kamienia, na co z pewnością masz wielką ochotę, ale...

Cień odwrócił się i spojrzał na niego pytająco.

— Tak?

— No nie wiem — zaczął Dolg zakłopotany. — Przyszła mi do głowy taka myśl...

— Powiedz, jaka.

— Dobrze. Widziałem już, co kamień może zrobić. Ja sam otrzymałem od niego niewiarygodnie wielką siłę. Mimo to nie wiem jeszcze, co ta siła oznacza, do czego jest zdolna. Myślę sobie, że skoro na mnie spłynęła moc, kiedy trzymałem

wielki szafir w ręce, to może mógłbym przynajmniej część tej mocy przekazać tobie?

Cień zastanawiał się długo, a potem rzekł bezbarwnym głosem:

— Spróbuj!

Dolg podniósł się niepewnie i na chwiejnych nogach stanął przed Cieniem. Uniósł ręce i oparł je na szerokich ramionach towarzysza. Poczł pod palcami szorstki materiał opończy, zsunął dłonie w dół, a gdy dotknął rąk Cienia, ten chwycił Dolga rozpaczliwie, jakby chciał wyrazić tęsknotę za czymś nieskończonym. Długo trzymał w uścisku ręce chłopca, w końcu jednak Dolg się uwolnił i pogłaskał głowę Cienia, przeciągnął dłonią po kapeluszu, lekko dotknął włosów nad skroniami, delikatnie musnął czoło.

Potem opuścił ręce.

Skutek był wstrząsający.

Cień ukazał się wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. Nadal pozostawał tylko cieniem, nie widać było rysów twarzy ani jej struktury, ale tak wyraźnie, z taką ostrością Dolg nigdy go nie widział.

— Dziękuję — szepnął Cień wzruszony. — Teraz nie musisz robić już nic więcej, bo wtedy stanę się całkiem wyraźny, a to by nie było dobrze. Chodź, musimy pospiesznie ruszać dalej!

Teraz szło im się dużo łatwiej. Dolg odzyskał swego towarzysza i opiekuna. Czterej obudzeni wielcy mistrzowie zniknęli, a Dolga nie bolało już tak okropnie ani gardło, ani płuca.

Lekkim krokiem szli przez las i wkrótce znaleźli się na wzgórzach, skąd rozciągał się widok na wielkie bagna.

Mgła rozproszyła się i mokradła leżały przed nimi widoczne jak na dłoni. Światło poranka było coraz silniejsze i błędne ogniki tliły się już tylko blade.

Dolg stał bez słowa.

— Wciąż jeszcze bardzo wielu potrzebuje naszej pomocy — rzekł sucho.

— Tak. Ci czekają od dawna. Zrób, co możesz!

— Mam zacząć już tutaj?

— Nie. Zaczekaj, aż zejdziemy na dół! I... Nie pozwól mi być w pobliżu!

— W takim razie najlepiej, żebyś zaczekał tutaj.

— Wystarczy, jeśli zatrzymam się w pół drogi.

Poszli w dół, omijając szerokie rozpadliny. W pewnym momencie Cień przystanął, chłopiec poszedł dalej sam.

Tym razem Dolg już się nie bał. Był świt, a on wiedział, co powinien robić. I wiedział też, że to, co uczyni, przyniesie radość bardzo wielu błakającym się duszom.

Czekały na niego. Stwierdził, że błędne ogniki zgromadziły się przy nim tak, że całe wielkie bagna były puste. Ogniki otaczały go teraz ze wszystkich stron. Prawdopodobnie mokradła po drugiej stronie wzgórz również były puste.

A tu obok niego światełka elfów wyglądały jak mieniący się dywan rozpostarty na ziemi. Cóż za piękny widok! Dołg nie posiadał się z radości.

I nagle jego droga została zamknięta.

Nieoczekiwanie wyrósł przed nim piąty wielki mistrz. Wysoki i groźny, i absolutnie zdecydowany odebrać chłopcu święty kamień.

Co takiego było w tym kamieniu, że nawet umarli pożąдали go ponad wszelkie wyobrażenie?

## Rozdział 12

Poranne słońce płonęło w oknach pięknego pałacyku Theresenhof.

Księżna siedziała skulona na kanapie, otulona pledem. Nocne czuwanie zostawiło ślady na jej twarzy. Nie była już przecież taka młoda.

— Droga przyjaciółko, powinnaś się trochę przespać — powiedział Erling z troską.

— Nie byłabym w stanie. Pomyśl, że oni mogliby nas potrzebować, a my oboje będziemy spać!

— A gdyby tak czuwać na zmiany? — zaproponował.

— Poza tym twoja pokojówka i reszta służby już wstała. Zbudzą nas w razie czego.

— No nie wiem — szepnęła, otulając się szczelniej.

Erling westchnął.

— Bardzo dobrze cię rozumiem. Dla mnie oni też są prawie jak rodzina. Wszyscy. Tiril i Móri zawsze byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, a dzieci są jedynymi, o których mogę mówić „prawie jak moje”. Tak mi żal małego Dolga. To naprawdę wyjątkowy chłopiec, nie tylko z powodu wyglądu. To takie dobre dziecko. I te dwa łobuziaki! I wreszcie Nero... Stary towarzysz Nero. Zawsze tak samo wierny. Wiesz, jak bardzo się ucieszyłem, kiedy mnie tu powitał niby prawdziwego przyjaciela? Oni wszyscy są po prostu wspaniali i nie zasłużyli, żeby znaleźć się w takiej okropnej sytuacji.

Theresa spoglądała na niego sponad pledu zakrywającego jej niemal całą twarz.

— To było z waszej strony dosyć głupie, żeby jechać do tej Szwajcarii i rozgrzebywać stare ruiny, kryjące to paskudztwo. Ale ja też nie mogę się uwolnić od myśli, że to wszystko moja wina.

— Twoja? A to jakim sposobem?

— Gdybym nie dawała Tiril naszyjnika, który dostałam od Engelberta, ani fragmentu klucza, to nic by się teraz nie stało.

— Zapominasz, moja droga, że nasz dobry Engelbert ukradł też srebrny kielich z Hofburga. To był jego błąd, że podarował ci naszyjnik, a poza tym to on też

nie dał za wygraną i wszędzie szukał fragmentu klucza.

— Gdybym nie przekazała naszyjnika Tiril, to byłby on teraz u mnie. Ale Engelbert szybko się dowiedział, że oddalam Tiril, mojej i jego córce, zarówno naszyjnik, jak i fragment klucza. Uff, kiedy sobie teraz pomyślę, że mogłam być zakochana w tym. . . pajacu, to robi mi się niedobrze!

Erling musiał się uśmiechnąć.

— Biskup bardzo się stara, by nie sprawiać wrażeń pajaca, ale masz rację, to określenie najbardziej do niego pasuje.

— Tak.

Księżna przymknęła oczy z bolesnym wyrazem twarzy, jakby sama myśl o Engelbercie sprawiała jej przykrość.

Erling stał przy oknie i przyglądał się jej spod zmrużonych powiek. Serce zalała mu nieoczekiwana fala czułości dla tej kobiety. Urodzenie po słonecznej stronie świata, dla bogactwa i chwały, dla uwielbienia ludu, nie zawsze jest takie zabawne, jak można by sobie wyobrazić. Ona sama nazywała swoje życie trwaniem w klatce zamkniętej na siedem pieczęci etykiety, konwenansów, ostrożności, surowości i z pewnością nie tylko uwielbienia ze strony poddanych! Wielu przecież odczuwa nienawiść widząc, że inni wiodą życie pozbawione zmartwień i kłopotów.

A jej małżeństwo! Od pierwszej chwili pełne chłodu i obopólnej niechęci. Niewierność męża. Jej marzenie o Engelbercie, będące również jakąś formą niewierności.

Życie bez miłości.

Nareszcie wydało mu się, że Theresa zasnęła. To jej dobrze zrobi, pomyślał. On sam nie odczuwał sennaści, był w nieprzyjemny sposób ożywiony, jak to bywa po nieprzespanej nocy, oczy go piekły, miał sucho w ustach, czuł bolesne ssanie w żołądku z niepokoju o tych wszystkich, którzy znajdowali się poza domem, a dla których on nie mógł nic zrobić.

Zaczął wyglądać przez okno. Jakże się przywiązał do tej okolicy i do tego dworu. Do tych gór bielejących na horyzoncie, do pokrytych zielenią dolin, do płynącej w dole rzeki.

Nic go nie ciągnęło z powrotem do Bergen. Odczuwał tylko przykrość na myśl, że będzie musiał znowu spotkać znajomych. Jak go przyjmą? Wszyscy przecież dobrze znali skandaliczne zachowanie Catherine. Jego żona miała romanse chyba ze wszystkimi partnerami męża w interesach, a nawet z jego przyjaciółmi. Wszyscy o tym wiedzieli od dawna, dopiero po jej śmierci Erling przypominał sobie złośliwe uśmieszki, gadanie za jego plecami, tylko że wtedy nie rozumiał, o co chodzi.

Nie będzie przyjemnie wrócić. Siostra Erlinga i jej mąż często dawali do zrozumienia, że chętnie przejęliby jego firmę. Dotychczas puszczał ich aluzje mimo uszu. Niespecjalnie lubił szwagra, a do siostry też nie był bardzo przywiązany.

Bardzo się różnili charakterami, siostra i on. Erling nigdy jej nie wybaczył, że ukryła list Tiril wtedy, kiedy jego młoda przyjaciółka znajdowała się w poważnych kłopotach.

Później Catherine zdradziła go w ten sam sposób: ukryła listy od Móriego i Tiril w sprawie naszyjnika.

Erling był bardzo zmęczony. Dopiero tutaj znalazł prawdziwie przyjazny dom i odpoczynek, którego tak potrzebował. I oto teraz takie straszne nieszczęście spotkało ludzi, których szczerze pokochał. Czy to on przynosi ze sobą tragiczne wydarzenia?

Odwrócił się i spojrzał na uśpioną Theresę. Nie zdając sobie z tego sprawy, uśmiechnęła się czule. Włosy miała w nieładzie, pod oczami sine kręgi ze zmęczenia, a mimo to wyglądała jak mała dziewczynka. Ta dziewczynka, którą niegdyś była, która śniła piękne sny o przyszłym życiu.

Zalało go uczucie wielkiego oddania dla tej kobiety, podszedł na palcach do kanapy i leciuteńko pocałował księżnę w czoło.

Ona natychmiast otworzyła oczy.

Erling odsunął się pospiesznie.

— Wybacz! Byłem pewien, że śpisz.

Uśmiechnęła się.

— To bardzo miłe z twojej strony, Erlingu. Świadczy o twojej czułości i troskliwości.

— I o moim oddaniu. Śpij dalej, ja będę czuwał.

Wyciągnęła do niego ręce.

— Jak myślisz, dokąd Cię zabrał dzieci?

— Pojęcia nie mam. Musimy mu ufać.

— Tak. Nic innego nie możemy zrobić. Nasi ludzie przetrząsnęli połowę dystryktu Kärnten w poszukiwaniu bliźniaków i nie znaleźli nawet śladu. A Dolgowi nie powinniśmy przeszkadzać.

— Może on jest już u Móriego? — zastanawiał się Erling z nadzieją. — A wkrótce dotrze do Tiril.

— Niech go Bóg ma w swojej opiece!

Tiril skuliła się, gdy okienko w zardzewiałych żelaznych drzwiach zostało otwarte. Odrobina światła pojawiła się w szparze i czyjaś ręka wsunęła miskę z jedzeniem. Tiril była wdzięczna losowi, że w lochu panują ciemności. Nie chciała patrzeć na to, czym ją karmią, a wiedziała przecież, że powinna jeść. Sytuacja, w jakiej się znalazła, będzie od niej wymagać wielkiej siły.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Porywacze działali tak sprawnie, że nie zauważyła najmniejszego znaku, który mógłby naprowadzić ją na jakiś ślad.

Jedyne, co do niej dotarło, to parę słów: „Ona zostanie przesłuchana, ale najpierw trzeba ją stąd zabrać i zawieźć daleko”.

Ta potworna bezradność! Ten kompletny brak orientacji. Erling nie mógł chyba przeżyć upadku. Został zepchnięty z takiej wysokiej góry! I Móri. . .

Jej ukochany Móri. Miecz przeszył go na wylot. Raz po raz powracał we wspomnieniach obraz tamtych zdarzeń. Nawet w snach widziała, jak Móri umiera.

Cierpiała bezgranicznie.

Bogu chwala, że dzieci są bezpieczne w domu z babcią! Nic złego ich nie spotka za murem, którym towarzysze Móriego otoczyli Theresenhof.

Ale teraz dzieci są sierotami, nie mają już ojca. Jeszcze o tym nie wiedzą. Nikt w Theresenhof o niczym jeszcze nie wie. Wiadomość o nieszczęściu mogłaby załamać Dolga, to pewne. Dwoje młodszych również ubóstwiało ojca, ale nie tak jak Dolg.

Prawdopodobnie wkrótce dzieci stracą też matkę, pomyślała Tiril trzeźwo. Jakież bowiem miała szanse, by wyjść stąd żywa? Miała być przesłuchana, czy wie coś o sprawach, które chcieli poznać rycerze Zakonu świętego Słońca.

A potem. . . Potem nie będzie im już potrzebna.

Czego oni szukali w tej Szwajcarii, Móri, Erling i ona? Niczego w życiu tak nie żałowała, jak tej wyprawy wiodącej wprost do katastrofy.

Móri też przecież nieustannie powtarzał, że nie powinni jechać do ruin zamku Graben. Ale oni się uparli. A teraz wszystko stracone.

Jedzenie smakowało obrzydliwie. Jakieś ochłapy pływające w zimnym tłuszczu. Wmusiła to w siebie i miała nadzieję, że się nie rozchoruje.

Drzwi zostały otwarte gwałtownym szarpnięciem. Strażnik polecił jej wstać.

Tiril bez trudu pojęła sens rozkazu, gesty strażnika wskazywały wyraźnie, o co mu chodzi. Ale z jego słów rozumiała jedynie oderwane fragmenty. Strażnicy rozmawiali po francusku.

Nigdy dotychczas ich jeszcze nie widziała. Tylko dwa razy dziennie przez okienko wsuwała się męska ręka, popychająca miskę z jedzeniem. Nikt się przy tym nie odzywał. Zdumiało ją to, że strażnicy mówią po francusku. Czyżby znajdowała się we francuskojęzycznym kantonie Szwajcarii? Myślała, że wiozą ją do rezydencji kardynała w Sankt Gallen, to przekonanie niosło też jakąś pociechę, że mimo wszystko znajdzie się bliżej domu.

Teraz wyglądało na to, że przeciwnie, oddaliła się od Theresenhof, wywieziono ją na zachód.

Ponad wszystko pragnęła wrócić do domu, była pochłonięta tylko tą jedną myślą. Do domu, do dzieci, chociaż bardzo ciężko będzie powiedzieć im o tym, że straciły ojca. Ale teraz one potrzebują jej najbardziej, na te gry tutaj nie miała czasu.

Strażnicy związali jej ręce na plecach, a oczy przesłoniли szmatą owiniętą wokół głowy.

— No teraz się trochę przejdziemy — powiedział jakiś prymitywny głos. Tak przynajmniej przetłumaczyła sobie jego słowa.

— Dokąd mnie prowadzicie? — spytała swoim nieporadnym francuskim.

Tamci wybuchnęli śmiechem.

— Do miejsca, gdzie szczury czują się najlepiej, do lochu pełnego pleśni i gówna. Pojedziesz daleko, ty cholerna babo. Nikt jeszcze stamtąd nie wrócił.

Z dłuższego przemówienia Tiril zrozumiała, że zanosi się na jakąś podróż, i domyśliła się reszty. Choć nie umiała przetłumaczyć słów strażnika dokładniej, pojmowała ich sens.

— Ale najpierw nasz pan chciałby z tobą porozmawiać — powiedział jeden.

Popychali ją przed sobą przez zardzewiałe drzwi, a potem na górę po krzywych schodach. Potykała się wielokrotnie, szła przecież po omacku, ale oni nie zwracali na to uwagi. Nie uznali za stosowne jej pomoc, wprost przeciwnie, najwyraźniej bardzo ich bawiło, gdy Tiril o mało nie spadła z poszczerbionych schodów.

Nagle powietrze stało się jakby bardziej czyste. Domyśliła się, że weszli do czegoś w rodzaju poczekalni. Buty stukwały po gładkiej drewnianej podłodze, aż echo odbijało się od zbroi i broni wiszącej na ścianach. Prowadzono ją dalej przez liczne sale i długie korytarze.

Boże drogi, to przecież jakiś wielki i bardzo elegancki zamek, myślała zdumiona Tiril. Gdzie ja się znalazłam?

Nareszcie kazali jej się zatrzymać. Jeden ze strażników zwracał się z wielkim szacunkiem do stojącej przed nią osoby.

Przez chwilę trwała cisza. On mi się przygląda, pomyślała. Ciekawe, co go tak interesuje. Włosy muszą mieć skołtunione i pełne słomy z lochu, spódnice przemoczoną od zalegającego tam błota. Nie mówiąc już o butach, w których przy każdym kroku słychać chlupot.

Nareszcie rozległ się jego głos:

— *Madame. Je suis frère Gaston. Je voudrais...*

— Chwileczkę! — Tiril przerwała mu po niemiecku. — Ja nie znam francuskiego.

Nie poinformowała go, że trochę jednak w tym języku rozumie. To nie powinno go obchodzić.

— *Merde!* — wrzasnął, a Tiril wiedziała, że to przekleństwo. Takich słów człowiek zawsze uczy się w obcym języku najprędzej.

Zyskała jednak pewność, że ma do czynienia z jednym z braci zakonnych. „Brat Gaston”, tak powiedział.

Tiril domyśliła się też czegoś jeszcze. Otóż nie znajdowała się w jednym z francuskojęzycznych kantonów Szwajcarii, ona znajdowała się w samej Francji. Upewniły ją w tym dalsze słowa Gastona, skierowane do podwładnych. Słowa



przepływały obok niej trudnym do pojęcia strumieniem, zorientowała się jednak, że jest mowa o przeprawie przez Pireneje.

Zatem odwiozą ją do Hiszpanii! A potem on powiedział coś, co sprawiło, że Tiril drgnęła. Wynikało z tego, że ma tam zostać uwięziona i czekać na kolejne spotkanie rycerzy Zakonu. Najprawdopodobniej odbędzie się ono wkrótce.

Po tym wszystkim została znowu bezceremonialnie odprowadzona do lochu.

Erling i Móri powinni o tym wiedzieć, pomyślała i nagle ostry ból przeszył jej serce. Z żalu i rozpacz była bliska załamania. Erling i Móri. Ich przecież nie ma już na tym świecie! Tiril jest teraz sama. Kompletnie sama, bo przecież mama Theresa nie jest w stanie nic zrobić. A tylko oni, jej rodzina, wiedzą o istnieniu potwornego Zakonu Świętego Słońca.

Mój Boże, nigdy więcej nie zobaczę dzieci, myślała przytłoczona nieszczęściem.

Nieoczekiwanie zaczęła myśleć o promieniu księżyca, na który zwróciła uwagę, kiedy napastnicy wieźli ją do lochu. Zobaczyła wtedy tylko jeden jedyny promień i doznała wrażenia, jakby on chciał jej coś przekazać. Może miał jej przesłać od kogoś pozdrowienie? Powiedzieć, że nie powinna tracić odwagi?

W każdym razie tak to odebrała i to stanowiło wielką pociechę.

## Rozdział 13

W blasku wczesnego poranka piąty wielki mistrz stał pomiędzy małym Dolgiem a rozległymi bagnami. Wiodła przez nie powrotna droga chłopca do domu, którą powinien był pokonać jak najszybciej. Czas naglił. Wkrótce nie będzie można uratować jego ojca, może nawet już teraz jest za późno. Dolg w żadnym razie nie miał czasu na kolejną walkę.

Ale sytuacja wyglądała poważnie.

Zauważył, że światełka elfów na bagnach są bardzo zaniepokojone. Czekają, być może przez setki, a nawet tysiące lat, na uwolnienie z tej ponurej „egzystencji” w postaci błędnych ogników. Teraz ratunek był już tak blisko i oto pojawia się przeszkoda.

Zły wielki mistrz wznosił się nad chłopcem niczym góra. Był pochylony, miał świdrujące, ciemne oczy, tyle w każdym razie Dolg dostrzegał.

Chłopiec był śmiertelnie przerażony. Ten mistrz stanowił dużo większe zagrożenie niż tamci czterej razem wzięci. Co to powiedziała strażniczka szafiru?

Próbował przypomnieć sobie słowa, lecz jego mózg był pusty. Znajdowało się w nim jedynie miejsce na przerażenie.

Ale jedno wiedział mimo wszystko: nie wolno mu użyć wielkiego szafiru. To najgorsze, co mógłby uczynić.

Kamień bowiem działał pozytywnie, jeśli nawet sprawiał, że jakieś istoty zniknęły, to działo się tak dlatego, że one chciały zniknąć.

A wielki mistrz, którego miał przed sobą, nie żywił tego rodzaju pragnień, na to Dolg mógłby przysiąc. Do czego ta ponura zjawia miała zamiar wykorzystać magiczny kamień, nie wiadomo, ale Dolg zdawał sobie sprawę, że do niczego dobrego, ani dla świata, ani dla samego kamienia. Wyłącznie dla wielkiego mistrza.

W głowie zaczynało mu się rozjaśniać. Powróciły słowa strażniczki: „Jeszcześmy się go do końca nie pozbyli. W nim nagromadziło się niewiarygodnie dużo zła. Jeśli chcesz się z nim...”

Dolg cofał się, starając się odejść jak najdalej od mary.

I nagle przypomniało mu się! „Jeśli chcesz się z nim rozprawić ostatecznie, musisz przycisnąć go do muru jego własnymi grzechami”.

Tak powiedziała strażniczka!

Ale na co mu się to zda? Dolg i tak nie orientował się, kim był ten wielki mistrz. To, czego się wcześniej dowiedział, nie wystarczało.

— Cieniu! — zawołał. — Zejdź tu do mnie! Potrzebuję twojej pomocy! Szybko!

Sam słyszał w swoim głosie panikę.

— Jestem przy tobie — rozległo się tuż za nim. — Ale bardzo mi przykro, nad nim nie mam władzy.

Dolg powtórzył szeptem wszystko, co mówiła strażniczka, i zapytał Cienia, czy wie coś o tym człowieku.

— Mógłbym odszukać historię jego życia w księdze wieku świata — odparł Cień. — Ale to ty będziesz musiał sobie dalej z nim radzić. Ja tylko przekażę twoim myślom informacje o nim. A ty powtórzysz głośno wszystko, czego się dowiemy z księgi!

Wielki mistrz wyciągnął rękę, by porwać tornister Dolga, ale chłopiec uskokzył w bok. Po chwili informacje zaczęły dosłownie bombardować jego myśli, w końcu musiał poprosić Cienia, by nieco zwolnił, bo nie był w stanie przyjmować wszystkiego do wiadomości.

Jakim wspaniałym odkryciem dla historyków musiałaby być ta „księga wieku świata”, przemknęło mu przez głowę. Ale, oczywiście, żadna taka księga nie istniała, po prostu Cień chciał wyrazić się obrazowo.

— Wy pochodzicie z niższego stanu szlachty hiszpańskiej — powiedział Dolg wysokim dziecięcym głosem. — Już w dzieciństwie nienawidziliście wszystkich, o których sądziliście, że robią wam krzywdę. Nienawidziliście Żydów, bo, waszym zdaniem, zajmowali oni najlepsze stanowiska, jakie przysługiwały szlachcom niższego stanu. Wy sami jesteście wnukiem Żydówki i z tym upokorzeniem nigdy nie zdołaliście się pogodzić. Wasze nazwisko brzmi Tomas de Torquemada. Nie, nie podchodź bliżej! Proszę stać z daleka i posłuchać o swoich przestępstwach wobec ludzkości!

— Ja nie popełniłem żadnych przestępstw — wysyczała postać. — To byli heretycy, niewierni, którzy dokonywali przestępstw przeciwko Panu. Ja jestem Mu bardzo bliski i Pan był ze mną, kiedy mnie prześladowano. Kiedy prześladowali mnie wszyscy!

Dolg udawał, że nie słyszy. Powtarzał wszystko, co wpływało do jego głowy. I bardzo się wystrzeżał, by nie patrzeć ponurej istocie w oczy.

— Byliście jedynym, który mógł dać kontynuację swemu rodowi. Ale wy zrezygnowaliście z tego za prawo „służenia Panu” na wasz straszliwy sposób. Tak więc ród wymarł wraz z waszą śmiercią.

Dolg mówił szybko, bardzo szybko, tak żeby okropna postać nie zdołała wtrącić ani słowa. Uważał ponadto, że te pierwsze informacje są mało interesujące, i nie pojmował, w jaki sposób mogłyby zranić duszę wielkiego mistrza.

— Mając piętnaście lat zostaliście dominikańskim zakonikiem w klasztorze świętego Tomasza w Segowii, a w wieku lat trzydziestu dwóch zostaliście jego przeorem. W tym czasie w Hiszpanii zapanowała inkwizycja. Królowa Izabella długo się jej przeciwstawiała, ponieważ ona i jej małżonek, król Ferdynand, czerpali znaczne dochody od miejscowych Żydów. W końcu jednak para królewska zażądała, by inkwizycja znalazła się pod jej bezpośrednią kontrolą, zamierzała bowiem czerpać wielkie zyski, przejmując złoto i majątki skazanych Żydów. Papież się na to nie zgadzał, bo w takim razie on tracił poważne dochody, lecz Ferdynand i Izabella trwali przy swoim i wyznaczyli was jako wielkiego inkwizytora dla całej Hiszpanii. Działo się to w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim. . .

Jeszcze raz chłopiec musiał uskoczyć w bok przed atakami wielkiego mistrza. Tym razem udało mu się zbliżyć do granicy bagna.

— Żyliście bardzo ascetycznie i skromnie po to, by inni czynili podobnie. Byliście spowiednikiem Izabelli i dzięki temu wasz wpływ na sprawy Kościoła w Hiszpanii był wielki. W końcu jednak tkwiące w was zło wyszło na jaw, zaczęły się fanatyczne prześladowania Żydów, Maurów oraz innych niechrześcijan, a także tych wszystkich, którzy chcieli zerwać z Kościołem katolickim, czyli hereetyków.

W tym właśnie momencie Dolg spojrział na upiora i mógł sam stwierdzić, jak niebezpieczna to postać. Czuł, że bez najmniejszego oporu podporządkowałby się władzy tego despotycznego człowieka, a to by oznaczało koniec wszelkich rozmów i z pewnością musiałby oddać mu szafir.

Nie wolno do tego dopuścić.

Mówił więc dalej. W większości były to mało interesujące informacje, ale nie mógł zacząć się zastanawiać, które wybrać, a które odrzucić. Musiał powtarzać wszystko, co przekazywał mu Cień.

— Przekonaliście Ferdynanda i Izabellę, by wypędzić z kraju wszystkich Żydów. Izabella wahała się, w końcu jednak również i tutaj wasza wola została spełniona. Uchodźcy byli bardzo, bardzo biedni, wasza trójka jednak wzbogaciła się niezmiernie, bo przejęliście wszystkie ich majątki. Aby przekonać naród, że wasze postęпки są dobre i służą Panu, zorganizowaliście fałszywy proces sądowy. Pamiętacie tych ośmiu znamienitych Żydów, którym zarzuciliście, że uprowadzili hiszpańskiego chłopca, ukryli go w grocie, gdzie jakoby mieli go torturować, a potem zabić? Działo się to w La Guardia. Sprowadziliście wszystkich ośmiu do Segowii, gdzie znajdował się wasz dom, tam byli torturowani, a na koniec spaleni na stosie.

— Milcz, ty bezczelny! Popatrz mi w oczy i oddaj mi nareszcie drogocenny kamień — wymamrotał wielki mistrz, a zarazem wielki inkwizytor, Dolg jednak nadal szczęśliwie unikał jego ataków.

— Czy pamiętacie, jak w każdy dzień świąteczny kazaliście mnichowi wspinać się na kościelną wieżę i patrzeć, z których kominów unosi się dym, bo dzięki

temu wiedzieliście, gdzie mieszkają heretycy?

Do tej chwili Torquemada najwidoczniej nie brał chłopca poważnie. Teraz nareszcie Dolg usłyszał lęk w jego głosie, gdy wysyczał:

— Zamilknij nareszcie! Zamilknij!

„Jeśli chcesz się z nim rozprawić ostatecznie, musisz przycisnąć go do muru jego własnymi grzechami i ohydnyymi postępami”, powiedziała strażniczka szafiru. Kiedy Dolg o niej pomyślał, przeniknął go dreszcz wzruszenia i tęsknoty. Ona była podobna do niego. Była jedyną istotą na ziemi, która. . .

Nie, teraz zapomniał o wszystkich małych błędnych ognikach, którym przywrócił pierwotną postać, a które też były takie jak on. I zwrócił uwagę jeszcze na coś innego. Błędne ogniki na wielkich bagnach niepostrzeżenie zbliżały się. Znajdowały się w pół drogi do stałego gruntu i gromadziły się wokół. . . wielkiego inkwizytora!

Chyba nikt nie byłby w stanie pomóc straszemu upiorowi. Co to Cięń powiedział Dolgowi jakiś czas temu? „Błędne ogniki na wielkich bagnach czekały długo”.

A może one również były. . . z rodu Dolga?

Te myśli rozproszyły jego uwagę. Zapomniał, że powinien nieustannie mówić, i nieoczekiwanie poczuł działanie siły woli wielkiego mistrza. Ręka trzymająca tornister zrobiła się słaba i bezwolna, jakby sama chciała oddać szafir.

Ale jednocześnie dotarły też do niego myśli Cienia: „Słuchaj, co mówi historia, Dolg!”

Skupił się znowu i zaczął gorączkowo mówić:

— Wasza pożyteczność rzeczy była nienasycona. Umieszczaliście szpiegów w celach prześladowanych. Wszędzie było wielu waszych zaufanych. Wieści o procesie w La Guardia rozeszły się szybko po całym kraju, wzniesając nienawiść do Żydów. Wasza pycha, nietolerancja i złość były tak wielkie, że papież chciał odebrać wam władzę. Kiedy się to nie udało, papież przysłał z Rzymu czterech asystentów, aby wraz z wami wykonywali wasze zadania i mieli oko na to, co się dzieje. Dwóch z nich odmówiło współpracy z wami. Dwaj inni byli równie źli jak wy. A teraz zostanie opowiedziane, jakimi metodami się posługiwaliście, panie wielki inkwizytorze. . .

Mara wydała z siebie okropny, głuchy krzyk i rzuciła się na Dolga. Znalazła się tak blisko, że chłopiec poczuł mdły odór zgnilizny. Pospiesznie odskoczył i zapytał Cienia, dlaczego ten upiór tak się boi słuchać o swoich przestępstwach.

Zaraz potem usłyszał głos Cienia.

— To dlatego, że szafir służy dobremu. Jest to święty kamień, kamień książąt Kościoła. Wspiera miłość, wiarę i przyjaźń, pomaga współczuciu, lecz przeciwdziała wszelkiemu złu. Dlatego Tomas de Torquemada nie chce, by jego straszne postępkę wyszły na jaw. Bo wtedy kamień nigdy nie będzie należał do niego.

— Jedyne, co z tego można odnieść do Torquemady, to tylko to, że był księciem Kościoła, prawda?

— Tak, ale ten tytuł nie zawsze oznacza dobro. A teraz słuchaj!

Dolg przyjmował wiadomości przekazywane przez Cienia i powtarzał je głośno:

— Co najmniej dwa tysiące heretyków zostało przez was skazanych na śmierć, tortury i spalenie żywcem. Jeszcze więcej otrzymało równie straszne kary. Zachowali co prawda życie, ale byli dręczeni ponad wszelkie wyobrażenie. Czy chcecie teraz posłuchać, jakie to metody były stosowane z waszego rozkazu?

Chłopiec znowu odskoczył, by uniknąć kolejnego ataku. Wyglądało na to, że wielki mistrz w swojej obecnej postaci nie jest specjalnie szybki w działaniu. Nietrudno było mu umknąć.

— Kiedy uznaliście, że więzień jest winien herezji, był on rozbierany i przywiązywany do stołu tortur. Ponownie wymuszano na nim przyznanie się do winy, w imię miłosierdzia Pańskiego, bo nikt nie chce patrzeć, jak cierpi, twierdzili wasi pomocnicy, którzy byli takimi samymi nędznikami, jak wy. (Te ostatnie słowa wywołały kolejny ryk Torquemady). Jeśli nieszczęśnik w dalszym ciągu odmawiał przyznania się do winy, to na przykład wieszano go za związane na plecach ręce. Żeby bolało go jeszcze bardziej, od czasu do czasu potrząsano liną, na której wisi. Kiedy indziej przywiązywano ofiarę do drabiny, głową w dół. Wpychano jej w usta szmatę, którą polewano wodą. Kiedy ciecz spływała do gardła i wciskała szmatę do przełyku, nieszczęśnik dostawał potwornych torsji i, bliski uduszenia, szamotał się rozpaczliwie, w wyniku czego mocno naciągnięte liny wrzynały się w ciało i... Nie, Cieniu, ja nie chcę już więcej słuchać o potwornościach tego tchórzliwego szczura.

Dolg szlochał. Był chory od tych wszystkich okropnych wizji, które Cień wywoływał w jego myślach.

— A najgorsze było to, że ten nędznik mówił ludziom, którzy nie akceptowali jego metod, że nie ma nic ważniejszego, jak służyć Panu.

— To prawda — wysyczał ochrypy głos wielkiego inkwizytora. — Wszystko to robiłem na chwałę Pana i w dniu sądu zostaną wezwany i posadzony po Jego prawicy!

— Wątpię — prychnął Dolg. — Ale kara spotkała was już za życia. Odwołano was z najwyższego stanowiska, pozbawiono również innych godności państwowych oraz tytułu biskupa. Zachowaliście jedynie tytuł wielkiego inkwizytora. Dali wam pięćdziesięciu konnych rycerzy i setkę piechurów, by odprowadzili was z powrotem do klasztoru świętego Tomasza w Segowii. Bo teraz wasza wrodzona podejrzliwość ujawniła się z największą siłą. Baliście się nieustannie, że was otrują. Wy, ważny człowiek Kościoła, żyliście w przesądach i zabobonie. Nigdy nie usiedliście do posiłku nie mając w ręce, dla ochrony przed trucizną, rogu jedno-rozca lub języka skropiona. Zmarliście w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, więc

musieliście przeżyć wiele lat w strachu i przerażeniu. W pełni na to zasłużyłeś, ty mały, podły gadzie!

Dolg był tak wstrząśnięty, że ostatnie słowa wykrzyczał, dławiony szlochem.

Doszedł do niego przeciągły, daleki ryk. Kiedy przetarł oczy, zobaczył, że z upiorem, który niegdyś był wielkim mistrzem, dzieje się coś bardzo złego. W momencie gdy wstrząśnięty do głębi chłopiec był niemal bezbronny, tamten próbował go zaatakować, ale wtedy rzuciły się nań błędne ogniki. Wokół mary zaroilo się od małych, niebieskich płomyków. Pełzły w stronę głowy, aż go dosłownie oblepiły. Wszystko to działo się niebezpiecznie blisko krawędzi bagna i Dolg zrozumiał, że oskarżenia osłabiły starego despotę tak, iż nie był już w stanie stawiać oporu.

Świątełka elfów powlokły go na bagno i utopiły; jedyne, co Dolg zobaczył, to szara, przezroczysta ręka, wystająca ponad powierzchnię błota. Tylko tyle zostało z upiora, który kiedyś był wielkim inkwizytorem. Ręka nie zdążyła się pogрузić w błocie, bo szybciej rozwiąła się w nicość.

Dolg osunął się bez sił na trawę. Skulony szlochał rozpaczliwie jak małe dziecko, którym przecież mimo wszystko był.

— Mój chłopcze — usłyszał głos Cienia. — Ranek mija, a wielu wciąż czeka na zbawienie.

Dolg wyczyścił nos, otarł oczy i podniósł się niepewnie.

— Zapomniałem o najważniejszym — powiedział z drzeniem.

— Nie sądzę. Co masz na myśli?

— Zapomniałem tego przekłętego diabła zapytać o Zakon Świętego Słońca. On był przecież jego wielkim mistrzem.

— Nie przypuszczam, by się na tym stanowisku jakoś wyróżniał. Miał pod dostatkiem zajęcia z zagarnianiem cudzych majątków i złota oraz chronieniem swojej nędznej osoby, by nikt mu nie zrobił krzywdy.

— Tak, ale może mógłby mi odpowiedzieć, dlaczego wszyscy tak pragną zdobyć wiadomości o Słońcu. Czego w gruncie rzeczy poszukują?

Cień milczał.

Dolg nie ustępował.

— A czy ty nie mógłbyś tego znaleźć w księdze świata, czy jak się tam ona nazywa? Księga wieku świata, prawda? Czy nie mógłbyś znaleźć czegoś więcej na temat ich tajemniczego zakonu rycerskiego?

— Nie, nie mógłbym. Wszystko, co dotyczy tego Zakonu, jest zamknięte na siedem magicznych pieczęci. Nikt nie może posiadać tej wiedzy.

Dolg w milczeniu pociągał nosem. Gdyby był nieco bardziej uważny, dotarłyby do niego z pewnością i ta chęć uniknięcia tego tematu, i udana obojętność w głosie Cienia.

Zastanowiłby się też może nad faktem, że przecież i Cień nosi na piersiach znak Słońca. A jako ktoś pochodzący z najdawniejszych czasów, powinien na temat Zakonu Świętego Słońca wiedzieć więcej niż wszyscy nowi wielcy mistrzowie razem wzięci.



## Rozdział 14

— Jesteś teraz bardzo zmęczony — powiedział Cień. — Ale zaraz będziesz mógł odpocząć. Musisz się tylko pospieszyć i pomóc tamtym na bagnach. Jest ich wielu i bardzo się już niepokoją. W blasku słońca bledną, a mgła, która ich chroni, niebawem się rozproszy.

Niezwykła noc! Cudowny poranek!

Dolg odchrząknął.

— Tak, naturalnie. Musisz tylko stąd odejść, bo przecież nie chciałbyś się znaleźć w pobliżu tego roziskrzonego kamienia, prawda? Jak tylko się oddalisz, postaram się spełnić najskrytsze marzenia tych nieszczęśników na bagnach.

Z całej postaci Cienia biło patetyczne cierpienie, kiedy wycofywał się na bezpieczną odległość. Dolg westchnął, że nie może pomóc swemu wiernemu przyjacielowi, i wyjął z tornistra cudowny kamień. Ujął go oburącz i wyciągnął w stronę bagien.

— Drodzy moi przyjaciele... Dzięki wam za wszelką pomoc, jaką mi okazaliście! Gdybyście tylko jeszcze po raz ostatni pomogli mi przedostać się przez te podstępne bagna, to ów niebieski szafir zwróci wam wolność, do której od tak dawna tęsknicie.

Opuścił kulę i milczał. Nic się nie działo.

— Och, oczywiście. Przepraszam. Naprawdę zaczynam być zmęczony. — Z poczuciem winy ponownie uniósł kulę. — Proszę ów szlachetny kamień, by zwrócił wam wszystkim pierwotną postać. Już teraz. Ufam, że przeprowadzicie mnie bezpiecznie na drugą stronę.

Powoli zaczęły się pojawiać rozmaite istoty. Z każdego małego światełka elfów powstawała jedna. Nieduże stworzenia z bardzo dawnych czasów w niebieskich, wyblakłych szatach, o czarnych jak węgiel, smutnych oczach, z czarnymi kręconymi włosami i białymi twarzami. Uśmiechały się tajemniczo do Dolga.

— Och, kochani — rzekł wzruszony. — Kochani moi, jesteście dokładnie tacy jak ja!

Ale popełnił ten sam błąd co poprzednio. Wydawało mu się, że ma więcej czasu, gdy tamci wszyscy z rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwi, pozdrawiali

kamień, który dokonywał cudów.

Podszedł jakiś chłopiec z rodu człowieczego i ujął rękę Dolga. Przez bagna ciągnął się długi szereg elfów, karłów, istot podziemnych oraz ludzi, którzy kiedyś utonęli w tych błotach. Nie było ich teraz tak wielu, bo większość ogników przemieniła się w te niezwykle istoty, podobne do Dolga.

Jak zaczarowany poszedł ich śladem. Lękał się, że jeśli go zostawia, nie wydobędzie się z mokradeł, a poza tym był przekonany, że wszyscy idą za nim.

Kiedy się jednak odwrócił, by rozejrzeć się za Cieniem, stwierdził, że tylko ten stary przyjaciel za nim podąża. Dokładnie jak poprzednio wszystkie podobne do Dolga istoty zniknęły bezszelestnie.

— Och, nie — jęknął. — Nie, nie! Znowu zachowałem się niemądrze! Nie spytałem, kiedy był na to czas, kim ja jestem ani jaka jest ich historia. Nie zapytałem, co się z nimi stało ani dokąd zamierzają się udać, ani dlaczego zniknęły kiedyś, sam nie wiem jak dawno temu. Jak można być tak głupim, i to dwa razy?

— Miałeś myśli zajęte czym innym — pocieszał go Cień. — A teraz spiesz się, póki jeszcze widzisz swoich przewodników! Wkrótce zbledną tak, że całkiem znikną ci z oczu.

Dolg jęknął, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Mocniej ścisnął dłoń, która zdecydowanie była nie z tego świata, bo ów młody człowiek prowadzący go przez bagna stawał się coraz mniej widoczny, i ruszył naprzód.

Sam wiedział, że czas nagli. Wątki szereg istot przed nim rozpląwały się coraz bardziej w blasku słońca.

Jak też oni odnajdują tutaj drogę, myślał, przeskakując w ślad za przewodnikiem z jednej kępy trawy na drugą. Niekiedy zdawało mu się, że widzi przed sobą wielką suchą kępę, tamci jednak omijali ją i wybierali mniejsze, pozornie mniej bezpieczne. A zaraz potem stwierdzał, że kępa, którą widział, nie ma jakby dalszego ciągu, jest samotną wysepką. Ufał swoim przewodnikom coraz bardziej.

Byli już chyba w połowie drogi, gdy Dolg stanął.

— Cii! Co to było?

Wszyscy się zatrzymali. Zwrócili wzrok w prawo, tak samo jak Dolg.

— Mam wrażenie, jakby ktoś charczał — powiedział Dolg niepewnie. — Co to może być? — Nasłuchiwał jeszcze chwilę. — Mój Boże, ktoś wzywa pomocy!

Nastawił uszu. W oddali za kilkoma niewielkimi kępami trawy mignęła mu jakaś twarz. Twarz człowieka rozpaczliwie usiłującego utrzymać nos ponad powierzchnią błota. Ręka próbowała się chwytać trawy, ale każde mocniejsze szarpnięcie wyrывało rośliny z korzeniami. Ostatnie źdźbło ratunku zawodziło topielca. Było to rzeczywiście źdźbło ostatnie.

— Musimy mu pomóc! — zawołał wstrząśnięty Dolg.

— Ale jak tam dojdziemy? — zastanawiał się Cień.

— Nie wiem. Kto to może być?

— Jeden z tych trzech żywych, którzy dzisiejszej nocy zawrócili z drogi. Mam na myśli rycerza Ottona i jego dwóch ostatnich pomocników.

— Sądzisz, że to rycerz Otto?

— Nie, wygląda mi, że ta głowa, na którą patrzymy, należy raczej do chłopca.

— Uratujemy go. Powinno nam się udać.

Ponownie na bagnach rozległo się przepojone panicznym strachem gulgota-  
nie. Tamten najwyraźniej zachłystywał się wodą.

— Masz jakąś linę? — zapytał Cień.

Dolg odpiął tornister.

— Nie, jedyne, co mam, to pasek, ale on jest za krótki.

— Mamy coraz mniej czasu.

— Wiem. Kamień? Może on mógłby...?

— Bądź ostrożny, bardzo cię proszę!

— Nie mogę przecież pozwolić, by ten człowiek umarł! Już naprawdę dosyć trupów padło dzisiejszej nocy!

— Jesteś naprawdę okropnie litościwy — westchnął Cień. — Rób, co uważasz. Tylko nie oczekuj cudów. Kamień wspiera dobro, a wątpię, czy ten człowiek przybył tu ze szlachetnych pobudek.

Dolg ponownie wyjął kamień z torby i skierował go na tonącego.

— Święty kamieniu, proszę cię, uratuj życie tego człowieka. Może on tylko został zmuszony do podjęcia się niegodnego zadania.

Czekali. Dolg trzymał kamień wysoko nad głową, a promienie słońca mieniły się w nim tysiącami barw. Cóż za cudowny widok!

— Patrz na kamień, on doda ci sił! — krzyczał Dolg.

— Ale na wszelki wypadek trzymaj się też trawy — wtrącił Cień trzeźwo.

Człowiek z pewnością Cienia nie widział, ale wyglądało na to, że sens słów do niego dotarł. Jego zmęczona ręka zacisnęła się mocniej na kępce trawy i okazało się, że trawa wytrzymała. Jeszcze przed chwilą nieszczęśnik wyrwałby ją z korzeniami.

— Nie możemy do ciebie podejść — tłumaczył Dolg. — Musisz polegać na trawie. Trzymaj się, jak możesz! I próbuj się podciągać!

Tamtemu zostało już niewiele sił, ale powoli, powoli błoto jakby pozwalało jego udręczonemu ciału dźwigać się w górę. Wkrótce cała twarz znalazła się ponad powierzchnią bagna. Kiedy już mógł jako tako swobodnie oddychać, zawołał:

— No, a co teraz?

— Co teraz powinien zrobić? — zapytał Dolg Cienia.

— Niech idzie po wodzie — odparł tamten lakonicznie. — Nie, to znaczy powiedz mu, żeby się kierował tam, gdzie widzi trochę pewnego gruntu! Kamień mu pomaga.

Dolg powtórzył wszystko tamtemu człowiekowi, który dygocząc ze strachu i zimna, na czworakach czołgał się wolno po kępach porośniętych trawą.

— Nie utrzymam się! — wrzeszczał raz po raz w panice.

— Próbuj! — odpowiadał Dolg spokojnie.

Człowiek chwycił się dosłownie każdego źdźbła po drodze i zupełnie nie mógł pojąć, jakim sposobem nie zapada się w głąb. Dolg słyszał, jak mamrocze pod nosem: „czary”, ale mimo wszystko pełził uporczywie w stronę, gdzie znajdowało się coś, co można by nazwać brzegiem.

Dolg i jego towarzysze pierwsi znaleźli się na suchym lądzie. Dla nich chłopiec raz jeszcze uniósł w górę szafir, podziękował wszystkim za pomoc i prosił, by wrócili do tych sfer i tych wymiarów, do których przynależą. Wszyscy byli teraz wolni. Jakakolwiek siła sprawiła, że kiedyś stali się błędnymi ognikami, to nie miała już ona nad nimi władzy.

Teraz ledwo były widoczne w blasku porannego słońca, ale kłaniały mu się bardzo uprzejmie i dotykały go w ostatnim geście pożegnania. Wkrótce wszystkie zniknęły.

Pomagając swoim małym przyjaciółom, Dolg zapomniał o ratowanym człowieku i dlatego kamień nie działał już na niego. Nieszczęśnik znalazł się tymczasem tak blisko brzegu, że chociaż wciąż jeszcze się ześlizgiwał i raz po raz pogrążał w błocie, to przy odpowiednim wysiłku zdołał się wyczołgać na suchy ląd. Wrzeszczał przy tym jak szalony.

Potem długo leżał i dyszał ze świstem. Dolg szepnął „dziękuję” i schował kamień do tornistra. On sam już dawno znajdował się „na lądzie”.

Ponad sobą na wzniesieniu zobaczył osiem koni, które mieli ze sobą rycerze i ich ludzie.

Kiedy Dolg podszedł bliżej, wyczerpany człowiek próbował wstać, ale nie starczyło mu na to sił, leżał więc i wpatrywał się w chłopca, ocierając jednocześnie twarz ze szlamu i błota.

— Powiedz mi, dziecko, co ty miałeś przed chwilą w ręce?

— To, co twój pan pragnął zdobyć.

— Nie, my mieliśmy tylko schwytać jakiegoś dziwnego chłopca. To pewnie o ciebie chodziło, bo nie wyglądasz na normalnego!

— Dziękuję — powiedział Dolg cierpko. — A gdzie podziali się tamci? To znaczy twój pan i jeszcze jeden człowiek.

Niedoszły topielec zrobił wymowny gest w stronę bagnisk.

— Rozumiem — rzekł Dolg. — A zatem tylko ty jeden przeżyłeś?

— Tak. Co za piekielne miejsce! Jak ty się przedostałeś przez te cholerne mokradła? Tam i z powrotem, przez mniejsze i przez wielkie bagna.

— Otrzymałem pomoc — odparł Dolg. — Dokładnie tak jak ty teraz.

To skierowało myśli uratowanego na inne tory. Wstał i wyciągnął do chłopca rękę pełną błota.

— Dziękuję za uratowanie życia — powiedział.

— Cieszę się, że wyszedłeś z tego cało. Ale powiedziałaś, że mieliście mnie schwytać. Dlaczego?

— Tego nasi panowie nie mówili i ja teraz nie wiem, co z tobą zrobić.

— Uważam, że powinieneś wziąć swojego konia i wrócić do domu. I nie mówmy już więcej o tym, co się stało.

Człowiek spoglądał na Dolga spod oka.

— W tobie jest coś mistycznego — stwierdził. — Czy ty jesteś tutaj sam?

— Wiem, co masz na myśli. Czy ty ich widziałeś przed chwilą?

— Kogo?

— Widziałeś na bagnach tylko mnie?

Człowiek zastanawiał się przez chwilę.

— I tak, i nie. Nie wiem. Coś mi mignęło, jakieś małe stworzenia.

— No dobrze, tamtych już nie ma. To były błędne ogniki. Teraz mam przy sobie tylko mojego opiekuna, który mnie ochrania.

To przekraczało niezbyt w końcu imponującą zdolność tego prostego człowieka do pojmowania dziwnych spraw.

— Chcesz powiedzieć, że masz... anioła stróża? No, zauważyłem coś po twojej prawej stronie, ale to wcale nie przypominało żadnego anioła! To było jakieś takie mgliste, szaroczarne.

Dolg skinął głową.

— Tak jest, widziałeś mojego przyjaciela, chociaż nie nazywałbym go aniołem. Diabłem zresztą także nie. Trzeba ci jednak wiedzieć, że on jest niewiarygodnie potężny.

Chłopiec powiedział to z całą świadomością, bowiem wzrok tamtego nieustannie kierował się w stronę jego plecaka.

— Nie możesz mi powiedzieć, co trzymałeś w ręce?

— Chodzi ci o niebieską kulę? Ona nie należy do mnie. Muszę przenieść ją dalej, by pomóc ludziom znajdującym się w potrzebie. Przede wszystkim muszę uratować mego umierającego ojca. I powinienem się bardzo spieszyć, mam naprawdę mało czasu.

— Czy mógłbym to od ciebie odkupić?

— Niestety, nie. Bo jak powiedziałem, to nie należy do mnie. Ja tylko zostałem specjalnie wybrany, by przenieść kulę. Nikt inny nie zdołałby przejść przez bagna tam i z powrotem.

— No — mruknął człowiek ponuro. — Myślę, że jesteś wybrany. Nie zrobię ci nic złego. Idź do domu i pomóż swojemu ojcu. Uważam, że dobry z ciebie chłopak, chociaż jest w tobie coś magicznego. A może jesteś elfem? Ja jestem porządnym człowiekiem, dobrym chrześcijaninem, chodzę do kościoła, kiedy należy. O tej wyprawie wiedziałem tylko, że mamy pojmać jakiegoś dzieciaka.

Dolg zastanowił się chwilę, a potem powiedział:

— Dwoje mojego rodzeństwa czeka na mnie trochę dalej stąd...

— A my myśleliśmy, że oni się potopili w bagnie.  
— Nie, oni nie szli ze mną przez całą drogę. Czy myślisz, że wszystkie konie będą ci potrzebne? Ja muszę bardzo szybko wracać do domu i . . .  
— Potrzebowałbyś trzech koni? Chyba możesz sobie wziąć. Mnie i tak zostanie pięć. Tylko dla siebie chciałbym mieć konia hrabiego Ottona.  
— Dziękuję ci bardzo, oczywiście, że możesz go zatrzymać.  
Człowiek poszedł do koni.  
— Świetny pomysł, Dolg — pochwalił Cień. — Tym sposobem znacznie szybciej pokonamy drogę do domu.  
Chłopiec pożegnał się z obcym, dosiadł konia, a dwa pozostałe prowadził za sobą. Ku swemu wielkiemu rozbawieniu stwierdził, że Cień dosiadł jednego z wolnych wierzchowców.  
— Rozbolały cię nogi? — zapytał z przekąsem.  
Cień roześmiał się dobrodusznie.  
— Dla mnie to całkiem nowe doświadczenie.  
Te słowa dały Dolgowi do myślenia. Nie przywykł do koni?  
Skąd w takim razie pochodzi?

Kiedy zbliżali się do wiszącej skały, gdzie pod opieką duchów miały spać dzieci i Nero, w okolicy panowała niepokojąca cisza.

— Och, nie, nic im się nie mogło stać — jęknął Dolg.  
— Nie denerwuj się — szepnął Cień. — Śpią wszyscy. I na razie nie powinniśmy ich budzić.  
— Przecież musimy ruszać dalej! I to szybko!  
— Nigdzie nie dojedziesz, Dolg, jeśli się trochę nie prześpisz. Czuwasz przecież i jesteś bardzo aktywny już ponad dobę, jeśli nie liczyć krótkiego snu wczoraj wieczorem. Połóżysz się teraz obok dzieci i psa, a ja postaram się, żebyś nie zaspał.  
— Ale tata. . .  
— Twój tata nie będzie miał żadnego pożytku z syna, który spada z konia, bo oczy same mu się zamykają. Nie pozwolę ci spać zbyt długo.  
— Nie dłużej niż godzinę!  
— Umowa stoi.

Dzieci leżały dokładnie tak jak wieczorem, kiedy je opuszczali. Duchy opiekuńcze bliźniąt wstały, gdy podeszli, i rozmawiały z Cieniem. Nero także spał, co było zupełnie do niego niepodobne. On, który zrywał się przy byle szeleście.

Dolg przytulił się do grzbietu swego najlepszego przyjaciela i otoczył ramieniem kudłate stworzenie. Nagle poczuł, jaki jest okropnie zmęczony, i natychmiast zasnął; jeszcze zanim Cień zdołał zrobić nad nim usypiający gest.

Nero leżał na jednym z koców i obok niego było jeszcze dość miejsca dla Dolga. Pies wyciągnął rozkosznie wszystkie cztery łapy naraz, ale nie ocknął się z hipnotycznego snu. Po prostu było mu bardzo dobrze, gdy miał znowu przy sobie ciepły bok swego małego pana.

Dolg obudził się, słysząc radosne szczebiotanie Taran.

— Dolg, ty leniuchu, jak długo jeszcze zamierzasz spać? Ja już dawno jestem na nogach, przed chwilą przeleciały nad nami trzy orły, och, jakie to wspaniałe! Nigdy nie przeżyłeś czegoś podobnego!

Starszy brat usiadł na posłaniu i przestraszony spojrzął na słońce. Ono jednak prawie się nie przesunęło na niebie. Cień dotrzymał obietnicy, pozwolił mu tylko na krótką drzemkę.

— Musimy ruszać w drogę! — zawołał całkiem już przytomny.

— Dobrze, ale najpierw powinniśmy coś zjeść — wtrącił Villemann. — Jestem głodny jak wilk, a ty nie wyglądasz za dobrze. Czy naprawdę spałeś w nocy? Ubranie masz brudne, a oczy całkiem jak u wuja Erlinga rano. O, a skąd tyle koni?

Dolg usiadł wygodniej i pogłaskał Nera, który też się nareszcie obudził.

— Nie, dzisiejszej nocy nie spałem wiele — powiedział do rodzeństwa. — Cień i ja zdobyliśmy coś, co może uratować tatę.

Dzieci zadawały tysiące pytań jednocześnie. Były, rzecz jasna, ciekawe, co robił brat, ale też dowiadywały się, dlaczego ich ze sobą nie zabrał.

Gdy jedli śniadanie, Dolg opowiedział im wybrane fragmenty historii nocnej wędrówki. Dzieci, jak to dzieci, a na dodatek potomstwo Móriego i Tiril, przyjęły bez zdziwienia wszystko, co mówił.

— Czy mogłabym zobaczyć kamień? — chciała wiedzieć Taran. — Bo masz go wciąż przy sobie, prawda?

Dolg spojrzął pytająco na Cienia, ten zaś skinął głową na znak, że się zgadza. Wtedy Dolg otworzył tornister i wyjął swój skarb, rozwinął go ze swetra i uniósł w górę.

— Ooo! — Villemann wstrzymał oddech z podziwu, a Taran wprost nie wiedziała, jak wyrazić zachwyt. Głosem tak piskliwym, że ledwie dosłyszalnym, zawołała:

— Mogę go dotknąć? Mogę potrzymać?

— Czy oni mogą potrzymać kamień? — zapytał Dolg Cienia.

— Z tym powinniśmy chyba zaczekać — odparł tamten.

— O, kochany wujku Cieniu, pozwól mi — prosiła Taran błagalnym głosem — Tylko troszkę. O, tyle, mogę?

— Później — zdecydował Cień. — Powinniśmy oszczędzać magiczną siłę kamienia dla waszego taty. A później zobaczymy, może będziesz mogła potrzymać. I schowaj go, Dolg, nareszcie. Nie igraj z ogniem!

— Tak, naturalnie — zgodził się chłopiec. — Przepraszam. Nie pomyślałem, że jesteś tak blisko. Piękny jest, prawda? — zwrócił się jeszcze Dolg do rodzeństwa i schował klejnot.

— Jeszcze piękniejszy jest dla mnie — westchnął Cień. — Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— O, patrzcie! — zawołał Villemann. — Jada jacyś rycerze!

Nero zaczął warczeć, dzieci wstały. Tak byli wszyscy zajęci kamieniem, że nie zauważyli, iż spory oddział rycerzy w ciężkich, pobrzękujących hełmach na głowach jest tuż-tuż.

— To musi być brat Johannes — szepnął Dolg przestraszony. — On miał przyjechać tutaj później. Co robimy? Uciekamy?

— Na nic się to nie zda — rzekł Cień.

Rycerze podjechali do nich w pełnym kłusie i tak blisko, że kępki trawy spod końskich kopyt leciały dzieciom na głowy.

— Fu! — skrzywiła się Taran, wytrząsając trawę z włosów. — A cóż to za manieri?

Rycerz Johannes, potężnej budowy pan w paradnym jaskrawym ubraniu, patrzył na nią z surową miną.

Taran nie należała do osób, które łatwo się peszą.

— Niewiarygodne, ile błyskotek i ozdób ma na sobie ten człowiek! To właśnie o czymś takim babcia zwykła mówić, że to przesada. . . babcia jest siostrą cesarza — oznajmiła tonem starej malutkiej.

— Dobrze o tym wiemy! — ryknął brat Johannes i przestał się zajmować Taran. Zwrócił się w stronę Dolga.

Nero stanął z groźnie wyszczerzonymi zębami, by ochraniać dzieci, a Villemann, który bał się, że obcy mogą zrobić psu krzywdę, chwycił go za obrożę i trzymał przy sobie.

— A więc jesteście, moje dzieci — zaczął brat Johannes szorstkim głosem, który bez powodzenia starał się złagodzić. — Troje małych dzieci, całkiem samych na pustkowiu. Cicho bądź, bestio! Spotkałem dopiero co jednego z ludzi hrabiego Ottona i on opowiadał mi bardzo dziwne rzeczy.

Trójka dzieci przyglądała się z niechęcią, jak rycerz próbuje zsiąść z konia. Pozostałych pięciu czy sześciu jeźdźców również zeskoczyło z siodeł. Było oczywiste, że żaden nie zauważył obecności Cienia. Dla nich stał się z pewnością niewidzialny, myślały dzieci.

— Zrobimy z nimi porządek od razu, panie Johannesie? — zapytał jeden z ludzi. Zwracał się do Johanna przymilnym głosem i zaglądał mu w oczy.

Brat zakonny uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

— Najpierw chcę otrzymać pewne wyjaśnienia — zwrócił się do Dolga. — Człowiek Ottona gadał o jakichś wielkich cudach, o szlachetnym kamieniu niespotykanej wielkości i o tym, że z ośmiu ludzi tylko on jeden przeżył. A podobno



ty, chłopcze, bez najmniejszej szkody przeszedłeś przez bagna tam i z powrotem, chociaż tamci wszyscy się potopili?

— Tak było. Bardzo mi przykro, że tak wielu ludzi musiało stracić życie.

Taran, która stała ukryta za starszym bratem, ponownie wtrąciła się do rozmowy:

— Tak, mój brat jest bardzo zdolny. Sam jeden przeszedł przez te bagna, tam. Możecie je zobaczyć, jeśli zmrzycie oczy.

Pokazała ręką, a brat zakonny całkiem bezwiednie skierował wzrok w tamtą stronę, lecz, oczywiście, nie zobaczył żadnych bagien.

— Taran, pozwól, bym ja załatwił tę sprawę — mruknął Dolg.

A kiedy pan Johannes pochylił się, by zetrzeć z buta bryłkę błota, Dolg szepnął do Cienia:

— Co ja mam robić? Prosić kamień, by ich zabił? Nie sądzę, żeby się to udało, a poza tym nie chcę nikogo zabijać. Czy mógłbyś mi pomóc?

— Zastanów się. Ja nic nie mogę zrobić, ale czy pamiętasz, jaką siłę dało ci dotknięcie kamienia? Spróbuj jeszcze raz.

— Taran, nie stój tak blisko mnie — szepnął Dolg do siostry.

Władczy rycerz podszedł do niego. Wyciągnął rękę.

— Człowiek, którego spotkałem, mówił mi, że znalazłeś kamień, czyniący cuda. Daj mi go! O ile dobrze się domyślam, masz go w tornistrze. Oddaj mi razem z tornistrem!

— Tego nie mogę zrobić. Życie mojego ojca zależy od tego kamienia i...

— Daj mi, powiadam! A może wolisz, żeby moi ludzie poderżnęli ci gardło? No już, oddawaj!

— Zrób to — szepnęła Taran za jego plecami. — Cały tornister!

Cień zdawał się być z nią zgodny.

— Ale mój tata...

Dolg zrozumiał, że nie ma wyboru. Przewaga tamtego była zbyt wielka.

To znaczy, że wszystko było na próżno? Z głębokim westchnieniem, ze ściśniętym gardłem zdjął drogocenny tornister z ramienia, czując ciężar kamienia, i ze łzami w oczach oddał wszystko pyszałkowatemu rycerzowi Zakonu Świętego Słońca.

Tamten szarpnął tornister ku sobie z pożądlivym spojrzeniem. Jego ludzie byli gotowi wymordować dzieci, lecz Johannes jeszcze nie skończył.

— Zaraz, zaraz, poczekajcie! A w ogóle to zlikwidować należy tylko dwoje młodszych i psa. Najstarszego zabieram do mojego przyjaciela kardynała. Eminencja z pewnością chciałby chłopaka przesłuchać. Ma on na pewno wiele interesujących rzeczy do powiedzenia, tylko najpierw, młody człowieku... Co właściwie twoja rodzina o nas wie? Hm?

Dłonią w rękawicy ujął podbródek chłopca i zmusił go, by na niego spojrział.

I właśnie wtedy Dolg uświadomił sobie, że posiada wielką siłę, którą uzyskał poprzez wielokrotne dotykanie kamienia. Pierworodny syn Tiril i Móriego miał wiele różnych talentów, które otrzymał już przy urodzeniu, a może nawet jeszcze przed urodzeniem. Ale dopiero ten szlachetny kamień nieznanego pochodzenia wydobyl wszystkie jego zdolności, a także dodał nowe.

Dolg popatrzył rycerzowi prosto w oczy i powiedział czystym głosem:

— Panie Johannesie i wy wszyscy jego pomocnicy, co jest największym błogosławieństwem i największym przekleństwem człowieka? Jest to zdolność zapomnienia. I teraz wy wszyscy otrzymacie ode mnie ten dar. Będzie on przekleństwem dla was, a dla nas błogosławieństwem. Miło było was spotkać, moi panowie, i spędziliśmy kilka przyjemnych chwil na rozmowie, prawda? Nie pamiętacie już, dlaczego tutaj przybyliście? To nie szkodzi. Jedźcie teraz do domu w przekonaniu, że wykonaliście wszystko, co do was należało! Żegnajcie! I pozdrowienia dla wszystkich w domu!

Patrzył po kolei na ludzi rycerza. Uniesiona ręka Johannesesa opadła, a on sam patrzył na chłopca oszołomiony. Potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli, ale nie bardzo mu się to udało.

Jego podkomendni opuścili broń, pokłonili się uprzejmie, jeden po drugim powtarzali, że to była wielka przyjemność spotkać po drodze takie miłe dzieci, ale teraz muszą już pośpiesznie wracać do domu. Wszystkiego najlepszego, dzieciaki! Duże rośnijcie!

Zawrócili konie i odjechali w swoją stronę z dudnieniem kopyt po twardej ziemi.

Dzieci czekały, aż jeźdźcy znikną za wzgórzami, a potem odetchnęły z ulgą. Dolg nie mówił nic. Stał jak skamieniały.

— Niepamięć — powtarzał Cień z przejęciem. — Niepamięć, to jedyne, co mogło nas uratować. Ich zresztą także. Jesteś bardzo mądrym chłopcem, Dolg.

Taran i Villemann cieszyli się bardzo głośno, Nero skakał wokół Dolga. Dla zabawy pies pobiegł kawałek za jeźdźcami i naszczeakał na nich swoim najgrubszym głosem, a potem wrócił i domagał się pochwał.

— Co za świnię! — prychała Taran. — Spójrzcie, jak poplamili moją śliczną sukienkę!

Tego dnia miała na sobie swoją żółtą „wyściową” sukienkę. Taran zmieniała stroje przynajmniej trzy razy dziennie i zarówno mama, jak i babcia prosiły ją by się tyle nie przeglądała w lustrach.

Villemann mruknął coś na temat, że i tak wygląda dzisiaj jakoś nieforemnie, więc jedna plama więcej nie robi różnicy. Taran obrazila się na brata i odwróciła od niego plecami.

— Wcale się nie bałem — oświadczył Villemann dumny i jednocześnie zdziwiony. — Nie bałem się ani przez chwilę, chociaż oni mieli zamiar zabić najpierw właśnie mnie. Myśleli pewnie, że to ja jestem najbardziej niebezpieczny.

— Oboje byliście bardzo dzielni — pochwalił Cień. — Inne dzieci by płakały albo chciały uciekać, a to najgorsze, co można zrobić w takiej sytuacji.

— Prawda, że byliśmy dzielni, Dolg? — Villemann domagał się jeszcze więcej pochwał. — Ja wiedziałem, że oni nie mogą nas skrzywdzić, bo jesteśmy niepokonani!

Dolg jednak był przygnębiony. Usiadł na ziemi tam, gdzie stał, i ukrył twarz w dłoniach.

— Oni zabrali szafir. I wszystkie moje rysunki tych dziwnych znaków na górskiej ścianie. Tata... Mój ukochany tata... Nie byłem w stanie go uratować. — Zerwał się na równe nogi. — Ale ja się nie poddam! Wy wracajcie do domu, a ja pojedę za tamtymi. Znajdę jakiś sposób, żeby odzyskać tornister.

— Ech, machnij ręką na tę starą torbę — powiedziała Taran zadowolona. — To przecież i tak same gałgany. A kamień mam ja. Zamieniłam go na zwyczajny kamień, kiedy stałam za twoimi plecami, Dolg. Oszukałam ich, kazałam im patrzeć na bagna i kiedy odwrócili wzrok...

Z wielką pewnością siebie wyjęła niebieski szafir spod sukienki. Dopiero teraz uświadomili sobie, że ubranie wznosiło się dziwnie na piersiach dziewczynki. Uwaga Villemanna, że siostra jest nieforemna, miała swoje uzasadnienie.

— Taran! Och, Taran, ukochana siostrzyczko! — zawołał Dolg ściskając dziewczynkę. Z radości miał łzy w oczach.

— Sam rozumiesz, że nie mogłam pozwolić, by te dranie zabrały kamień, zanim ja miałam okazję go potrzymać — śmiała się Taran. — Ale teraz już to zrobiłam, potrzymałam szafir i muszę powiedzieć, że to niebiańskie uczucie! Czułam mrowienie w całym ciele i nogi się pode mną ugiwały.

— Znam to uczucie — odpowiedział Dolg ze śmiechem. Zaraz jednak znowu spoważniał. — Ale rysunki przepadły.

— Nie sędzę — zaprotestowała Taran. — Zaczekaj no chwilkę, zaraz wyciągnę... Rozumiesz, musiałam wepchnąć pod sukienkę ten idiotyczny węzełek, który zrobiłeś ze swetra, i czułam, że coś tam jeszcze jest.

Włożyła rękę w wycięcie sukienki pod szyją, najpierw wyciągnęła rękaw swetra, po chwili ukazał się cały pulower... ale papieru nie było.

— Wydawało mi się...

— Na ziemi! — wykrzyknął Villemann. — Wypadły na ziemię! Od dołu!

Zbierali kartki z takim zapałem, że o mało ich nie podarli. Dolg przeglądał je z drżeniem.

— Są! Są wszystkie rysunki! Och, moi kochani, co ja bym bez was zrobił?

Oboje obejmowali go serdecznie.

Ponownie otulili szafir w sweter i włożyli go do węzła Villemanna, który od tej pory miał nieść Dolg.

Taran aż kipiała entuzjazmem.

— Nie uwierzysz, Villemann, jak przyjemnie jest trzymać tę kulę w dłoniach. Czułam się tak, jakbym... została poświęcona!

Villemann miał dosyć ponurą minę. Jemu nie pozwolono jeszcze potrzywać magicznego kamienia.

— Wydaje mi się, że w przyszłości będziemy musieli bardziej uważać na tę młodą damę — szepnął Cień do Dolga.

Chłopiec skinął głową, a potem zawołał głośno:

— A teraz jedziemy do domu do Theresenhof! Tak szybko, jakby niósł nas wiatr!

## Rozdział 15

W Theresenhof nastał wieczór. Nigdy jeszcze chyba dwór nie był pogrążony w takiej ciszy. Większość domowników wyruszyła na poszukiwanie dzieci. A w pałacu...

Żadnych dziecięcych śmiechów, żadnych miłych pogwarek przy kolacji. Cisza. Dzwoniąca w uszach cisza.

Theresa wstała z klęczek i pokłoniła się Pannie Marii. Modliła się właśnie w intencji swojej rodziny, której członkowie znaleźli się teraz w tak trudnej sytuacji, wszyscy daleko od domu, ścigani przez wrogów i najprawdopodobniej samotni.

Księżna już miała wyjść ze swojej małej kapliczki, ale rozmyśliła się i ponownie padła na kolana.

Teraz szeptała modlitwy jeszcze ciszej niż przed chwilą:

— Święta Mario, Matko Boża, spójrz na mnie łaskawym wzrokiem, bo niewiedzą mnie zakazane myśli. On jest tylko przyjacielem, a ja potrzebuję go tak bardzo. Nie pozwól, by moje postarzałe serce pogrążyło się w jakichś rojeniach nie mających przyszłości, Święta Matko! Zbyt długo byłam sama. Przez całe życie nie miałam nikogo godnego miłości. Nie pozwól, bym zniszczyła tę piękną przyjaźń niedorzecznymi oczekiwaniami. Nie chcę utracić jedynego przyjaciela.

Zakończyła pośpieszną modlitwę i wyszła z kaplicy. W salonie spotkała swoją starą pokojówkę, która w tym dniu pełnym niepokoju wyglądała jeszcze bardziej szaro niż zazwyczaj.

— Żadnych wiadomości na temat dzieci? — zapytała księżna.

— Żadnych — odparła pokojówka drżącymi wargami. Wasza wysokość, tak mnie to martwi ze względu na panią. I ja, choć przecież nie należę do rodziny, czuję się, jakbym utraciła własne dzieci. Jeśli jaśnie pani nie ma nic przeciwko temu.

— Najdroższa przyjaciółko — uśmiechnęła się księżna, kładąc jej rękę na ramieniu. — Miałabym ci mieć za złe takie uczucia? Znamy się obie dobrze i wiem, jak jesteś nam oddana. Czy pan Müller jeszcze śpi?

— Nie, nie mógł sobie znaleźć miejsca i w końcu pojechał z innymi na poszu-

kiwanie dzieci. On również.

Theresa westchnęła udęczona.

— My się wszyscy tak rozpaczliwie koncentrujemy na losie dzieci, bo nie mamy odwagi pomyśleć, co się dzieje z ich nieszczęsnymi rodzicami.

— To prawda, wasza wysokość.

Zamarły obie, bo na dworze rozległy się jakieś podniecone głosy. Kobiety pospieszyły do okna.

Na dziedziniec zewsząd biegła służba pałacowa i ludzie ze wsi.

— Oni wracają! Wracają! Dzieci wracają do domu!

— Święta Matko Boża — wyszeptwała Theresa. — Dzięki Ci, o, dzięki! Żeby im tylko nic nie było, Boże, uchron je od złego! A Erlinga nie ma w domu — dodała z żalem.

— O, dzieci wróciły do domu! Jakie szczęście!

Zarządca pobiegł przodem i na dziedzińcu pałacowym zaczął bić w dworski dzwon. Był to wyraz radości, lecz także konieczność. Bardzo wielu ludzi udało się na poszukiwanie dzieci, powinni się dowiedzieć, że mogą wracać.

— O, jest i Nero! — zawołała radośnie Theresa. — Chodź, musimy ich powitać!

Obie kobiety bardzo szybko znalazły się na dziedzińcu, gdzie Nero o mało nie przewrócił Theresy, tak się cieszył z powrotu do domu, a ponadto oczekiwał pochwał za to, że się tak dzielnie opiekował dziećmi. Wszyscy go, oczywiście, głaskali i witali, a on dosłownie pławił się w szczęściu.

Prześcigano się w informacjach, że dzieci zaraz będą, i rzeczywiście wkrótce cała trójka konno wjechała na dziedziniec, poprzedzana przez tę gromadkę ludzi, która dzieci „znalazła”. To znaczy tę, która je spotkała na głównej drodze, jadące spokojnie do domu.

— Konie? — zapytała pokojówka. — To chyba nie nasze?

— Nie — odparła Theresa. — I Cienia z nimi nie ma — dodała w zamyśleniu.

To prawda. Cień pożegnał się z Dolgiem jakiś czas temu.

— Teraz zniknę, mój przyjacielu — powiedziała wysoka, mroczna postać swoim niebywale ostrym głosem. — Dalej będą cię już wspierać inni.

— Nie, nie możesz mi tego zrobić! — zawołał Dolg zrozpaczony.

— Muszę. A poza tym tak będzie lepiej dla nas obu. Tym razem ja wykonałem swoje zadanie. Ale, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę. Żegnajcie, malcy! Żegnaj, Nero! To wielka radość, że mogłem być z wami. Do zobaczenia!

Rozstanie zakłóciło nieco radość dzieci, wkrótce jednak spotkały ludzi z pałacu i triumfalny pochód się rozpoczął.

Erling wjechał na dziedziniec od strony łąk w chwili, gdy pomagano dzieciom zsiąść z koni.

— Słyszałem dworski dzwon. Czy oni...? Och, są wszyscy! Cała trójka! I jak

widzę, w dobrym zdrowiu. I Nero, no dobrze, już dobrze, przecież widzę, że jesteś, Nero! Co się stało? Skąd oni wracają? Gdzie się podziewali?

— Nie wiem więcej niż ty — roześmiała się Theresa. Była teraz podwójnie szczęśliwa. — Musimy czym prędzej zabrać ich do domu i wypytać o wszystko.

Księżna zwróciła się do służby i ludzi z sąsiedztwa.

— Chciałam wam wszystkim podziękować za nieocenioną pomoc! — zawołała. — Właściwie powinniśmy uczcić powrót dzieci, ale jeszcze nie możemy. Jak wiecie, oboje rodzice moich wnuków znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie, i dopóki ich nie odnajdziemy, nie mamy, niestety, powodu do świętowania.

Wszyscy rozumieli to bardzo dobrze.

— Jeśli jeszcze moglibyśmy w czymś pomóc... — powiedział najbliższy współpracownik księżnej w Theresenhof, a inni mu przytakiwali.

— Dziękuję. Bardzo możliwe, że będziemy potrzebować waszej pomocy, kiedy dowiemy się czegoś więcej. Bo na razie, to...

Theresa rozłożyła bezradnie ręce.

Nareszcie udało się posadzić dzieci przy stole w jadalni i podać im ciepły posiłek. Nero wszedł pod stół na wypadek, gdyby tam coś od czasu do czasu spadło. Zawsze czuwał przy krzesłach dzieci, które rozpieszczały go nieprzyzwoicie. W jadalni znaleźli się też babcia Theresa i jej pokojówka oraz wuj Erling i z rosnącym przerażeniem słuchali opowiadania Dolga. Młodsze dzieci, które nie знаły jeszcze całej historii jego wyprawy na bagna, wprost połykały słowa starszego brata, a Villemann krzywił się gniewnie.

— Dlaczego mnie nie obudziłeś, Dolg? Przecież bym ci pomógł.

Dolg położył dłoń na ręce brata.

— Wiem, Villemann, ale to nie była moja decyzja.

— Mówisz o istotach podobnych do ciebie — wtrąciła Theresa. — Czy wiesz, kim one są?

— Niestety, nie dowiedziałem się — odpad Dolg ze smutkiem. — Niczego nie żałuję bardziej niż tego, że ich nie spytałem, kiedy był na to czas. A potem po prostu zniknęły.

Erling starał się wyciągać wnioski z informacji przekazanych przez chłopca.

— Sądzisz więc, że kula może przywrócić waszego tatę do życia?

— O, tak! Ona posiada niewiarygodną siłę.

— Ja jej dotykałam — oznajmiła Taran, która zdążyła się przebrać w różową „popołudniową” sukienkę. — I to ja ją uratowałam z rąk rycerza-rozbójnika.

— Już o tym słyszeliśmy, Taran — rzekła Theresa z uśmiechem. — A poza tym nie ma już rycerzy-rozbójników.

— Ale on wyglądał właśnie tak.

— W to wierzę. Mów dalej, Erlingu!

— Cóż, Dolg, z tego wszystkiego, co powiedziałaś, wynika, iż zdaniem Cienia nie mamy do stracenia ani chwili. Móri potrzebuje jak najszybciej naszej pomocy, ale ponad wszystko ty potrzebujesz snu. W takim razie ja wezmę kulę i pojedę do Szwajcarii co koń wyskoczy. Będę tam jeszcze dzisiaj wieczorem.

Dolg potrząsnął przecząco głową.

— Cień powiedział, że nie wolno mi nikomu oddawać kuli. I to ja mam udzielić pomocy tacie.

Przy stole powstało zamieszanie, wszyscy mówili, co, ich zdaniem, należałoby zrobić, w końcu księżna rozstrzygnęła sprawę.

— Wyruszyście zaraz powozem, a kilku naszych ludzi będzie wam towarzyszyć aż do świtu. Zarówno Dolg, jak i Erling powinni spać tej nocy, ale mogą to zrobić w powozie i w ten sposób nie stracą czasu. Weźmiecie ze sobą konie wierzchowe i rano pojedziecie dalej, a ludzie wrócą z powozem do domu.

— Znakomity pomysł, Therso — powiedział Erling. — Z jedną tylko poprawką... Później również będziemy potrzebowali powozu, żeby przywieźć Móriego do domu. Zatem wszyscy będziemy musieli pojechać aż do końca. Ja będę wskazywał drogę. Zgodzisz się na to?

— Nie! Nie! — wołali Taran i Villemann jedno przez drugie. — My też chcemy jechać!

— Co to, to nie, moi kochani! — zaprotestowała Theresa. — Tym razem nic z tego nie będzie.

— Ale Dolg jest od nas starszy tylko o dwa lata. To niesprawiedliwe — upierał się Villemann.

— W powozie nie będzie dla was miejsca, jeśli Erling i Dolg mają w nim spać. Trudny problem rozwiązał Dolg.

— Villemann i Taran, posłuchajcie mnie! Cień zwierzył mi się, że przyjdzie też kolej i na was. Za kilka lat każde z was otrzyma swoje zadanie. Tym razem jestem zmuszony jechać sam, bez was, chociaż Cień powiedział, że wspaniale było mieć was podczas wczorajszej wyprawy.

Rodzeństwo patrzyło na niego zdumione.

— Swoje zadanie? — zapytał Villemann.

— Tak. I Taran również.

Villemann patrzył na brata zachwycony.

— To ja sobie wtedy dam radę tak samo dobrze jak Dolg.

— I ja też! — krzyknęła Taran.

— Ale jednak chciałbym mieć wtedy Dolga przy sobie — ciągnął Villemann.

— I ja też — powtarzała za nim Taran.

— Dziękuję wam — rzekł Dolg ze śmiechem. — Jesteście najcudowniejszym rodzeństwem, jakie mam.

Malcy długo jeszcze się cieszyli tym komplementem, dopóki nie odkryli, że nie jest on wcale taki wspaniały, jak się początkowo wydawało.



Erling spojrział na Dolga z uznaniem, jakby chciał powiedzieć: Nadzwyczajnie poradziłeś sobie z kłopotem. Wszyscy przecież wiedzieli, że gdyby Taran i Villemann musieli bez specjalnego uzasadnienia zostać w domu, to dorośli ani na sekundę nie mogliby spuścić ich z oczu, bo malcy natychmiast wyruszyliby w ślad za bratem. Dolg oddalił takie niebezpieczeństwo.

— Dolg, a czy teraz możemy obejrzeć magiczną kulę? No i twoje rysunki? — zapytał Erling.

Chłopiec wahał się.

— Boję się tak pokazywać kulę, bo ona ma bardzo silne działanie na ludzi, a przecież nie wiemy, jakie są tego ewentualne skutki. Pamiętajcie więc, że nie wolno jej wam dotykać, żeby nie wyzwolić w sobie jakichś nieznanych sił. . .

— A ja jej dotykałam — wtrąciła Taran pośpiesznie.

— Wiemy o tym i ja, i Cień, ale nie orientujemy się jeszcze, jakie to może pociągnąć za sobą konsekwencje.

— Och, to niezwykle — powiedziała Taran zachwycona.

— No tak. Musimy też pamiętać, że kula sprawiła, iż wielkie rzesze błędnych ogników wróciły do swojej pierwotnej postaci, a potem całkiem zniknęły. I to tylko dzięki temu, że na nią patrzyły.

— Och, ja za nic nie chciałabym zniknąć — rzekła pośpiesznie stara pokojówka.

— Nie, na pewno do tego nie dojdzie — zapewnił ją Dolg z powagą. — Ale przecież od dawna cierpisz na dotkliwe bóle ramion i bioder, prawda?

— Niestety tak. Strasznie dokucza mi reumatyzm.

Dolg zastanawiał się.

— Ja nigdy nie dotykałem kuli — informował Villemann. — Ale patrzyłem na nią i wcale nie zniknąłem.

Wszyscy dorośli myśleli to samo. Widzieli, że w oczach Villemanna pojawił się nowy blask oraz że i tak bardzo ładne rysy bliźniaków mają teraz w sobie jakieś eteryczne piękno. A najwyraźniejsze zmiany obserwowali u Dolga, było w nim coś podniosłego, niezwykle szlachetnego.

Zastanawiali się, co takiego chłopiec w sobie ma. To siła, której jeszcze nie zdążył wypróbować.

Użył jej dotychczas tylko raz wobec tych złych ludzi, na których zesłał zapomnienie.

— Nie tak mało wymagamy od tej kuli — powiedział po dłuższym zastanowieniu. — Żądamy, by przywróciła tatę do życia, może więc powinniśmy najpierw wykonać próbę?

Zapytał pokojówkę, czy może dotknąć kulą jej ramienia. Zapewnił, że nie jest to w najmniejszym stopniu niebezpieczne, a może tak się zdarzy, że magiczna moc pomoże na jej reumatyczne bóle.

Po bardzo długich wahaniach pokojówka zgodziła się na eksperyment.

Zaległa cisza.

— To niebieski szafir! — zawołała Theresa z przejęciem. — Jaki wielki! I cóż za uroda! A jaka czystość!

Erling nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Pokojówka dygotała na całym ciele.

— Panie Müller — szeptała ledwo dosłyszalnie. — Wasza wysokość... Pani-czu Dolg! Myślę, że nie muszę dotykać kuli. Ja... Ja już się czuję lepiej. Ból ze mnie wypływa. Spływa z ramion. W dół po rękach. A teraz jest tutaj — wskazała na przedramię. — A teraz... w dłoniach. Och, jaki okropny ból w palcach! O, nie!

— Całe cierpienie zebrało się w koniuszkach palców — powiedział cicho Dolg.

Biedaczka oddychała ciężko.

— Ale teraz... O Boże, ból się rozplywa, znika... O, wasza miłość, przestało mnie boleć! Proszę spojrzeć, mogę podnieść rękę! I nic mnie nie boli!

Wstrząśnięta wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

— Ja rozumiem, co odczuwasz — pokiwała głową księżna. — Moje bóle stawów też zniknęły. Stało się to dokładnie w taki sam sposób, jak opowiadałaś. Najpierw skoncentrowały się w jednym punkcie, a potem wypłynęły ze mnie.

— Tak — szlochała pokojówka. — To samo było z moimi biodrami. Ból zsuwał się w dół, do stóp, a potem wypłynął na zewnątrz. Chociaż czułam to mniej wyraźnie niż w ramionach, ale też zawsze miałam największe bóle w barkach.

Dolg zawijał niebieski kamień w sweter i chciał go na powrót zapakować do wężelka Villemanna.

— Zdaje mi się, że wiem, co się stało — stwierdził Dolg. — Prosiłem go w duchu, by był tak dobry i usunął twój ból, i on to uczynił. On spełnia moje życzenia. To mnie trochę przeraża.

— Słusznie, rzeczywiście powinieneś się tego bać — powiedział Erling przejęty. — Bo to oznaczać może trzy rzeczy, Dolg. Po pierwsze, nie wiemy, co by się stało, gdyby ktokolwiek inny wyraził wobec szafiru swoje życzenia. Po drugie, ty sam zawsze, kiedy będziesz go używał, musisz mieć czyste intencje i szlachetne zamiary. A po trzecie wreszcie, nie wiemy, czy on spełnia również złe życzenia.

— Na tę ostatnią wątpliwość ja znam odpowiedź — rzekł Dolg. — Złych życzeń kamień nie spełnia. On reprezentuje dobro.

Theresa uśmiechnęła się krzywo.

— Ja w każdym razie wiem, co szafir popiera. Dowiedziałam się tego za młodu. Niech no sobie przypomnę... Wiecie, jest bardzo wiele rzeczy, które szlachetny kamień może dać człowiekowi.

— Trochę o tym wiem, ale niezbyt wiele — wtrącił Dolg.

— Opowiedz nam, babciu!

Księżna starała się sobie przypomnieć możliwie najwięcej i liczyła na palcach.

— No więc wierność w przyjaźni i miłości. Cnotliwość, szczerść, poczucie obowiązku, współczucie, fantazję i uczciwe życie. I dalej... uff, jak mało pamiętam! A tak, jeszcze psychiczny spokój. Zdolności prorocze, uzdrowicielskie, łagodność, ufność. A ponadto przyciąga do właściciela dobrych ludzi. Jest pomocą w nieszczęściu, na przykład w pożarze czy groźbie utonięcia, pomaga też zabłąkanym. Specjalnie chroni oczy i serce. Rozprasza depresję, leczy gorączkę i zatrucia, a ponadto chroni przed czarną magią.

— Uff! — jęknęła Taran. — Zostało coś jeszcze? Coś, na co szlachetne kamienie nie pomagają?

Theresa roześmiała się.

— To dotyczy tylko szafirów. Każdy kamień ma inne sobie przypisane właściwości.

— Z tego, co powiedziałaś, wynika, że szafir rzeczywiście wspiera dobro — rzekł Erling z uśmiechem. — A na dodatek w tym kryje się jeszcze magiczna siła.

— Myślę, że nie istnieje na ziemi drugi szafir, który mógłby się z nim równać — stwierdziła Theresa. — Czy raczej w ziemi. Ale, kochany Dolgu, nie możesz go bez końca nosić owiniętego w ten sweter! A przy tym w węzełku? Ten klejnot powinien spoczywać w wyściełanej aksamitem szkatule. Najlepszy byłby aksamit ciemnoniebieski. Chyba gdzieś mam...

Erling uniósł rękę.

— Piękna szkatułka, to pierwsze, czego poszukują zbójcy na drogach. Szafir powinien mieć rzeczywiście lepszy futerał, ale nie za bardzo wyszukany!

— Masz rację. Dolgu, pokaż nam teraz rysunki!

— To ja je uratowałam! — zawołała Taran radośnie.

— Jesteś paskudną chwalipiętą! — wykrzyknął Villemann. — Ja też się do tego przyczyniłem, chyba nie zaprzeczysz?

— Oczywiście, że pomogłeś — zapewnił Dolg młodszego brata, który, niestety, nie miał możliwości wykazania się niczym szczególnym w wyprawie i potrzebował teraz psychicznego wsparcia.

Dolg wyjął kartki papieru, które po niebezpiecznych przejściach były solidnie pogniecione, i rozłożył je na stole.

— Tutaj mamy znak Słońca — stwierdziła Theresa. — Wszyscy znamy go bardzo dobrze.

— Ale co mogą oznaczać te inne? — zastanawiał się Erling. — Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

— Ani ja — dodała Theresa. — Chociaż mogłabym może...

— Tak? Co miałaś na myśli?

— Bibliotekę w Hofburgu. Jest tam mnóstwo inkunabułów i rycin.

— Byłoby dobrze tam zajrzeć — westchnął Erling i patrzył na księżnę tak długo, że aż się zarumieniła. — Ale czy wiesz, gdzie powinnaś szukać?

— Pojęcia nie mam. A poza tym nie mam też dostępu do Hofburga.

Erling westchnął.

— Porozmawiamy o tym, kiedy wrócimy do domu. Zabiorę ze sobą kopię rysunków. Nie dlatego, bym wiedział, jaką rolę mogłyby odegrać, ale... A przy okazji, Thereso, co zrobimy ze śpiącymi wielkimi mistrzami?

— Uff! — jęknęła, spoglądając ukradkiem w stronę werandy.

— Ja też uważam, że na razie one powinny leżeć tam, gdzie są. Nie dotykaj ich i zadbaj, by nikt inny ich nie dotykał.

„One” to były, oczywiście, kamienne tablice, które w dalszym ciągu leżały na schodach do ogrodu. Były jednak dobrze chronione i nikt nie mógł się nawet do nich zbliżyć. Bliźniaki zostały poinformowane o niebezpieczeństwie i otrzymały surowy zakaz podchodzenia do schodów werandy. Oboje przeżyli tyle bardzo groźnych sytuacji, że szczerze kiwali głowami, obiecując, iż zrobią, jak im powiedziano.

I tym razem dorośli im wierzyli.

— A teraz — oznajmił Erling, kładąc rękę na ramieniu Dolga — teraz ty i ja musimy zacząć działać. Zaraz się przygotowujemy do wyjazdu. Dwaj twoi najlepsi ludzie, Thereso!

Księżna natychmiast przystąpiła do pracy.

— Jeszcze tylko jedna sprawa — wtrącił nieśmiało Dolg. — Czy mogę zabrać Nera?

Pies popatrzył lekliwie na panią domu, Theresę, a ona zrozumiała.

— Oczywiście, że Nero może iść z tobą.

Chłopiec mocno przytulił do siebie czworonożnego przyjaciela.

## Rozdział 16

W niewielkiej górskiej wiosce poniżej zamku Graben dwóch chłopów siedziało w izbie i piło piwo. Był już późny wieczór, chłopci odpoczywali zadowoleni po dniu pracy. Zasłużyli sobie na parę kufelków.

Obaj jednak milczeli pogrążeni w myślach.

W końcu jeden powiedział:

— Zastanawiam się, co też mogło się stać z tymi trojgiem w ruinach.

— Myślałem o tym samym. Ty ich nie widziałeś?

— Nie.

— Ja też nie.

Piana bieliła się na wąsach.

— Konie nadal stoją w mojej stajni.

— Tak. Piękne konie.

— Bardzo dobre.

— Ale za nimi szli jeszcze jacyś. Oni też pytali o drogę do zamku, ale nie chcieli nas słuchać, kiedyśmy zaproponowali, żeby konie zostawili we wsi. Wzięli je ze sobą. Myślę, że daleko nie zajadą. Gromada wojowników.

— Nie, wojownikami to chyba nie byli. Nie mieli zbroi.

— Nie mieli, ale wyglądali na wojowników. Z oczu źle im patrzyło.

— Masz rację.

— Przejechali później obok wsi w drodze powrotnej. Przelecieli jak burza, nie zatrzymując się. Jakby nie chcieli, żeby ich ktoś widział.

— Mhm. Chłopak Trudy mówił, że jeden wioził kogoś w swoim siodle.

— Chłopak Trudy za dużo gada.

Cisza. Raz po raz głośnie siorbnięcie.

— Trzeba by chyba iść w góry i zobaczyć.

— Tak.

Las za wsią leżał mroczny, widać go było przez okienko izby.

— Ale nie dzisiaj wieczora.

— Nie. Nie dzisiaj wieczora.

— Powinniśmy wziąć ze sobą Andreasa. I Willgotta.

— I jeszcze paru. Jutro wcześniej rano. I weźmiemy obraz Madonny.  
Głębokie westchnienie. Zaciśnięcie ręki na uchwycie kufła.  
— Tak.

Następnego ranka nieliczny i mało radosny pochód zaspanych chłopów wyruszył ze wsi do zniechęconego zamku Graben.

Wszyscy byli już kiedyś w ruinach, ale tylko raz w życiu i z własnej woli nie wybraliby się tam nigdy więcej. Niektórzy wiele lat temu musieli pójść jeszcze raz, żeby ratować tego szaleńca Dieterla. Ściągnąć go ze skalnej półki, na której leżał bez przytomności. Dieterla, który nigdy nikomu nie opowiedział, co go tam spotkało, i który umarł wkrótce potem.

No i teraz jacyś głupi obcy odważyli się pójść do zamku, a ich konie stoją we wsi już czwartą dobę. Nic poza poczuciem miłości bliźniego nie skłoniłoby mieszkańców wsi, by wyruszyć na poszukiwania.

Ale nie była to dla nich radosna wyprawa.

Co za cholerni ludzie przychodzą tu ze świata!

Ale ta trójka sprawiała takie przyjemne wrażenie. Tamci, którzy przyjechali po nich, to rzezimieszki.

I właśnie dlatego chłopci chcieli zobaczyć, co się stało.

Im bliżej podchodzili do szczytu, tym wolniejsze stawały się ich kroki. I nie tylko dlatego, że ciężko było oddychać na stromym zboczu. Ruiny zamku Graben budziły w nich lęk.

Niemal już całkiem na górze, na skalnym występie, Andreas, który był wśród nich najstarszy, najwyższy i cieszył się największym autorytetem, przystanął.

— Tutaj coś się musiało stać — stwierdził.

— Tak — przyznał ktoś inny. — Chyba jakaś bójka. Spoglądali ku dolinie, która rozciągała się przed nimi aż po horyzont. Ze skały, na której stali, wiódł w dół ślad, jakby zostawiony przez toczące się ludzkie ciało.

— Idziemy dalej w górę.

Na polanie, gdzie znajdowały się ruiny, nie zauważyli niczego szczególnego, jednak, nauczeni doświadczeniem, zatrzymali się na skraju lasu.

— Jak tu cicho — powiedział Bernhard, chłopak Trudy.

— Racja, tak cicho nigdy tu nie było — potwierdził Andreas w zamyśleniu.

— Tak jakby zamek już nie był niebezpieczny. Pójdziemy zobaczyć?

— Na twoim miejscu bym tego nie robił. To podstępne miejsce.

Nikt nie zareagował na to dosyć dziwne stwierdzenie.

Stali jeszcze chwilę, a lekki wiatr, który wiał tu w górę, chłodził ich zgrzane twarze. Żaden z przybyszów nie czuł się dobrze, ale żaden też nie wiedział, co powinni zrobić.

Nagle któryś z młodszych odskoczył na bok.

— *Ach, Du lieber Gott!*

— Co się stało?

— Patrzcie!

Chłopak pokazywał na ziemię, gdzie w trawie leżały kości ludzkiej ręki. Między palcami tkwiły strzępy niebieskiej tkaniny.

— Jezus Maria! — chłopci zegnali się przestraszeni.

— Ona była ubrana w niebieską suknię — powiedział jeden z tych, którzy widzieli Tiril i jej towarzyszy w drodze do zamku.

Znowu spoglądali ku ruinom. Nie sprawiały one już teraz wrażenia bezpiecznego miejsca.

— Chodźcie, idziemy stąd! — rzucił Andreas.

Nikt nie chciał schodzić ostatni, wszyscy pospiesznie zbiegali ścieżką.

Na skalnym występie Andreas znowu przystanął.

— Patrzcie na te gałęzie! Tam na drzewie. Znowu kawałek niebieskiego materiału.

— W takim razie musieli tędy schodzić w dół — stwierdził Willgott

— Możliwe — mruknął Andreas niepewnie.

— Ale wygląda na to, jakby ktoś został zepchnięty z tej skały — rzekł jeden z chłopów ponurym głosem.

— Tak. Nieszczęsny!

— Andreas! — zawołano z lasu. — Tutaj też jest ślad, jakby kogoś ciągnięto!

Wszyscy ruszyli w tamtą stronę.

Ślady były niewyraźne. Chłopci zatrzymali się przy wysokim stosie gałęzi, nie mogli iść dalej, bo duchy broniły dostępu do Móriego. Stojący zdecydowani byli coś zrobić, ale nikt nie chciał uczynić pierwszego kroku.

Chłopak Trudy zadrżał.

— Ja wam mówię, że tu straszy!

— Tak — mruzcili inni.

— Idziemy?

W końcu Andreas postanowił pokazać, że jest tu przywódcą. Odchrząknął i zdecydował:

— Nie! Nie możemy tego tak zostawić.

Wszyscy jednak odczuwali to samo. Niebywale silny opór, który można by przełożyć na słowa: „Nie ruszajcie stosu gałęzi!”

Tam pod spodem ktoś leży — oznajmił Willgott półgłosem.

— Tak, ale co zrobimy?

Jeden z tych, którzy spotkali Tiril i jej towarzyszy, szepnął ostrożnie:

— Mnie się zdaje, że to ten o dziwnych oczach. On był właśnie taki, i miły, i groźny.

— Uważam, że był miły — powiedział jego kolega. — Chociaż wygląd miał groźny. Jak czarownik.

— Sprowadzimy księdza — zdecydował Andreas.  
Wszyscy odetchnęli z ulgą.

— No to co robimy teraz? — zapytał Nauczyciel duchy stróżujące przy martwym ciele Móriego.

— Łatwo by było ich stąd wystraszyć — rzekł Duch Zgasłych Nadziei w zamysleniu. — Ale nie powinniśmy tego robić

— Nie — potwierdził Nauczyciel. — Tak właśnie i ja myślę. Nic jesteśmy przecież potworami. A to pełni dobrej woli i troskliwi ludzie, którzy nie zamierzają uczynić niczego złego. Nie powinni już dłużej żyć w strachu przed tym wzgórzem. Oczyszcziliśmy przecież runy. Nie możemy teraz zostawiać nowego miejsca, którego będą się bać.

— Słusznie — przytaknął Hraundrangi-Móri. — Z braćmi Mondsteinem i von Kaltenhelmem była zupełnie inna sprawa.

Pustka miała wątpliwości.

— No, a jeśli oni pochowają Móriego?

— Pomoc jest w drodze — przypomniał Nauczyciel. — Ale masz też rację. Oni z pewnością będą chcieli sprawić mu prawdziwy chrześcijański pogrzeb we wsi na dole. Bardzo szlachetny zamiar z ich strony, ale nie możemy do tego dopuścić.

Dwa duchy, Powietrze i Woda, wróciły już po odprowadzeniu Erlinga do Theresenhof. Władczyni powietrza miała pomysł.

— Zostawcie mi sprawę opóźnienia pogrzebu — powiedziała z uśmiechem. — Niewielka śnieżycza o tej porze roku nie jest w tych stronach niczym niezwykłym. Może zresztą znajdę inny sposób.

— Chętnie ci pomogę — zgłosiła się Pustka. — Zamaćę im trochę w głowach, że nie będą wiedzieli, co robić.

Wszyscy śmiali się cicho.

— Dobrze by było mieć tutaj Nidhogga i Zwierzę — westchnął Nauczyciel. — Bardzo mi ich brakuje. Byliśmy niewielką, ale bardzo zgraną grupą, my, którzy mieliśmy ochraniać Móriego.

Wszyscy się z nim zgadzali. Wszyscy myśleli to samo. Gdyby on teraz umarł. To co stanie się z nimi? Będą krążyć bez celu przez całą wieczność, nie wiedząc, czym się zająć?

To by było potworne!

— Nie masz żadnych wiadomości od Nidhogga? — zapytał Nauczyciela Duch Zgasłych Nadziei.

— Nie — odparł tamten. — Nic oprócz słabego sygnału, że oddalają się od nas. Na zachód.



— To chyba był błąd z tym przeniesieniem kamiennych tablic do Theresenhof — martwiła się Woda.

— Dlaczego?

— Chcieliśmy, żeby Zakon świętego Słońca nie miał do nich dostępu. Jak wiecie, towarzyszyłam Erlingowi do samego domu. Ale potem wydarzyły się tam straszne rzeczy. Kilku wielkim mistrzom udało się wymknąć. I pod postacią cieni dręczyli małego Dolga podczas jego wyprawy.

— Niedobrze. Bardzo niedobrze — westchnął Nauczyciel.

— Ale zostali już unicestwieni, a pozostałym tablicom nic nie grozi — zapewniła pani wody.

— Świetnie. Móri ma naprawdę wspaniałego syna. Chociaż jeszcze nie wie, jakie wielkie siły drzemią w jego pierworodnym.

Znowu długo milczeli. Może Móri już nigdy się o tym nie dowie...

— Nie sądzę też, że i mój wnuk, Dolg, zdaje sobie sprawę z tego, jaki jest silny. Ale jest coś, co ja chciałbym wiedzieć. Mianowicie, kim jest ten Cień? I dlaczego teraz się znowu pojawił?

— No właśnie. Dokąd on prowadził chłopca po nocy? Nam powiedział, że idą po jedyny ratunek dla Móriego.

— On jest trochę za bardzo tajemniczy jak dla mnie — stwierdził Duch Zgasłych Nadziei, kręcąc głową. — Nie lubię, kiedy nie mam kontroli nad sytuacją.

— Ani ja — poparł go Nauczyciel. — Ale jak to jest, duchu powietrza, czy on się znowu wycofał?

— Tak, w tej chwili nie wiadomo, gdzie się podziewa. Do nas idzie tylko Dolg z Erlingiem i kilkoma pomocnikami.

Wszyscy westchnęli.

— Musimy wytrwać, dopóki oni tu nie przyjdą — rzekł Hraundrangi-Móri. — Dbajcie, by Móri nie osunął się w głąb krainy Śmierci i żeby ci sympatyczni chłopci nie pochowali go w źle pojętym poczuciu miłości bliźniego.

Bezradni i bezdomni rozsiedli się ponownie wokół swego „pana”, Móriego, chociaż on sam nigdy nie zdołał wyjaśnić, kto w tym układzie jest panem, a kto sługą.

Nauczyciel, Duch Zgasłych Nadziei i Hraundrangi-Móri siedzieli w kukki przy stosie gałęzi, pokrywających ciało Móriego. Pustka krążyła nad nimi, władczyni powietrza siedziała na pobliskim drzewie, a pani wody wraz z żeńskim duchem opiekuńczym Móriego stały bez ruchu pod skałą.

Czekali.

Miejscowy proboszcz spoglądał zmartwiony na stos sosnowych gałęzi.

— Ach, tak, tu z pewnością znajduje się zabłąkana dusza — westchnął. — Musimy go na noszach zanieść do wsi, jak tylko odczytam parę odpowiednich

wersetów z Pisma Świętego.

Odwrócił się i surowo popatrzył na spory tłumek, który tu z nim przybył. Niemal cała parafia.

— Ale co to za zabobonne gadanie o tym, że to miejsce jest nieczyste? Że rządzą tutaj złe moce? Ja nie znajduję, tu niczego takiego.

— Nie, wielbny pastorze — powiedział Andreas nieco zakłopotany. — My też już nie. To, co nas przestraszyło dziś rano, już zniknęło, podobnie jak to, co kiedyś straszyło tam w ruinach na górze.

Paru wyrostków miało rozczarowane miny. Liczyli na trochę rozkosznej grozy, bezpiecznej, jak długo pastor i dorośli byli z nimi.

Stara Hildegunn, z jednym tylko zębem w dolnej szczęce, uważana była za osobę, która widzi więcej niż inni, i teraz uznała, że powinna bronić swojej dobrej opinii.

— No, ale ja w każdym razie wyczuwam obecność jakichś istot.

— Ja też — przytaknęło chórem kilka młodych dziewcząt.

— Wszyscy wyczuwamy — potwierdził Willgott. — Ale to są istoty natury. Nic złego nam nie zrobią.

— To anioły Pana, które czuwają nad zmarłym — sprostował pastor. — Odczułem ich obecność natychmiast, gdy tu przyszliśmy. A żadnych istot natury nie ma. Gdyby były, należałyby do królestwa diabła.

Sosnowa szyszka spadła kapłanowi na odsłoniętą łysinę. Uniósł głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, i wtedy druga szyszka pacnęła go prosto w nos. Ale na drzewie nikogo ani niczego nie było.

Powoli zaczęli odrzucać gałęzie ze stosu.

Jeden z chłopów wyprostował się.

— Tak, to ten o strasznych oczach.

Wszyscy w milczeniu patrzyli na Móriego, który leżał tam piękny niczym bóg, biały jak alabaster, z zamkniętymi oczyma i zaciśniętymi ustami. Kruczoczarne włosy otaczały twarz tak urodziwą, że kobiety zaczęły tęsknie wzdychać.

— Patrzcie, on został przebity mieczem — szepnął jeden z chłopców.

— Ale rana się zagoiła — wtrącił ktoś inny.

— Jak na kogoś, kto zmarł tyle dni temu, to on wygląda bardzo zdrowo — stwierdził Andreas.

— Uważam, że macie rację, moi drodzy parafianie — oświadczył proboszcz. — Tutaj działały siły ciemności. — Jakiś ptak chlapnął mu prosto w oko i urażony pastor długo je wycierał. — Tu się dzieją różne rzeczy — westchnął. — Trzeba go przenieść na nosze!

Andreas okazał swój autorytet.

— Moim zdaniem on żył jeszcze do ostatniej doby — rzekł stanowczo. — To tłumaczy zagojoną ranę i jego zdrowy wygląd.

Inni kiwali głowami i potwierdzali. Mądre słowa!

I tylko niewidzialni towarzysze Móriego mieli w tej kwestii odmienne zdanie.

— Chyba powinniśmy wezwać władze — zaproponował Andreas. — Tutaj miało przecież miejsce przestępstwo. A właściwie trzy. Jeden człowiek został przebity mieczem. Drugi, wedle tego, co widzieliśmy, zrzucony ze skały. Trzeci natomiast, kobieta, została uprowadzona przez tych barbarzyńców, którzy przybyli z odległych i obcych stron.

— Świetny pomysł, mój dobry Andreasie — pochwalił proboszcz. — Tu trzeba przeprowadzić śledztwo. Złóżcie tego nieszczęśnika w kaplicy cmentarnej! A potem wezwiemy prefekta z Zurychu.

Następnie przepędził młodzież, która tłoczyła się, by lepiej widzieć. Trup w nudnym codziennym życiu zawsze jest bardzo podniecający.

— No, zabierajcie go, moi silni chłopci!

Proboszcz szeptał wyjęte z Biblii słowa, a reszta słuchała z pochylonymi głowami i złożonymi rękami.

Po modlitwie opuścili wzgórze z Mórim na noszach.

— Znakomicie! — cieszył się Nauczyciel. — Teraz będziemy mieć tyle czasu, ile nam będzie potrzeba. Nie pochowają Móriego, dopóki nie przyjedzie prefekt, żeby go zobaczyć. Andreas, mój dobry człowieku, życz sobie, czego chcesz, a będzie ci spełnione.

I tak się też stało. Gdy chłop Andreas jeszcze tego samego wieczora wyraził życzenie, by ktoś zamknął na wieki nieustannie gadającą gębę jego małżonki, nieszczęsna kobieta zaniemówiła. Dopóki duchy przebywały w ich wsi, biedaczka rozdziawiała tylko usta, ale nie była w stanie wydać z siebie głosu.

Od wielu lat Andreas nie przeżywał takich pięknych dni!

## Rozdział 17

Księżna Theresa najchętniej pojechałaby razem z Dolgiem i Erlingiem. Nie była przecież starsza od Erlinga i zniosłaby trudy podróży. Ktoś jednak musiał zostać w domu. Ktoś, kto mógłby się zająć niesfornymi bliźniakami. I ktoś musiał tu być na wypadek, gdyby Tiril wróciła.

W to ostatnie jednak nikt nie wierzył.

Długo ścisnęła rękę Erlinga na pożegnanie.

— Dbajcie o siebie. Obaj! A raczej, ściślej biorąc, wszyscy trzej. Nerowi też nic nie powinno się stać. Zapamiętajcie to sobie!

— Tak, wiem — zapewnił Erling. — Najbardziej bym chciał, żebyś z nami pojechała, Thereso. Podróż z tobą byłaby dużo łatwiejsza do zniesienia. Ale kiedy wrócimy...

— Tak?

— Wtedy chciałbym z tobą porozmawiać... Ech, o różnych sprawach.

Okropnie to sformułowałem, myślał Erling zły sam na siebie. Zawsze, kiedy się najbardziej potrzebuje właściwego słowa, język zawodzi.

Długo na siebie patrzyli, z uśmiechami na wargach i powagą we wzroku. Oboje wiedzieli, że nie ma żadnej gwarancji, iż Erling i Dolg kiedykolwiek wrócą.

A zwłaszcza Móri, którego będą próbowali sprowadzić do domu.

Gdy powóz wyjechał za bramę Theresenhof, księżna długo stała przy oknie i patrzyła w ślad za nimi. Wiedziała, że zobaczy wszystko, powóz, konie, ludzi, jeszcze raz, kiedy wjadą na najwyższe wzgórze.

Jakże długo musiała czekać! O, nareszcie są! Ale zaraz znowu wszystko zniknęło, tym razem na dobre.

Co Erling chciał jej powiedzieć?

Z pewnością nic. Wcześniej, zanim on i Tiril, i Móri wyjechali na swoją niefortunną wyprawę, rozmawiali o prowadzeniu dworu, o ekonomii, ale ona, Theresa, rozumiała z tego niewiele i wtedy Erling zaofiarował się, że jej to kiedyś wytłumaczy. Później jakoś nie było czasu, więc może teraz... Pewnie to właśnie miał na myśli.

Teraz znowu obaj z Dolgiem wyjechali. Jak to dobrze, że zostały jej młodsze dzieci! Bardzo surowo zakazano im zbliżyć się do schodów werandy. Cała ta część ogrodu została oddzielona specjalnym, nowo wzniesionym płotem, drzwi na werandę Theresa zamknęła od środka na klucz, a klucz nosiła zawsze przy sobie.

Znała jednak dobrze Taran i Villemanna. Zakaz działał na nich niczym wielki słodki tort.

Mimo wszystko miała wrażenie, że przstraszyły je trochę surowe zakazy i groźenie tym, co się stanie, jeśli zbliżą się do schodów. Zresztą oboje byli jakby bardziej dojrzały po wyprawie, w której wzięli udział. Oboje wiedzieli, że istnieją cienie, i dobre, i złe. A ci, którzy mogli być uwolnieni z kamiennych tablic złożonych w ogrodzie, są wyłącznie źli. Jedynie ojciec dzieci, Móri, dysponował siłą, która mogła okiełznać złe cienie.

Bliźniaki upierały się, że Dolg też by potrafił, ale Theresa odparła, że nic pewnego na ten temat na razie nie wiadomo i nie można eksperymentować. Później dzieci musiały złożyć uroczystą przysięgę przed obrazem Madonny, że za nic nie zbliżą się do schodów.

Obiecali jej, ale Taran, która zawsze musiała postawić na swoim, zawołała:

— Teraz niech będzie tak, jak chcesz. Mój Czas nadejdzie później.

— Mój także — oświadczył Villemann. — I to wcześniej.

— Nie, nic podobnego. Na pewno nie wcześniej.

— Tak, bo ja jestem starszy!

— Dwie godziny! Też jest się czym chwalić!

I znowu podjęli swoją wieczną sprzeczkę, w której nie było złości, tylko pragnienie odrobiny prestiżu.

Tego wieczora Theresa długo się nie kładła, siedziała po prostu na krawędzi swego łóżka. Szafir Dolga uczynił cud, ból stawów zniknął zupełnie. W głowie księżnej krążyła jednak uparcie inna myśl.

Nie miała odwagi jej nazwać.

Jesteśmy równoletkami, powracało do niej uparcie. On zaś jest mężczyzną samotnym, bezdzietnym mężczyzną. W młodości musiał mieć wielkie powodzenie u kobiet. Coś jednak ułożyło się nie tak jak trzeba, skoro nie doczekał się potomstwa. A przecież w pełni na nie zasługiwał. Byłby fantastycznym ojcem, on, tak bardzo przywiązany do naszej trójki.

On mógłby jeszcze mieć dziecko. I to właśnie jest najgorsze, bo ja dać mu go już nie mogę.

Dlaczego ludzie spotykają się w niewłaściwym czasie? Czy na tym świecie nie ma żadnej sprawiedliwości?

Theresa zdawała sobie jednak jasno sprawę z tego, że gdyby spotkali się w młodości, to do niczego by między nimi nie doszło. Bo ona była księżniczką, siostrą samego cesarza, a on był zwyczajnym człowiekiem, nawet nie pochodził ze szlachty. Zdolny kupiec to przecież nie jest partia dla księżniczki.

Teraz sprawy miały się zupełnie inaczej. Ona została odrzucona przez cesarską rodzinę, w każdym razie oficjalnie, za fałszywy krok popełniony w młodości. Była jednak szczęśliwa i rada, że jest tak jak jest.

Tyle tylko że została sama, bez bliskiego mężczyzny.

W końcu wślizgnęła się pod kołdrę.

Badała dłonią swój podbródek. Jego kontury nie były już takie wyraziste jak dawniej, na szyi miała kilka widocznych żył. A jej piersi? O, nie, zresztą dlaczego, piersi by jeszcze uszły, choć z całą pewnością nie są to piersi młodej dziewczyny.

On musi być dość zepsuty, jeśli chodzi o piękne kobiety.

Ona zaś niewiele miała do zaoferowania.

Talia też już nie taka jak dawniej. Brzuch... Mimo woli wciągnęła go. Owszem, płaski, ale też nie taki jak kiedyś.

Poza tym na jednej łopatkę pojawiły się jakieś ciemne znamiona. Kwiaty starości, tak to się chyba nazywa. Były nieco wypukłe, wyczuwało się je dotykiem.

Raczej nie powinna ich pokazywać.

Chcę dostać z powrotem moją młodość! Teraz! Bo właśnie teraz jej potrzebuje. A nie trzydzieści lat temu. Wtedy nie znałam jego.

Moje włosy się przeredziły. Nie za bardzo, ale wyczuwam to, kiedy je przeczesuję palcami. Parę lat temu zaczęły mi wypadać. Teraz jednak przestały. Boże, daj, żeby już tak zostało!

Przy wieczornym pacierzu w swojej małej kapliczce Theresa modliła się tylko za tych, którzy znajdują się poza domem i są w niebezpieczeństwie. Nie odważyła się prosić Matki Bożej o pomoc w swoich prywatnych rozterkach.

Jak zawsze w ostatnich dniach, modliła się szczególnie za Tiril i Móriego. I za Dolga. Młodsze dzieci szczęśliwie wróciły do domu, więc o nie nie musiała się już niepokoić. Dzisiaj jednak jej modlitwy obejmowały też Erlinga Müllera. Ale tylko dlatego, że jemu również groziło niebezpieczeństwo w tej podróży. Z żadnego innego powodu.

Natomiast stopy mam w dalszym ciągu piękne.

I moje zgrabne nogi. Też się nie zmieniły.

Tylko że nóg i tak nie mogę pokazać.

Z wyjątkiem...

Engelbert wyrażał się bardzo ciepło o jej nogach. Gładził je pieszczotliwie, obejmował. Ten jeden jedyny raz, kiedy je widział. I Adolf miał zwyczaj wchodzić za nią po schodach, unosić jej spódnice i przyglądać się nogom. Na początku ich fatalnego małżeństwa. Później, Bogu dzięki, już się nie przejmował takimi sprawami. Później w ogóle się nią nie przejmował.

Dolg, dziecko kochane, co z ciebie będzie?

Myśl o najstarszym wnuku kojąco wpływała na jej nerwy, choć to z pewnością dziwne. Mimo iż była pewna, że nie zmruży oka tej nocy, zasnęła.

Theresa miała okropny sen. Śniło jej się, że na schodach werandy ze stosu kamiennych płyt unosi się dym. Czarna smuga kierowała się ku domowi i chwiejąc się otaczała narożniki, jakby czegoś szukała.

W końcu dotarła do okna jej pokoju. Tam się zatrzymała. I wtedy przez okno zaczęły do pokoju zaglądać jakieś twarze, ręce osłaniały od światła oczy, poruszające się niespokojnie i tylko na pół widoczne w mglistych szarych obliczach.

Theresa zerwała się z krzykiem.

To tylko sen. Firanki były szczelnie zasłonięte, nikt nie mógł zaglądać przez okna.

Nie odważyła się jednak podejść i wyrzeć na zewnątrz.

Księżna miała też inny problem. O mniejszym znaczeniu, ale jednak. Jej brat, cesarz, zawiadomił, że zamierza ją odwiedzić. Wybierał się do zachodnich prowincji kraju i chciał skorzystać z okazji, żeby zajrzeć do siostry. Miało to nastąpić lada dzień.

To bardzo miła wiadomość, ale Theresa nie wiedziała, jak przeżyje taką wizytę przy wszystkich swoich zmartwieniach. A nie chciała brata wprowadzać w przykre sprawy swojej rodziny. Zresztą byłoby to za bardzo skomplikowane, zbyt wiele pytań. W tym krótkim czasie, który brat spędzi u niej, nie będzie możliwości wyjaśnienia podstawowych kwestii. Jedyne, co mogła w ten sposób osiągnąć, to dołożyć bratu zmartwień do tych, które już i tak ma.

Inna sprawa, to czy Taran zechce milczeć na temat przygody, jaką przeżyła. Ta mała gaduła na pewno wyskoczy z czymś niestosownym. Nie po raz pierwszy zresztą.

Theresa westchnęła ciężko.

Kardynał von Graben stał na schodach domu, w którym przypadkiem gościł. Trzymał się mocno brunatnej, pięknie rzeźbionej poręczy. Brat Lorenzo był przy nim, towarzyszył im bratanek kardynała, biskup Engelbert. Obaj, kardynał i bratanek, byli w drodze na spotkanie dostojników kościelnych w Heiligenblut. Lorenzo wybierał się gdzie indziej.

Oczy starego Wielkiego Mistrza Zakonu Świętego Słońca miały błyskawice, kiedy wbijał je w swoich podwładnych. Stali teraz przed nim na zamkowym dziedzińcu, brat Johannes i jego dzielni wojownicy.

— Co to wszystko ma znaczyć — syczał kardynał. — Nie stójcie tu jak gromada bełkoczących idiotów! Wyjaśnijcie mi natychmiast! Jak to się stało, że nie przyprowadziliście tutaj dzieci?

Brat Johannes patrzył na niego pustym wzrokiem.

— Jakich dzieci?

Wielki Mistrz pochylił się ku niemu.

— Ty i twoi ludzie pojechaliście, by szukać dzieci czarnoksiężnika. Ty sam

przyjechałeś mi powiedzieć, że dzieci wyruszyły na wschód razem ze swoim wielkim psem. Polecieś braciom Ottonowi i Alexandrowi jechać przodem, podczas gdy ty przybyłeś z informacją do mnie. Gdzie są nasi bracia? I gdzie są dzieci?

— Ja nie wiem — odparł brat Johannes spokojnie.

— W porządku. W takim razie ja ci powiem, gdzie są nasi zakonni bracia. Jeden z ich ludzi dotarł do mnie. Ten człowiek spotkał zresztą po drodze również ciebie i także tobie opowiedział. . .

— Co on opowiedział?

Kardynał o mało nie uniósł się w powietrze z wściekłości.

— To, co ja tobie zaraz opowiem, ty głupcze! To mianowicie, że obaj bracia zakonni i większość ich ludzi nie żyje. Utonęli w wielkich bagnach, po których ten smarkacz chodził tam i z powrotem jakby nigdy nic. Ten człowiek bredził też coś o tym, że chłopiec go uratował przy pomocy błędnych ogników! Które potem przemieniły się w żywe istoty!

— N-nie! — wtrącił brat Johannes z niedowierzaniem.

— Nie miałem żadnych powodów, żeby mu nie wierzyć, ponieważ jego ubranie cuchnęło śmiercią i upokorzeniem. Cały był oblepiony bagiennym szlamem. On mi powiedział że odkrył dzieci, a ty ze swoimi wspaniałymi ludźmi pojechaliście do miejsca, które wskazał, żeby je pojmać.

— Pojmać? Kogo pojmać? Wspaniałych ludzi?

— Dzieci, ty ośle! Żaden z was niczego nie pamięta?

Tamci patrzyli na niego nie rozumiejąc o czym mowa.

Kardynał pochylił głowę niby rozwścieczony byk.

— Ten człowiek powiedział coś jeszcze. Syn czarnoksiężnika miał niebieską kulę, którą najprawdopodobniej zdobył gdzieś na tych mokradłach. I to właśnie ta kula pomogła człowiekowi wydostać się z błota. Co ty masz do powiedzenia na ten temat?

— Wasza wielebność, ja zapewniam! My z niczym takim się nie spotkaliśmy! Nie widzieliśmy żadnych dzieci. Spieszyliśmy po prostu tutaj, tak jak nam polecono.

Wielki Mistrz pociemniał na twarzy jak gradowa chmura.

— Nikt wam nie polecił, żebyście tu przyjechali! — Kardynał odwrócił się do towarzyszących mu braci. — On się zachowuje jak kompletny idiota. Zawsze myślałem, że mogę polegać na bracie Johannesie, ale teraz. . .

— Mnie to wygląda tak, jakby za tym stała wola kogoś innego — rzekł brat Lorenzo. — Albo upór. Sprawiają wrażenie, jakby zapomnieli, co się z nimi działo.

— Tak, i ja tak myślę. Ale o co chodzi z tą niebieską kulą? Nic nie rozumiem. Miała jakoby być niewiarygodnie piękna, tak mówił ten śmierdzący błotem ciura, ale ja nigdy nie słyszałem o żadnej niebieskiej kuli. Kula miała być ze złota.

Jego bratanek, biskup Engelbert, zasłonił dłonią usta.



— Cii!

Przenikliwe oczy kardynała skierowały się ku niemu.

— Kompletnie zapomniałem!

— O czym?

— O ojcu Theresy! Kiedy opowiadał nam baśń o morzu, które nie istnieje, wymieniał też inne kamienie czy kule, już nie pamiętam. Prócz promienistego słońca istniała również jedna kula niebieska i jedna czerwona, a obie miały wyjątkowe właściwości.

Brat Lorenzo myślał, że Wielkiego Mistrza trafi szlag.

— I mówisz mi o tym dopiero teraz? — ryknął wuj na nieszczęsnego biskupa.

— Jakie to właściwości?

— Tego... on nie wiedział — wyjąkał Engelbert jak chłopiec przyłapany na kradzieży jabłek.

— Ratunku — wysyczał kardynał. — Tego już naprawdę za wiele! Dlaczego, dlaczego zawsze stają nam na drodze ci nędzni śmiertelnicy?

Kardynał wszystkich ludzi niższych od siebie rangą nazywał śmiertelnikami. Weszli do domu. Tam kardynał usiadł w fotelu i odchylił głowę.

— Jeśli masz dla mnie więcej złych wiadomości, Engelbercie, to przedstaw mi je natychmiast!

Biskup Engelbert, który nigdy nie pojmował ironii, wziął słowa wuja na poważnie.

— Tak, jest jeszcze coś, co opowiadał jeden żołnierz z naszej świty...

Wielki Mistrz zmrużył swoje zmęczone oczy.

— Co on powiedział? Mów zaraz!

— On twierdzi, że my ich spotkaliśmy po drodze tutaj.

Brat Lorenzo zacisnął wargi. Nie cierpiał tego pozbawionego charakteru Engelberta, a już patrzenie na biskupa, jak wije się przed kardynałem, to była prawdziwa udręka.

— Odpowiadaj porządnie! — ryknął Lorenzo, nie będąc już w stanie nad sobą panować. Jego włoski temperament był silniejszy niż konwenanse.

Spośród trzech rycerzy zakonnych zgromadzonych w tym pokoju Lorenzo był z pewnością najgroźniejszy. Posiadał chłodną inteligencję, jaką nie dysponował nawet kardynał.

— Ja... Ja... — wyjąkał biskup. Przełknął ślinę i zaczął od początku. — Jeden z naszej eskorty twierdzi, że my po drodze spotkaliśmy ekwipaż z habsburskim herbem. Towarzyszyli mu wyłącznie chłopci, ale podobno wewnątrz mignął mu czarnowłosy uśpiony chłopiec. Był też z nim ten wielki pies. Jechali na zachód.

— Prawdopodobnie — wtrącił Lorenzo z przekąsem. — Skoro ich spotkaliśmy, to musieli jechać na zachód.

Wielki Mistrz długo siedział bez słowa. Wpatrywał się w swego bratanka z obrzydzeniem. Na koniec powiedział:

— Lorenzo! Wydaj rozkaz, aby wszyscy ludzie, bez których możemy się obejść, wyruszyli na zachód!

— Ale, eminencjo, my nie mamy tu zbyt wielu ludzi!

— W takim razie poślij po posiłki do Sankt Gallen! Engelbert, ty niezguło, czy chłopiec był w powozie sam?

— O to nie pytałem.

— Nie, oczywiście, powinienem się domyślić. Jakim sposobem, na Boga, udało ci się zostać biskupem? Tak, tak, wiem. Dzięki moim wpływom.

Biskup Engelbert wyglądał na człowieka głęboko krzywdzonego. Brat Lorenzo starał się ukryć, że cała ta sytuacja sprawia mu przyjemność i że zamierza ją wykorzystać. Jeszcze jedna taka gafa, ty nadęty biskupie, i tytuł wielkiego mistrza będzie mój!

Lorenzo wyprężył się, bowiem kardynał znowu zwracał się do niego.

— Jak się mają sprawy z kamiennymi tablicami, bracie Lorenzo? Czy nasi ludzie zdobyli płyty, które zostały zrzucone do rzeki koło zamku Graben razem z tym jakimś Müllerem?

— Nasi wysłannicy do zamku Graben jeszcze nie wrócili, wasza eminencjo.

Blady uśmiech pojawił się na wysuszonej twarzy kardynała. Nie był to piękny uśmiech.

Chcę wierzyć, że je znajdują. Ów Müller z pewnością utonął, ale kamienne tablice powinny być całe. — Kardynał zastanawiał się przez chwilę, a potem dodał: — Miejmy nadzieję, że nasi ludzie dopadną ten ekwipaż Habsburgów. Powóz najpewniej jedzie do Graben, bo oni też chcą zdobyć tablice. I ufajmy, że nasi ludzie, którzy udali się do Graben, są bystrzejsi niż ci, którzy towarzyszą mi w podróży, i „zajmą się” chłopcem oraz jego eskortą. Bo tym razem to my byliśmy pierwsi!

Kardynał wstał.

— No cóż, w takim razie możemy ruszać dalej do Heiligenblut.

## Rozdział 18

Cesarz przybywał z całym orszakiem, więc na szczęście Theresa miała mnóstwo spraw do załatwienia i nie myślała o swoich bliskich, wędrujących gdzieś po niebezpiecznych szlakach.

Oczywiście, to wielka przyjemność móc porozmawiać z bratem, choć mieli dla siebie zaledwie kilka godzin. Ale w samym środku wizyty do dworu przybył chłop, jeden z tych, których Erling i Dolg zabrali ze sobą. Theresa natychmiast pospieszyła na dziedziniec.

— Wróciłeś? Czy coś się stało? — pytała zaniepokojona. — Czy to coś z...?

— Nie, wasza miłość, wszystko jest dobrze. Ja wróciłem tylko, żeby przekazać list i wiadomość od pana Müllera. To bardzo ważne. I zaraz potem muszę wracać.

— Powinieneś najpierw coś zjeść, poza tym trzeba ci zmienić konia — powiedziała Theresa zdenerwowana, odbierając list od posłańca. — A jaką wiadomość masz jeszcze dla mnie?

— Pewnie źle się wyraziłem. Wiadomość jest w liście.

— Rozumiem — Theresa uśmiechnęła się. — Idź teraz do kuchni i powiedz, żeby ci dali jedzenie z pańskiego stołu!

Nie czekając otworzyła list. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że ledwie mogła utrzymać arkusik

*Moja najdroższa Przyjaciółko,*

przeczytała pierwsze słowa i uznała, że to bardzo piękny początek.

*Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Dopiero co spotkaliśmy po drodze kardynała i wielu innych purpuratów. Kardynałowi towarzyszy ów włoski pan z blizną, jeśli go pamiętasz. Zdaje mi się, że ma na imię Lorenzo.*

*Przestraszyłem się bardzo, że oni jadą do Theresenhof, więc wypytałem w pierwszej gospodzie po drodze. Dowiedziałem się, że kardynał zdąży do Heiligenblut. Ma się tam podobno odbyć jakieś ważne spotkanie kościelnych dostojników.*

*Jest jednak inna sprawa, która mnie niepokoi. Nasza Tiril zniknęła, jak wiesz, bez śladu. I jeśli mówię „bez śladu”, to dokładnie to mam na myśli. Mijaliśmy pałac biskupa Engelberta i pozwoliłem sobie przeprowadzić dyskretne poszukiwania w okolicy jego domostwa. Udało nam się spotkać kobietę pracującą w pałacowej kuchni, ale ona nie słyszała nawet pogłosek o kimś w tajemnicy trzymanym w pałacu. Z tego wnoszę, że Tiril tam nie ma. Poważnie się o nią martwię. Nie mam teraz czasu na gruntowniejsze poszukiwania, najpierw musimy pomóc Móriemu, ale boję się, że czas zatrze nawet te nikle ślady, jakie jeszcze gdzieś istnieją.*

*Co robić? Rzecz jasna nie oczekuję od Ciebie odpowiedzi na to pytanie, ale tylko Ty zrozumiesz mój niepokój!*

*Dolę serdecznie pozdrawia babcię i rodzeństwo. Przez cały czas o Was myślimy.*

*Twój przyjaciel na zawsze, Erling.*

Theresa oddychała pospiesznie. Już podczas czytania listu podjęła decyzję. Teraz była pewna, że tak właśnie należy postąpić.

Cesarz zaczynał się przygotowywać do odjazdu, nie miał już więcej czasu.

— Karl — zaczęła Theresa stanowczym głosem. — Na ogół nie mam zwyczaju zamięczać cię prośbami, prawda?

— Tak rzeczywiście jest. — Cesarz uśmiechnął się ciepło. — Czasami mam nawet z twojego powodu wyrzuty sumienia.

— Teraz jednak chciałam cię o coś prosić. Jak wiesz, mojej córki, Tiril, nie ma w domu. Właśnie otrzymałam wiadomość, że znalazła się w tarapatkach. Chodzi o okup i temu podobne. Nie, nie mam czasu wyjaśniać ci szczegółów. Czy mógłbyś mi pożyczyć czterech twoich wspaniałych gwardzistów? Tylko na jeden dzień. Odeślę ich jutro rano. Będziesz tak dobry?

— Czy Tiril dostała się w ręce złych ludzi? W takim razie ja mogę...

— Nie teraz, Karl. Czas nagli. Ja wiem, jak można ją z tego wydostać bez okupu, ale, jak mówię, do tego potrzeba mi czterech gwardzistów.

Po długim wahaniu i licznych napomnieniach cesarz ustąpił. Zresztą spieszył się i właściwie nie miał wyboru.

Potrząsał jednak zatroskany głową, kiedy wraz z całym orszakiem opuszczał dwór.

Czterej ludzie zostali w Theresenhof. Taran zdążyła już wystroić się bardzo pięknie i zabawiała ich radosnym szczebiotaniem.

Dwaj gwardziści otrzymali polecenie pozostania w domu, by za cenę własnego życia ochraniać wnuki księżnej. Dzieciom nie wolno na krok opuścić dworu.

I co najważniejsze: nie wolno im pod żadnym pozorem zbliżyć się do schodów werandy.

— Trzeba wam wiedzieć — powiedziała Theresa do gwardzistów — że ja nie wierzę ani odrobinę ich niewinnym oczom. Jeśli wbiją sobie do głowy, że chcą przeżyć przygodę, to na pewno wprowadzą ten pomysł w życie. Muszę mieć pewność, że są bezpieczni i że nie powinnam się o nich martwić.

Żołnierze rozumieli, twierdzili jednak, że chyba wystarczy mieć dzieci na oku.

— Ha! — rzekła Theresa z goryczą. — Bo wy nie znacie moich ukochanych wnucząt!

Zabrała pozostałych dwóch gwardzistów i wkrótce wszyscy troje opuścili dwór.

Dokąd się udajemy, wasza wysokość? — zapytał jeden.

— Na spotkanie dostojników Kościoła w Heiligenblut.

Gwardziści popatrzyli po sobie. Na kościelne spotkanie nie jest chyba potrzebna osobista ochrona?

— Niestety, muszę was uprzedzić, że starcie może być bardzo ciężkie. Nie o spotkanie dostojników mi, oczywiście, chodzi, ale proszę was, użyjcie broni, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Uznała, że powinna jednak wprowadzić ich trochę w całą historię.

— Cesarz, mój brat, nic o tym nie wie, bo nie chciałam składać na jego barki moich zmartwień. Otóż istnieje tajny zakon, którego członkami są osobistości z najwyższych sfer całej Europy. Zresztą jest ich bardzo niewielu, słyszałam, że zaledwie dwudziestu jeden mężczyzn, ale nie jestem pewna. Bracia zakonnicy poszukują czegoś, co przez fatalny przypadek stało się własnością mojej córki. I muszę powiedzieć, że nie przebiegają w środkach. Teraz pojмали moją córkę, ale ja mam pomysł, jak się dowiedzieć, gdzie ją przetrzymują. Tylko że to, co zamierzam uczynić, wymaga wielkiej odwagi, zarówno z mojej, jak i z waszej strony. Pójdziecie ze mną?

Jeden z gwardzistów roześmiał się.

— Wszystko, co wasza wysokość mówi, brzmi podniecająco! To o wiele ciekawsze od stania na warcie przed pałacem cesarskim. Czy moglibyśmy otrzymać trochę bardziej szczegółowe informacje?

Theresa wahała się.

— No, nie wiem... Mogę powiedzieć tylko tyle, że członkowie zakonu zamordowali mojego zięcia, ojca dzieci, które widzieliście.

— Czarujące dzieciaki — wtrącił drugi z gwardzistów. — Ale, jak rozumiem, istnieje ryzyko, że biedactwa mogłyby zostać pełnymi sierotami.

— Bardzo duże ryzyko. Tylko ja się chyba wyraziłam nieściśle, mój zięć znajduje się na granicy pomiędzy życiem a śmiercią. Jego syn, najstarszy z moich wnuków, jest teraz w drodze do niego, będzie próbował przywrócić go do życia.

— Mały chłopiec? W jaki sposób zdoła...?

Theresa przerwała mu.

— Będzie najlepiej, jeśli dowiecie się wszystkiego. Otóż mój zięć i jego najstarszy syn posiadają... ponadnaturalne zdolności. Ponadto oni znaleźli jedną z tych trzech rzeczy, których poszukują bezwzględni członkowie rycerskiego zakonu. Przedmioty owe obdarzone są wielką mocą, wierzymy, że to, co ma ze sobą mój wnuk, może przywrócić do życia jego ojca.

Żołnierze milczeli.

— Tak, rozumiem, że to może brzmieć jak baśń, ale gdybyście przeżyli choćby małą część tego, co ja doświadczyłam, to byście mi uwierzyli. To, co my, Habsburgowie, zawsze uważaliśmy za związaną z naszym rodem legendę, okazało się rzeczywistością! Nie chcemy, żeby zły zakon chwycił w swoje szpony przedmioty, których poszukuje. Ja myślę, że to by oznaczało katastrofę dla ludzkości i dla całej ziemi.

— Wasza wysokość, my jesteśmy oficerami gwardii Jego Cesarskiego Majestatu. Bardzo poważnie traktujemy naszą przysięgę na wierność. Będę szczery i powiem, że wasza wysokość tym większą wzbudza w nas ciekawość, im więcej szczegółów się dowiadujemy. Czy księżna pani mogłaby powiedzieć nam coś jeszcze?

Po krótkim wahaniu Theresa rzekła:

— Poczekajcie, aż przybędziemy do Heiligenblut! Jeśli wtedy uznam, że to potrzebne, dowiecie się więcej.

Musieli ustąpić. Obiecali jednak słuchać jej rozkazów i bronić jej życia, narażając swoje, jeśli się to okaże konieczne.

Sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych tą nieoczekiwaną możliwością przeżycia podniecającej przygody.

Spotkanie dostojników Kościoła znajdowało się w fazie wstępnej, jeśli tak można powiedzieć, kiedy Theresa z gwardzistami przybyła do niewiarygodnie pięknego Heiligenblut z potężnym masywem Grossglockner w tle. Niezwykła uroda tego miejsca sprawiła, że obaj żołnierze stanęli jak wryci.

— Dlaczego to się nazywa Heiligenblut? — zapytał jeden.

Theresa wyjaśniła:

— Legenda powiada, że w roku dziewięćset szesnastym przybył tu syn duńskiego wikinga, będący w drodze z Miklagard do domu. Z gór zesłała akurat lawina i biedak zginął, a stało się to dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoi ten biały kościół. Spod śniegu wyrosły trzy jesiony i tam pochowano Bricciusa, bo tak ów młodzieniec miał na imię. Wiózł on ze sobą maleńką buteleczkę z trzema kroplami krwi Chrystusa i właśnie dzięki temu udało się odnaleźć ciało zmarłego. Krople krwi przechowywane są w tabernakulum w kościele.

Żołnierze milczeli pogrążeni w myślach.

W końcu Theresa uznała, że czas przystąpić do akcji.

— Ty — zwróciła się do jednego z żołnierzy — pójdziesz do gospody, w której zatrzymał się biskup Engelbert. Musisz się dostać do jego bagażu tak, by nikt cię nie zobaczył. Myślisz, że zdołasz to zrobić?

— Oczywiście — odpad wojak, choć wyglądał na zdziwionego.

Theresa powiedziała mu, czego ma szukać, ale zastrzegła, by wszystko zostawił na miejscu. Niczego nie wolno mu zabierać.

— Nikt nie powinien wiedzieć, że tam byłeś. My będziemy czekać na ciebie w naszej gospodzie.

Nie trwało długo, a gwardzista cesarza wrócił. Skinął księżnej głową na znak, że wszystko w porządku, po czym zasiadł do posiłku. Kiedy jadł, dyskutowali, co dalej. Był już teraz z nimi prefekt miasteczka.

W odpowiedniej porze wyruszyli do wielkiego budynku, w którym odbywało się spotkanie.

— Tym razem mam nad nimi przewagę — powiedziała Theresa z uśmiechem. — Zwyczajnej kobiety nie wpuściliby na zebranie kościelnych dostojników. Jak to jednak czasem dobrze pochodzić z cesarskiej rodziny!

Ponieważ spotkanie trwało jakiś czas, przy drzwiach nie było już strażników, więc Theresa i jej ludzie wemknęli się do hallu. Z sali obok dochodził szum uroczystych głosów.

— Wygląda na to, że mają przerwę — powiedziała Theresa cicho. — Wchodzimy! Uff, ale ja dygoce!

— To chyba normalne — uspokoił ją jeden z gwardzistów.

Otworzyli drzwi do wielkiej sali i na ich widok szum głosów powoli zamierał.

Przyjemnie było patrzeć na cesarskich gwardzistów we wspaniałych uniformach. Ale co, na Boga, kobieta robi na tak uroczystym świętym zgromadzeniu? Nie mówiąc już o całkiem świeckim prefekcie.

Jeden z gwardzistów zawołał:

— Jej cesarska wysokość, księżna Theresa von Habsburg i Holstein-Gottorp, siostra najjaśniejszego cesarza, życzy sobie rozmawiać z biskupem Engelbertem von Graben. Niezwłocznie!

Niepewny pomruk przeszedł przez salę i natychmiast znów uciekł. Po chwili coś się poruszyło na końcu sali pośród czerni, purpury i amarantu, barw, które przynależą do biskupów i kardynałów, i Theresa poznała Engelberta.

Miał ze zdenerwowania ceglaste plamy na policzkach, kiedy musiał się przeciskać pomiędzy zebranymi, i to z powodu kobiety!

Księżna dostrzegła również kamienną, zimną twarz kardynała von Graben, ale on postarał się jak najszybciej zniknąć w tłumie.

Engelbert podszedł do wyjścia i bardzo ostrym głosem zapytał, co to znaczy.

Wyprowadzili go do hallu i zamknęli drzwi. Biskup był w najwyższym stopniu zdenerwowany.

— To znaczy tyle — rzekła Theresa, czując, że serce wali jej jak młotem — znaczy tyle, że chciałabym wiedzieć coście zrobili z moją córką!

— Z twoją córką? A cóż to za głupstwa? Skąd niby mam wiedzieć, gdzie się podziewa twoja córka?

— Ona jest nie tylko moja — syknęła Theresa słodkim głosem, ale z wyraźną groźbą i policzki Engelberta stały się jeszcze bardziej czerwone. — Uprawdzili ją jacyś ludzie z waszego zakonu. Mamy na to świadków.

— Nie — jęknął Engelbert. — Nie, to nieprawda! Ja nie wierzę. On obiecał. . .

Theresa wciągnęła głęboko powietrze.

— Więc ty o niczym nie wiedziałeś? Wierzę ci, Engelbercie, ale. . .

— Biskupie Engelbercie — upomniał ją. — I mówi się do mnie wasza wielbność!

— Och, zejdź na ziemię, zanim pycha cię rozsadzi — prychnęła Theresa. — W porządku, skoro ty sam nic nie wiesz, to przyprowadź tu swojego wuja. Natychmiast!

Twarz nieszczęsnego biskupa ponownie zmieniła barwę. Tym razem na bladej twarzy. Jak kameleon, pomyślała Theresa z ironią.

— Chyba rozumiesz, że nie mogę tak po prostu wyprowadzić kardynała do hallu? I o jakim zakonie ty mówisz? Niczego nie pojmuję!

Wyczuwała, że zebrał całą swoją odwagę i siłę woli, bo jego słowa brzmiały tak, jakby rzeczywiście pojęcia nie miał o żadnym zakonie.

— Biskupie Engelbercie, to jest śmiertelnie poważna sprawa. Chcę odzyskać moją córkę, zanim Zakon Świętego Słońca ją zamorduje, tak jak to uczyniliście z jej mężem i przyjacielem obojga, Erlingiem Müllerem.

Biskup wybuchnął gniewem.

— Teraz posuwasz się za daleko! Co ty mi za insynuacje przedstawiasz?

— Prefekcie — rzekła Theresa zimnym głosem. — Proszę wziąć jednego z gwardzistów i przyprowadzić kardynała von Grabena! To ten, który siedzi. . .

— Nie, nie — jęknął Engelbert. — Pójdę sam. Ale ty tego pożałujesz, Thereso! Nigdy bym nie uwierzył, że jesteś zdolna zrobić coś takiego swojemu przyjacielowi z lat dziecińczych!

Kiedy odszedł, Theresa i jej towarzysze spoglądali po sobie.

— Myśli księżna, że oni będą chcieli zniknąć? — zapytał prefekt.

— Jeśli o mnie chodzi, to bardzo bym chciała. Wtedy mogłabym uderzyć otwarcie.

Biskup jednak przyprowadził kipiącego gniewem starca. Bratanek musiał go podierać, ale mordercze spojrzenie Wielkiego Mistrza nie utraciło nic ze swojej intensywności.

Theresa ponownie zebrała całą odwagę, by sobie z tym poradzić.

— Chcę wiedzieć, gdzie znajduje się Tiril, moja córka?

Wargi kardynała wykrzywiły się nienawiścią.



— Moja najszanowniejsza księżno, pani rozum musiał doznać prawdziwego szwanku. Skąd, na Boga, mam wiedzieć cokolwiek o pani córce?

— Wasi ludzie uprowadzili ją na oczach Erlinga Müllera. Zobaczyła, jak starzec otwiera usta, żeby powiedzieć „Erling Müller nie żyje”, ale zdążył się w porę opamiętać.

— To jakaś okropna pomyłka — rzekł przymilnym głosem. — Nic mi nie wiadomo o historii, którą tu księżna opowiada. Mój bratanek mówi, że pani wspominała też o jakimś zakonie. Co to by mógł być za zakon?

— Kardynał musi to wiedzieć bardzo dobrze, skoro jest jego wielkim mistrzem — ucięła Theresa.

— Chodź, Engelbercie — zwrócił się kardynał do swego bratanka. — Ta kobieta jest szalona. Wracamy na salę.

— Tak zróbcie — powiedziała Theresa cicho. — A ja zaraz rozgłoszę wszystkim, że biskup Engelbert ma zwrócić do Hofburga ukradziony drogocenny przedmiot.

Obaj purpuraci stali jak wrośnięci w ziemię.

— Jaki drogocenny przedmiot? — wyrwało się Engelbertowi.

— Srebrny kielich, który zabrałeś, kiedy po raz ostatni bawiłeś w Hofburgu. Byłeś wtedy co prawda bardzo młodym chłopcem, ale też miałeś dość czasu, żeby się zastanowić i oddać, co nie twoje.

— Nigdy nie ukradłem żadnego srebrnego kielicha! — wybuchnął wielebny biskup. — Znowu to śmieszne oskarżenie, które słyszę przez całe życie!

— Jeśli twój wuj, kardynał, nie powie mi, gdzie znajduje się Tiril, ja powiem mojemu bratu, kto ukradł nasz kielich. A wtedy, jak sądzę, nie będzie już żadnego biskupa Engelberta. A tym bardziej kardynała Engelberta, na czym ci tak bardzo zależy, prawda?

— Może nawet dzisiaj zostaną mianowani — wyszeptał biskup. — A ty przychodzisz tutaj z najbardziej niedorzecznymi oskarżeniami!

— Chodzi ci o to, że nazwałam cię pospolitym drobnym złodziejaszkiem? Owszem, tak właśnie o tobie myślę! Ale przecież możemy pójść do gospody, gdzie prefekt przeszuka twój bagaż. Mnie się zdaje, że przygotowałeś się do dłuższej podróży. Zamierzałeś wyjechać do Rzymu natychmiast, kiedy mianują cię kardynałem? Kiedy cię w końcu mianują, bo przecież pomijali cię przez co najmniej dwadzieścia lat. Z pewnością zabrałeś ze sobą wszystkie swoje najcenniejsze rzeczy, prawda? Jak na przykład ten srebrny kielich.

— Już powiedziałem, że nic nie wiem o żadnym srebrnym kielichu!

— No to chodź z nami, byśmy się sami mogli przekonać, że nie jesteś pospolitym złodziejaszkiem.

— Nigdy mnie do tego nie zmusisz — rzekł Engelbert z uporem. — Świeckie władze nie mogą mi rozkazywać!

— Bardzo dobrze! Kim jest ten dostojnik, który przewodniczy spotkaniu? Poprosimy go, by poszedł z nami.

— Nie, nie — jęknął biskup.

Wtrącił się kardynał.

— No, dość już tych głupstw! Engelbercie, wracaj ze mną! Zostaw tych pozbawionych wstydu ludzi!

Obaj gwardziści stanęli przy drzwiach.

— Powiedz mi, gdzie jest Tiril — zażądała Theresa — a unikniesz dalszych przykrości.

Engelbert spojrział błagalnie na wuja.

Ten jednak pozostał całkowicie obojętny.

— Ja umyвам ręce! Nie mam z tym nic wspólnego. Przepuście mnie. W imię Boże!

Gwardziści ani drgnęli.

— Nie możemy, niestety, pozwolić waszej eminencji przejść — westchnęła Theresa. — Engelbert jest tylko drobnym złodziejaszkiem. Ale to wasza eminencja wie, gdzie jest Tiril. A jeśli ona nie żyje, to moi ludzie zasieką na śmierć was obu. Zaraz tutaj!

Nigdy w życiu Theresa nie miała zapomnieć tego błysku czystego zła w oczach Wielkiego Mistrza. To niebezpieczny człowiek, pomyślała. Ludzie mówią o nim prawdę. Nie powinnam więcej na niego patrzeć.

Zwróciła się do prefekta:

— Mój dobry człowieku, proszę aresztować obu tych ludzi! Przedtem jednak odwiedzimy dom biskupa.

Prefekt chwycił mocno Engelberta za ramię, natomiast gwardziści ujęli pod pachy kardynała.

— Nie! Nie! — protestował Engelbert i zrobił się jeszcze bardziej błądy. — Wuju! Proszę im powiedzieć, gdzie jest Tiril! Wuj obiecał mi przecież, że jej nie tknie. Proszę coś zrobić, żeby oni nie szli ze mną do domu!

Theresa, która nie miała wątpliwości, jak bardzo niebezpiecznym człowiekiem jest kardynał, pomyślała z troską o towarzyszących jej trzech ludziach.

— Kardynale von Graben — rzekła. — Wasza eminencjo! Uniknie eminencja dalszych nieprzyjemności, jeśli tylko powie mi, gdzie znajduje się moja córka. Proszę mi to powiedzieć, a potem wrócić na salę i próbować odzyskać spokój sumienia!

Kardynał pieniał się z wściekłości.

— Została przewieziona do pewnego zamku przy granicy hiszpańskiej — syknął przez zaciśnięte zęby. — Będzie tam poddana przesłuchaniom w obecności wszystkich braci podczas naszego następnego wielkiego spotkania.

— W tym samym zamku?

— Nie — odparł von Graben krótko.

Podał księżnej nazwę zamku, w którym Tiril była więziona. Albo będzie, bo pewnie jeszcze tam nie dotarła. Tiril ma być przesłuchana, a chodzi o to, by wyjawiała wszystko, co jej wiadomo na temat tajemnic Świętego Słońca. Kardynał powiedział też, w jakim zamku ma się odbyć przesłuchanie.

Gwardziści puścili ręce starca. On zaś demonstracyjnie otrzepał miejsca na rękawach, których dotykali, po czym nie patrząc na nich z kamienną twarzą wszedł z powrotem na salę.

Nie zaszczyciwszy swego bratanka nawet przelotnym spojrzeniem.

Engelbert stał przed drzwiami jak uczeń, który został zbesztany. Nieszczęśliwy, położył uszy po sobie.

— A teraz idziemy do kwatery biskupa — oznajmiła Theresa.

Ale ja nie mam żadnego kielicha! I nigdy nie miałem. Thereso, chyba nie sądzisz, że mógłbym coś ukraść twojej rodzinie? Ja, który byłem twoim najlepszym przyjacielem! Bądź rozsądna, Thereso! Na sali na mnie czekają. Moja wielka życiowa chwila może właśnie nadchodzi. Skończ z tymi głupstwami!

— Gwardziści! — powiedziała ostro. — Brać go!

Theresa czuła się zmęczona, potwornie zmęczona.

— Przecież ona jest również twoją córką! Jak łatwo o tym zapominasz. A teraz chodź!

Engelbertowi nie pomógł jego wspaniały biskupi stroi z bardzo pięknym pasem. Musiał dać się prowadzić przez miasteczko dwóm gwardzistom, a prefekt deptał mu po piętach.

Z okien przyglądało im się mnóstwo ludzi... Dobrzy, pracowici chłopcy i mieszcianie, nie noszący paradnych strojów.

Biskup musiał przejść przez straszne upokorzenie na oczach gawiedzi.

Ale najgorsze było jeszcze przed nim.

Pochylony musiał rozpakować cały swój bagaż, sztukę po sztuce. Kiedy przyszła kolej na skrzynię, próbował coś ukryć pod stosem odzieży, ale prefekt złapał go za ramię i zmusił, by odsłonił, co tam ma.

I wtedy na światło dzienne został wydobyty srebrny kielich Habsburgów.

— Ale on jest mój — bronił się Engelbert. — Nie chciałem, żebyście myśleli, że go ukradłem, on jest w rodzie von Graben od niepamiętnych czasów.

— Proszę zobaczyć — rzekła Theresa udreńczonym głosem. — Mój ojciec, cesarz Leopold, w dzieciństwie wrył na nim swoje imię.

Prefekt obracał kielich w rękach.

— Tu coś jest — powiedział. — Koślawym, dziecinnym pismem. LEOP... widocznie na nic więcej nie miał czasu.

— Przyłapano go, zanim skończył. — Theresa uśmiechnęła się. — Ojciec mi o tym opowiadał.

— Cóż... Wasza wysokość, czy mam zamknąć tego złodzieja? — zapytał prefekt nie bez złośliwej radości.

Theresa była zmęczona.

— Nie, proszę go puścić wolno. On jest po prostu żalonym człowieczkiem, niczym więcej. Nie jestem w stanie się mścić na kimś tak nic nie znaczącym. Dowiedziałam się, gdzie jest moja ukochana córka, a wy, moi wierni gwardziści, zawieziecie ten kielich cesarzowi. Niczego więcej już nie pragnę.

Na salę, gdzie odbywało się spotkanie, wrócił bardzo upokorzony Engelbert. Miał poważne kłopoty z odzyskaniem godności. A to, że ponownie został pominięty przy nominacjach — obiecano mu jedynie, że może w przyszłym roku — załamało go ostatecznie. Zebrani uważali, że sprawiło to rozczarowanie, ale przyczyny były dużo, dużo głębsze.

Jego pewność siebie, jego męski autorytet zostały naruszone w podstawach. A najbardziej przez to, że został nazwany małym, nędznym, pospolitym złodziejem.

Ze strony wuja nie otrzymał żadnego wsparcia ani pociechy. Kardynał von Graben nawet nie spoglądał w jego stronę.

Wielki Mistrz pospieszył do domu, gdzie czekali na niego wierni strażnicy.

— Ruszajcie natychmiast za księżną! Na południe! Polecam wam ściąć mieczem zarówno ją, jak i jej dwóch gwardzistów! I przywieźcie tu z powrotem srebrny kielich!

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zemścić się na prefekcie, ale stwierdził, że w Heiligenblut lepiej nie wywoływać zamieszania.

Cieszył się natomiast bardzo, że więcej niż połowa jego ludzi wyruszyła na zachód, żeby zabić jego nowego arcywroga, tego czarnego węża, starszego syna Tiril i Móriego.

Tego szczeniaka, który ma niebieski kamień.

I byli jeszcze ludzie kardynała, którzy wczoraj pojechali na zachód żeby u stóp zamku Graben szukać kamiennych tablic.

No, to teraz zobaczą! Kiedy kardynał von Graben się mści, to nie okazuje litości!

## Rozdział 19

Księżna Theresa i jej dwaj gwardziści wracali do domu, gdy nieoczekiwanie na drodze za nimi rozległ się stukot kopyt galopujących koni.

Odwrócili się.

— Pięciu ludzi — stwierdził jeden z gwardzistów. — Widziałem ich już przedtem u kardynała von Grabena. Znosi się na awanturę.

— Oni mają mord w oczach — powiedział drugi. — Ukryjmy się za wzgórzem! Szybko! Wasza wysokość, proszę wziąć kielich i schować się za skałami, które tam pani widzi!

— Żeby tak miała pistolet. . .

— Umie się pani obchodzić z bronią?

— Oczywiście!

— To proszę wziąć jeden z moich! Proszę bronić swego życia w razie czego.

— I waszego, jeśli zajdzie potrzeba.

Uśmiechnęli się. Już od dawna podziwiali księżnę.

— Ja znam kardynała — rzekła Theresa. — To człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów.

Znajdowali się dość wysoko ponad drogą, zeskoczyli z koni i wyszukali dla nich bezpieczną kryjówkę. Sami zajęli jak najlepsze pozycje.

— Nie zamierzam zrezygnować z radości przekazania odnalezionego srebrnego kielicha najjaśniejszemu panu — powiedział jeden z gwardzistów z cierpkim uśmiechem.

— Ani ja — poparł go drugi. — Księżno, proszę ukryć kielich pod kamieniami!

Znalazła dołek pod sporym obluzowanym głazem i ułożyła tam kielich. Właściwie to nie należało tego przedmiotu nazywać kielichem, bo przypominał duży kufel z przykrywką i pięknymi ornamentami przy uchwycie. Najpiękniejszy był jednak relief, opasujący cały puchar. I to właśnie ten relief opowiadał o morzu, które nie istnieje.

Theresa patrząc na relief potrząsała z wolna głową. Pochodzenie tej baśni ciągle kryło się w mrokach przeszłości.

Prześladowcy zsiadli z koni i zajęli pozycje przy drodze. Gwardziści, którzy przez wiele lat ćwiczyli się w sztuce wojennej, ale nigdy nie brali udziału w walce, byli teraz napięci niczym struny.

Raz po raz wypatrywali, czy ci tam na dole nie zamierzają przypadkiem zastosować najbardziej narzucającej się w tej sytuacji strategii, to znaczy przemknąć się u stóp wzgórza i zaatakować od tyłu.

Ludzie kardynała byli na tyle prymitywni, iż sądzili, że im się taki manewr uda, ale jeden z gwardzistów natychmiast zauważył któregoś z nich, przemykającego się od kamienia do kamienia. . .

Gwardzista wystrzelił.

— Zostało nam czterech — stwierdził lakonicznie.

— Naprawdę nie wymyślili nic lepszego, niż zaatakować również od drugiej strony. Jeszcze jeden się tu skrada — powiedział drugi gwardzista. — Ma nieco dalej, ale zaraz się ukaze. . . Ten będzie mój.

Pierwszy gwardzista skinął głową.

W dole oddano salwę.

— Mają dobrą broń — uznała Theresa.

— E tam, nic specjalnego. Bardzo dużo czasu zabrało im ładowanie. Nasza broń jest lepsza.

— No, idzie mój — powiedział ten gwardzista, który wypatrywał napastnika, zamierzającego zaskoczyć ich od tyłu. — Pełźnie tu na brzuchu, wije się niczym węgorz i myśli, że go nie widać. Dokładnie jak struś, który głowę chowa w piasek, a kuper unosi w górę. A w ogóle to powinieneś mniej jeść, ty grubasie!

Rozległ się strzał i napastnik zleciał na dół niczym pożółkły liść.

— No, to jeszcze trzech — rzekła Theresa.

— Ale nasza pozycja nie jest najlepsza — westchnął jeden z gwardzistów.

— Widzę dróżkę pośród skał — oznajmiła Theresa. — Z tyłu za koźmi. Gdybyśmy mogli tamtędy pójść. . .

— Ja leżę najbliżej — powiedział drugi gwardzista. — Podczołgam się tam i ocenię położenie.

Przesunął się w dół za wzniesienie, gdzie leżeli, i zniknął za skałą, pod którą stały konie.

Po chwili ukazał się z powrotem.

— Bardzo dobrze, powinno się udać — szepnął. — Proszę za mną!

Jego kolega oddał jeszcze jeden strzał na wszelki wypadek, Theresa wygrzebała kielich spod kamienia i wszyscy zaczęli się czołgać w stronę ścieżki.

Gdy byli już przy koniach, gwardziści pomogli Theresie dosiąść wierzchowca, następnie sami wskoczyli na swoje.

Proszę jechać tak spokojnie, jak to tylko możliwe, żeby tamci nie słyszeli naszych koni.

Bez przeszkód dotarli do dróżki wśród skał, a tam już mogli ruszyć z kopyta.

— Chodzi o to, byśmy odskoczyli jak najdalej, zanim oni się zorientują, że nas już nie ma na wzgórzu — powiedział jeden z gwardzistów. — Ale gdzie my jesteśmy?

— Znam te okolice dość dobrze — uspokoiła go Theresa. — Powinniśmy się trzymać z dala od głównej drogi, ale myślę, że dojedziemy do Theresenhof bez potrzeby korzystania z niej. Tylko raz będziemy musieli ją przeciąć. Jedyne niebezpieczeństwo, którego się boję, to znajdujące się teraz przed nami bagna.

— Może moglibyśmy je okrążyć?

— Owszem, ale one przylegają do głównej drogi, więc musielibyśmy je objechać od tamtej strony, a to by nam zabrało zbyt dużo czasu.

— Chyba powinniśmy się na to zdecydować, bo przecież tutaj głównej drogi przeciąć nie możemy, prawda?

Te bagna są po jej drugiej stronie. Nie, musimy jechać dookoła.

— Proszę mi wybaczyć poufałość, księżno, ale chciałbym powiedzieć, że to wielka przyjemność służyć pani, zwłaszcza w czasie takiej przygody.

— Dziękuję. Zdaje mi się, że nigdy jeszcze nie przeżywałam takiego podniecającego napięcia. W każdym razie od wielu lat. Kiedy Tiril i Móri byli młodzi, działo się wiele różnych rzeczy. Jeździliśmy i... O, nie, nie powinnam o nich myśleć! Taka jestem niespokojna o ich życie! Tak się boję, że mogłabym ich już więcej nie zobaczyć!

— Czy nie możemy nic zrobić?

— Akurat teraz nie. Ale poproszę mego brata, by mi was wypożyczył, kiedy pojedzie szukać Tiril.

— Pod hiszpańską granicę, prawda? Kardynał mówił, że jest tam więziona w jakimś zamku? Niech wasza wysokość o nas nie zapomina, bardzo prosimy!

Obiecała, że wezwie ich, gdy nadejdzie pora.

Droga do domu zabrała sporo czasu, ale ludzi kardynała już nie spotkali. Ze złośliwą satysfakcją zastanawiali się, czy tamci jeszcze leżą u stóp wzniesienia i czekają na nich.

Jakoś tak się sprawy ułożyły, że Theresa nie opowiedziała swym towarzyszom historii, w jaką wplątała się jej rodzina. Może gdyby zapytali. Ale gwardziści albo byli za dobrze wychowani i nie chcieli nalegać, albo też się po prostu nie zgadło, dość że księżna historii nie opowiedziała.

Kiedy wjechali na dziedziniec, zostali powitani przez Taran w gwardyjskiej czapce spadającej jej na oczy i uszy, w której ani nie słyszała, ani nie widziała, i szła im na spotkanie, kierując się wycuciem. Villemann podążył za nią z szablą na ramieniu, a głośno wykrzykiwane komendy dźwięczały nad całą okolicą.

— Taran, zbaczasz z kursu! Dzień dobry, babciu! Już wróciliście?

Dwaj gwardziści posłusznie szli za dziećmi.

— Witamy w domu, wasza wysokość — powiedział jeden. — Księżna pani miała całkowitą rację. Nigdy w życiu się tak nie zmęczyliśmy.

— Wierzę wam — roześmiała się Theresa. — Czy oni nie próbowali wejść na zakazany teren?

— Nie, do tej sprawy odnosili się z pełnym szacunkiem.

— Patrzcie, patrzcie! — dziwiła się Theresa z niedowierzaniem. — Dzieci, chodźcie tu!

Taran i Villemann mieli miny promienne niczym słońce.

Gwardziści, którzy eskortowali Theresę, następnego dnia dołączyli do orszaku Karola VI, dokładnie tak jak księżna obiecała.

Poprosili o audiencję u cesarza i uzyskali ją w tyrolskim zamczku, w którym władca zatrzymał się na noc.

Z dumnymi minami przekazali swemu panu srebrny kielich.

Ależ, na Boga! — zawołał cesarz zdumiony. — To przecież klejnot Habsburgów, który zaginął chyba w poprzednim pokoleniu! Skąd go macie?

Ponieważ księżna nie mówiła, że okoliczności znalezienia kielicha mają pozostać w tajemnicy, opowiedzieli, co się wydarzyło.

Cesarz słuchał z błyskiem w oku.

— Engelbert von Graben? Nie mówicie tego poważnie!

Obaj zaklinali się, że to wszystko prawda.

— Biskup? Nie, przedstawiliście mi to w zbyt wielkim skrócie. Poproszę o szczegóły!

Kiedy już wyjaśnili wszystko bardzo dokładnie, cesarz oparł łokcie na okiennym parapecie i w zamyśleniu, z uśmiechem na wargach wyglądał na dwór.

— Nigdy nie umiałem rozgryźć tego człowieka — powiedział w końcu. . . Już jako dziecko był nijaki i za dużo paplał. Z jego strasznym wujem, kardynałem, nic nie mogę zrobić. To Szwajcar. Ale Engelbert. . . Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność pozbawić go biskupiego tytułu.

Zwrócił się do gwardzistów.

— Bo przecież nie możemy mieć za biskupa drobnego złodziejaszka?

— Oczywiście, wasza cesarska mość! — odpowiedzieli, obaj w pozycji na baczność.

Cesarz spoważniał.

— Ale co to za straszne kłopoty, w jakie popadła moja siostra i jej rodzina?

— Wasza cesarska mość — wtrącił jeden z gwardzistów. — Czy wolno mi coś powiedzieć? Chciałbym podziękować waszej cesarskiej mości, że mogliśmy służyć księżnej pani. Obaj żywimy dla niej najwyższy szacunek. To niezwykle szlachetna i czarująca dama. Tak wspaniałej osoby nie spotkaliśmy jeszcze nigdy w życiu.



— Tak, Theresa to nadzwyczajny człowiek — przyznał brat nieobecny myślami.

— No i księżna poleciła nam przekazać waszej cesarskiej mości, że gdyby musiała jechać pod hiszpańską granicę, to chciałaby nas mieć przy sobie. Jeśli wasza cesarska mość nie będzie nas akurat potrzebował w domu.

Karol VI, cesarz Austrii i Węgier, uśmiechnął się do nich smutno.

— Czasami godność cesarska bywa niewygodą. Sam bym jej chętnie towarzyszył, ale akurat mnie tego nie wolno. Jeśli Theresa was potrzebuje, to zawsze będziecie do jej dyspozycji.

Obaj rozpromienili się z radości, zsalutowali, stukając ostrogami, i wycofali się z pokoju.

Karol długo siedział pogrążony w myślach.

— Biskup Engelbert von Graben — szepnął. — Coś mi mówi, że to ty jesteś ojcem córki Theresy. Nigdy sobie nie zasłużyłeś na tę lojalność, jaką ona ci przez tyle lat okazywała, nie ujawniając prawdy. Ale teraz się zemściła. I ja też, za całe to twoje wstrętne gadanie na mnie i na moje rodzeństwo, kiedy byliśmy mali. Za twoją pychę w dorosłym życiu. Teraz zedrę z ciebie wszystko, tak jak się skubie kurę. I to będzie moja największa radość!

## Rozdział 20

Nieznosny ból przeszył głowę Tiril. Próbowała zaciskać powieki, by słońce nie świeciło jej w oczy, lecz ono raziło ją i tak, przygotowując o utratę zmysłów.

Dzień za dniem w najbardziej upokarzający sposób wieziono Tiril na zachód.

Od dawna już nie było mowy o podróżowaniu powozem. Bo też i nie jechała żadnym powozem, tylko starą, rozklekotaną, skrzypiącą furą, jaką zwykle ciągną woły. Ta, choć zaprzężona w dwa konie, i tak była bezlitosna dla obolałego ciała Tiril, a poza tym nadal śmierdziała gnojem, który niegdyś na niej wożono. Tiril musiała leżeć związana na dnie fury, przykryta cuchnącą końską derką.

Czuła się potwornie od tego trzęsienia, nie mogła do niego przywyknąć.

Przewodnicy się zmieniali. Teraz jest Francuz. Strażnicy jednak wciąż byli ci sami. Nieokrzesane typy posługujące się ordynarnym językiem, mówiący wyłącznie o kontaktach z kobietami. Tiril uważała, że nie może już doznać większego upokorzenia niż na dnie tej furki, gdzie leżała związana, brudna, a pchły i inne paskudztwo łąziło po niej stadami. Włosów nie czesała od wielu dni. Pozwalała jej załatwiać potrzeby fizjologiczne tylko rano i wieczorem, poza tym nigdy. Zdarzało się więc, że godzinami musiała leżeć w udęce, bo nie chciała zmoczyć ubrania, skoro i tak nie mogła w żaden sposób dbać o czystość. Każdego ranka dawali jej wodę do picia i trochę chleba, prócz tego nic więcej. Często pod tym piekącym słońcem doskwierało jej straszne pragnienie, a knebel w ustach jeszcze je powiększał, poza tym porobiły jej się rany na wargach. Skórę miała spaloną słońcem i popękaną od nocnego lodowatego deszczu. Bo również nocami musiała leżeć na dnie tej fury, mocno przywiązana, żeby nie mogła uciec, a strażnicy dbali zawsze, żeby furka była dobrze ukryta i nikt niepowołany jej nie widział.

W tej sytuacji wielką pociechą było odczuwać bliskość Nidhogga i Zwierzęcia. Nie mogły wprawdzie nic dla niej zrobić, ale przynajmniej przy niej były i to czyniło życie Tiril na tyle znośnym, że udawało jej się powstrzymać płacz. Bo płacz teraz, w tym palącym słońcu, z kneblem w ustach, wyczerpałby ją ostatecznie.

Dzień za dniem furka skrzypiała na drogach.

Czy człowiek może zostać bardziej upokorzony?

Owszem, może. Tiril omal tego nie doświadczyła pewnego wieczora, kiedy pozwolili jej wyjść za potrzebą, co już samo w sobie było straszne, bo zawsze byli przy niej strażnicy.

Tego wieczora jej strażnicy wypili zbyt dużo. Powinna przewidzieć, co się może stać, kiedy wracała do furki. Powinna się tego domyślić na podstawie ich rozmów.

— Ale przecież nie pozwolili nam — mówił jeden.

— Ech, kto się będzie przejmował taką tam. Tak daleko od domu. I niech mnie diabli, jeśli jeszcze kiedyś do niego wróci, tyle sam pojmujesz, nie?

— Nikt się o niczym nie dowie — warknął trzeci. — Bo i komu mogłaby nagadać?

Tak więc wszyscy trzej się w zasadzie zgadzali. A kiedy czwarty, który ją odprowadzał na stronę, dowiedział się, o co chodzi, natychmiast się do nich przyłączył.

Woźniców akurat nie było.

Ten, który odprowadzał Tiril do lasu, polecił jej wejść na furkę, po czym związał jej ręce i nogi, ale knebla nie zdążył założyć, bo taki był ciekawy, o czym rozmawiają pozostali.

— Przecież ona może naskarżyć — powtarzał jeden, który w dalszym ciągu miał wątpliwości.

— Komu? Teraz jesteśmy już bardzo daleko od kardynała, a ona nigdy nie wróci.

— Starzec podróżuje tędy, i to dwa razy do roku!

— Już nie. Za bardzo schorowany.

— Nie bądź taki pewien. Ostatnio bardzo się ożywił.

— Czemu się z nią tak cackają? Co ona taka ważna? Przeważnie kardynał nie ma żadnych skrupułów.

— Jego bratanek protestował, że ją złapali. Kardynał coś mu tam obiecywał.

— Głupie gadanie — burknął czwarty. — Który zaczyna?

— Ja. Szlachetne panie mają taką delikatną skórę. Chcę ją mieć świeżą i zdrową.

Wtedy do Tiril dotarło, co te dranie mają na myśli.

— Nie! — poprosiła cichutko. — Nidhogg, nie pozwól!

Jej niewidzialni przyjaciele byli najwyraźniej zaniepokojeni.

— My nie możemy nic zrobić — szepnął Nidhogg. — Tamtym razem, kiedy złapaliśmy Mondsteina i von Kaltenhelma, Móri znajdował się w pobliżu, działaliśmy w jego imieniu. Ty jesteś poza naszym zasięgiem, chociaż uwielbiamy cię tak samo jak jego.

Uwielbiamy? Jakie dziwne i... jakie piękne określenie!

— A poza tym te potwory nie mogą nas widzieć — szeptał Nidhogg — ale poczekaj, ja pomyślę.

— Musisz myśleć szybko — ponagliła Tiril w panice, bo pierwszy już się zbliżał do furki. Rozdziawiał gębę w obrzydliwym uśmiechu i klęknął przy niej, żeby rozwiązać rzemienie krępujące jej nogi. Tiril kopnęła go z rozmachem.

— No, no, popatrzcie, ona kopie! — zwrócił się do kamratów, zgromadzonych obok.

Śmiali się paskudnie i pomagali mu rozwiązać jej ręce po to, by przywiązać je do boków fury. Tiril broniła się jak szalona, ale miała przeciwko sobie czterech silnych mężczyzn.

— Czy masz swoją runę duchów? — zapytał Nidhogg.

— Nie, od dawna jej nie potrzebowałam. . . Owszem. Mam ją w kieszeni spodnicy razem z wieloma innymi.

Biła i kopała, szarpała się, żeby nie mogli jej związać. Tamci przeklinali ordynarnie, gdy któregoś trafiła, ale opór rozwścieczał ich coraz bardziej i szczypali ją boleśnie.

— Czy możesz wyjąć runę? — upewniał się Nidhogg.

— Postaraj się, żeby musieli jej dotknąć.

— Spróbuję.

Wyrwała prawą rękę z tą desperacką siłą, jaką się miewa w sytuacji ostatecznego zagrożenia. Usiłowała odnaleźć kieszeń spodnicy, a tymczasem drań przed nią grzebał w spodniach, żeby wyjąć to coś, z czym ona za nic na świecie nie chciała mieć do czynienia. Stojący przy wozie chwycili jej stopy i przywiązali je mocno do fury. Ten na furze powiedział do nich coś ordynarnego, rozerwał jej bieliznę i pochylił się, gotowy do akcji.

W tym momencie Tiril odnalazła właściwą runę, poznała to po kształcie.

Wyszarpnęła ją i przyłożyła gwałcicielowi do gardła. Ten spojrzał w górę i zobaczył nad sobą rozwartą paszczę dzikiego zwierza z wyszczerzonymi kłami. Przerażony jęknął piskliwie i spojrzał jeszcze bardziej w górę, bo coś dostrzegł kątem oka. . .

Siedziało tam najpotworniejsze stworzenie, jakie można zobaczyć chyba tylko w koszmarnych snach. Wielkie kły trzymało tuż nad ramieniem Tiril, jakby chciało jej bronić.

Gwałciciel wrzasnął i zeskoczył z wozu.

— Wiedźma! To wiedźma, nie widzicie tego?

Nie, nie widzieli niczego, on zresztą też już nie.

— Co się z tobą dzieje, do diabła? — złościł się inny. — Daj mi spróbować, czy szlachcianki smakują inaczej!

Wdrapał się na furkę, a już wcześniej ściągnął spodnie i buty, był gotowy tak jak przed chwilą jego koleżka. Obrzydliwy smród przeпоonych nóg uderzył w nozdrza Tiril. Poza tym wiele wskazywało na to, że opryszek ma świerzb.

Pierwszy ze strażników odszedł daleko od fury, bo czuł się okropnie. Nie chciał nawet patrzeć w tamtą stronę.

Tiril miała kłopoty, żeby i drugiego dotknąć runą, bo ten uklęknął przed nią, a dwaj wciąż stojący przy furce próbowali przywiązać jej prawą rękę. Już czuła skórę gwałciciela na swojej, wyczuwała jego twardy członek i krzyczała przerażona, aż w końcu udało jej się wyrwać rękę i dotknąć jego nadgarstka.

W tej samej sekundzie człowiek wrzasnął śmiertelnie przestraszony, dziko wytrzeszczone oczy o mało nie wyszły mu z orbit, w popłochu zeskoczył z wozu.

Tiril zdołała też przysunąć runę do tego, który starał się przywiązać jej rękę. Ten spojrział gdzieś w bok i zawył jak ugodzony ostrym żelazem.

— On mówił prawdę, to wiedźma! Zastrzelcie ją! Zastrzelcie!

— Nie mamy do tego prawa — powiedział czwarty, który jeszcze niczego nie widział. — Jeśli nie dostarczymy jej żywej do zamku w Pirenejach, to wszyscy jak jeden damy za to głowy. Wracajcie, tchórze! Nie widzę, żeby było w niej coś nadzwyczajnego.

Tamci trzej podchodzili do wozu z ociąganiem, a ich podobne do siebie opowiadania przestraszyły czwartego, który zrezygnował z gwałtu.

— Dzięki wam, moi przyjaciele — szepnęła Tiril, a w zamian otrzymała delikatny uścisk od podobnego do wilka zwierzęcia.

Pireneje. Te cudowne, przesycone słońcem lasy, drogi wijące się w górę po zboczach. Tiril nie widziała nic prócz nieba i koron drzew, ale teraz domyślała się, że podróż wkrótce dobiegnie końca, a nic nie mogło być od niej gorsze.

Maleńka wioska z domkami o porośniętych mchem dachach, które niegdyś były czerwone. Ponad wsią górował zamek, niezbyt wielki, lecz o niezwykle wysokiej wieży, najbardziej ze wszystkiego przypominającej więzienie dla czarownic i miejsce, w którym straszą upiory z dawno minionych czasów.

Mam nadzieję, że ja nie będę zamknięta w tej wieży, myślała. Bo umarłabym ze strachu, że wieża załamie się i runie wraz ze mną. Albo nie będę mogła zobaczyć kątów, bo są zasnuwane gęstą pajęczyną.

Nie została osadzona w wieży. Wprost przeciwnie, znalazła się w piwnicy. W lochu, w którym dręczono wielu przed nią, sądząc po ilości żelaznych kajdan w ścianach. Tiril nie została przykuta, zresztą kajdany chyba już przerdzewiały, ale też nie potraktowano jej łagodnie. W lochu nie było okienka, widocznie znajdował się bardzo głęboko. Ciemno i wilgoć, to jedyne, co do niej docierało.

— Nidhogg? Jesteście przy mnie?

— Jesteśmy, nie martw się — usłyszała w odpowiedzi.

— Jak długo będą mnie tu trzymać?

— Z pewnością do przesłuchania.

— A jeśli nie będę odpowiadać? Czy myślisz, że zostanę poddana torturom?

— Tego nie można wykluczyć. Znajdujemy się w kraju, w którym tortury są sprawą zwyczajną.

Tiril westchnęła.  
— Myślisz, że jest jeszcze dla mnie jakaś nadzieja?  
— Oczywiście! Musisz tylko wytrzymać kilka dni, a pewno i dla ciebie zaświeci słońce.  
— Bądź przy mnie — szepnęła.  
Wtedy usłyszała stukanie w ścianę. Podeszła tam po lodowato zimnej podłodze.  
Jakiś głos? Słyszała przez ścianę czyjś głos. Nie, nie przez ścianę. W murze była niewielka szczelina.  
Oparła rękę o wilgotny mur i nasłuchiwała.  
Ktoś szeptał. Do niej?  
— Czy wy jesteście tutaj więźniem? — dotarło do niej.  
Po niemiecku! Czy to pułapka? Czy próbują ją w ten sposób podejść?  
Głos powtórzył słowa. Tym razem głośniej.  
Tiril chciała skorzystać z szansy.  
— Tak.  
Zaległa cisza. A potem pełne niedowierzania:  
— Kobieta?  
— Tak.  
— To niemożliwe!  
Tiril odczekała chwilę, nim zapytała:  
— Od dawna tu siedzicie?  
— Ja nie wiem, jak długo. Tutaj nie istnieje dzień ani noc. Ale chyba jakieś dwanaście lat. A prawdopodobnie dłużej.  
— Dwanaście lat — powtórzyła Tiril i odwaga ją opuściła. Piękne widoki, nie ma co!  
— Tak. Oni o mnie zapomnieli. A ja nie chcę robić hałasu, bo wtedy przypomną sobie, że trzeba mnie zlikwidować.  
— Ale to przecież potworne — jęknęła Tiril. — Macie chociaż jedzenie i ubranie?  
— O, tak. Ale strażnicy są okropnie milkliwi. Nigdy o nic nie pytają. Stawiają tylko miski i nic więcej. Czy pani jest Niemką?  
— Nie, tylko mówię po niemiecku. Ale drogi panie, jestem kompletnie zbита z tropu pańskim wyznaniem. Jak brzmi pańskie nazwisko?  
— Heinrich. Heinrich Reuss von Gera.  
Tiril na chwilę oniemiała. A potem powiedziała po norwesku:  
— Henrik Russ! Wszyscy myśleli, że pan nie żyje.  
— A... Kim pani jest?  
— Znał mnie pan kiedyś pod nazwiskiem Tiril Dahl.  
Po tamtej stronie długo trwała cisza.  
— Byliśmy wtedy śmiertelnymi wrogami.

— Tak.

Tiril zastanawiała się nad sytuacją. Jeśli Henrik Russ przesiedział tyle lat w takim więzieniu, to raczej nie żywi ciepłych uczuć dla Zakonu Świętego Słońca.

W takim razie może ona mogłaby się dowiedzieć czegoś więcej o tajnym zgromadzeniu?

Ale jaki będzie z tego pożytek? Przecież stąd się chyba nie wydostanie.

## Rozdział 21

Po całkowitej porażce bratanka kardynał von Graben opuścił kościelne zgromadzenie. A nikt przecież nie wiedział, że cesarz zamierza pozbawić Engelberta biskupiej godności. Największe upokorzenie było jeszcze przed nim.

Kardynałowi jednak wystarczyło tego, co już się stało. Spieszył do swej gospody, by zarządzić pakowanie kufrów.

Wielki Mistrz wprost kipiał wściekłością. Na bratanka, który wszystko zaprzepaścił, lecz najbardziej na wrogów, którzy wciąż zdobywali nowe tereny, podczas gdy rycerze dreptali w miejscu.

Co też mają wrogowie takiego, czego rycerze Zakonu nie znają?

Wygląda na to, że wszystko.

A teraz zdobyli coś jeszcze: niebieski kamień.

Kardynał uniósł głowę i zaczął się zastanawiać.

Co to opowiadał ten człowiek, który powrócił z bagnisk? Ten dziwny chłopak, syn czarnoksiężnika, miał powiedzieć, że potrzebuje niebieskiego kamienia, by przywrócić swego ojca do życia.

Nienawistny uśmiech, który był częścią osobowości Wielkiego Mistrza, znowu pojawił się na wąskich wargach. Przywrócić do życia! Dziecinne mrzonki!

Kardynał siedział bez ruchu, wyprostowany.

A jeśli to nie są dziecinne mrzonki? Jeśli chłopak dotarł do niebieskiego kamienia z legendy? Jeśli ta część legendy jest prawdą?

Wielki Mistrz dobrze wiedział, czego może dokonać Święte Słońce. To dlatego wszyscy go tak pożądliwie, tak rozpaczliwie poszukują, z łapczywością przekraczającą wszelkie granice przyzwoitości. Ale czerwony i niebieski kamień? Co one mogą?

Przywrócić do życia?

To oczywiście głupie wymysły, ale jeśli kamień rzeczywiście posiada magiczną siłę, to co wtedy?

Niebieski kamień to musi być szafir. Szafiry mają też działanie uzdrawiające. To kamień książąt Kościoła i świętych. A zatem jak przeznaczony dla niego.

Poza tym ten szafir musi być wyjątkowy.



Pomyśleć, gdyby tak posiadał moc powstrzymywania starości?

Wielkim niepokojem kardynała von Grabena było to, że nie będzie żył na tyle długo, by odnaleźć Święte Słońce, którego szukał przez całe swoje życie.

Już i tak przekroczył zwyczajny ludzki wiek, a to dzięki swoim wielkim magicznym umiejętnościom. Ale kiedyś przecież będzie musiał umrzeć.

Gdyby tak z pomocą tego kamienia mógł przedłużyć życie?

Musi go zdobyć! Musi mieć ten kamień!

Jego ludzie, którzy pojechali w ślad za chłopcem? Może już go znaleźli?

Lodowaty dreszcz strachu przeniknął kardynała. Pierwsza wysłana przez niego grupa miała szukać kamiennych rytów na tablicach, które spadły z góry. Druga grupa pojechała za chłopcem, który, jak kardynał przypuszczał, również znajdował się w drodze do podnóża tej samej góry. Też chciał odnaleźć kamienne tablice.

Ale co to chłopiec miał powiedzieć? Że spróbuje przywrócić swego ojca do życia? A ojciec, czarnoksiężnik, czy raczej jego zwłoki, nie leżały przecież u podnóża góry. Zostały ukryte wysoko, w pobliżu zamku Graben. Podnóże góry od zamku Graben dzielił chyba z dzień marszu. Wielki Mistrz nigdy tam nie był, ale mógł sobie wyobrazić, jak to miejsce wygląda.

Nikt z wysłanych przez niego ludzi nie wpadnie na to, by szukać chłopca tam, gdzie on się w istocie znajduje: koło zamku Graben. W górach.

Trzeba zatrzymać chłopca, zanim dotrze do celu. Nie dlatego, by kardynał sądził, że ktokolwiek może umarłego przywrócić do życia, ale czarnoksiężnika Móriego jednak się lękał. Chłopiec był jeszcze dzieckiem, lecz ojciec miał powiązania z mocami, których Wielki Mistrz nie zna. Nie życzył sobie Móriego wśród żywych.

Kardynał mógł nie zdążyć pojmać chłopca teraz. Naprawdę mogło już być za późno.

Może go wezwać?

Ostatnim razem, kiedy próbował tej metody, kosztowało go to bardzo dużo zdrowia, a i tak na niewiele się zdało. Zaszkodziło tylko ludziom kardynała, a to raczej słaba pociecha.

Nie, ale umiał przecież o wiele więcej.

Kardynał von Graben wyjął z kufra swoją wielką czerwoną księgę. W zamysleniu zaczął ją kartkować.

Za młodu nauczył się z tej księgi wielu tajemnic. Tajemnic, o których teraz już zapomniał, bo nigdy ich nie stosował w praktyce. Nie było to konieczne. Księga pomogła mu też w osobistej karierze, i to na różne sposoby. Wiedział, że nie ma w sobie tego ciepła, które człowiek Kościoła powinien posiadać, ale to nie stanowiło dla niego przeszkody. Cesarskiego tronu nigdy nie mógłby zdobyć, bo nie pochodził z odpowiedniego rodu. Von Grabenowie to zbyt skromna rodzina. Każdy jednak może zostać księdzem i on został, a potem księga pomagała mu

wspinać się po szczeblach kariery, zarówno do godności kardynała, jak i — co nie mniej ważne — stanowiska wielkiego mistrza Zakonu Świętego Słońca.

Szedł do tego celu po trupach. Ale osiągnął wszystko, czego pragnął. W dużym stopniu dzięki czerwonej księdze, która była naładowana magią i czarami z pradawnych czasów.

W tej księdze znajdowało się również wiele stron mówiących o Świętym Słońcu. Do kardynała dotarła ona jako dziedzictwo po przodku, mnichu, który zdobywał wiedzę u wielkiego inkwizytora Tomasa de Torquemady.

Kardynał von Graben wyrwał te stronice. Nikt nie pozna już tego, co on wie. Zresztą wcale go nie interesowało, co będzie po nim.

Teraz jednak okazało się, że brakuje wiele stron mówiących o starej legendzie. Kardynał wyczuwał miejsca, z których wydarto karty. Tiersteinowie zostali wielkimi mistrzami, ale oni swoją wiedzę na temat legendy o morzu, które nie istnieje, zabrali ze sobą do grobu. Natomiast Habsburgowie dostali fragment klucza do Tiersteingram, którego kardynał do tej pory nie odnalazł, a razem z kluczem Habsburgowie dostali też srebrny kielich i różne informacje, których on nigdy nie poznał.

Jak na przykład informacja o niebieskim i czerwonym kamieniu.

To straszna bezczelność ze strony współczesnych potomków Habsburgów, takich jak księżna Theresa i jej rodzina, że mieszają się do poszukiwań Świętego Słońca. To przecież obszar kardynała von Grabena, czy oni tego nie rozumieją?

No, jest to, czego szukał w księdze! Tam! Nigdy przedtem tego nie próbował, ale teraz czarnoksiężnik zobaczy, jak smakuje jego własne lekarstwo!

Wiele podstawowych wiadomości o magicznych runach znajdujących się w islandzkiej księdze pochodzi z Czarnej Szkoły w Sorbonie, a także ze starożytnego Rzymu, gdzie miała swe korzenie szkoła paryska. Pierwszym człowiekiem, który założył tak zwaną Czarną Szkołę, był Vergili lub Vergilius, chociaż miał on z pewnością dużo bardziej szlachetne zamiary niż ci, którzy rozwinęli w przyszłości jego ideę.

Kardynał von Graben nie używał pojęć „czarne magiczne runy” i „białe magiczne runy”. To określenia islandzkie, on natomiast mówił o czarnej i białej magii czy po prostu o złych i dobrych czarach.

Początki jednak były te same. Kardynał stosował zatem to, co Móri nazwałby czarnymi magicznymi runami, ponieważ wiedza na temat tych run nie rozprzestrzeniła się po świecie, nie powstały jej naśladowstwa, nikt też dokładnie tej dziedziny magii nie objaśniał.

Wiadomo jednak, że są znaki sprowadzające choroby, a nawet śmierć, oraz inne, przyciągające różne przedmioty i bogactwa.

Wielki Mistrz długo się przygotowywał w swojej izbie. Potem rozejrzał się za odpowiednim zwierzęciem. . .

Znalazł je wkrótce i jego wargi wykrzywiły się w złowieszczym, ale też wyrażającym zadowolenie uśmiechu. Na okiennej ramie brzęczała mucha plujka. Znakomicie!

Kardynał spreparował małe stworzonko, po czym wypuścił je na zewnątrz, wypowiadając przy tym długie magiczne formułki, nakazujące jej lecieć szybko i dostać się do tego, kogo on pragnie ugodzić.

Drugi magiczny znak wymagał wielu przygotowań, lecz kardynał poradził sobie z tym bez trudu. Stworzył, zgodnie ze wszystkimi zasadami magicznej sztuki, puka, istotę, która w ludowych wierzeniach ma chyba najwięcej nazw. Dźwigacz, magiczny zając, kot czarnoksiężnika i tak dalej. Mała szara figurka, której czarownice używają, żeby odebrać mleko krowom sąsiada. Paskudna, na ogół zrobiona z włóczki mała bestia, której stosowanie na szczęście w wielu krajach zanikło.

Kardynał jednak nadal umiał ją zrobić.

Wypowiedział magiczne zaklęcie, które miało otwierać wszystkie drzwi, pochylił się i wysłał puka w drogę. Figurka potoczyła się dziarsko uliczką miasteczka, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy myśleli, że to niesiona wiatrem włóczka albo kłak wełny.

Kardynał był właśnie gotów do wyjścia, kiedy zobaczył nad drzwiami, po tamtej stronie futryny, jakieś zwierzę.

Nietoperz zwisał głową w dół, jakby spał.

Nieźle...

Gdyby się tamtym dwojgu nie powiodło? Chłopak na pewno nie ma przy sobie czosnku. Krzyża chyba też nie, skoro jest synem czarnoksiężnika.

Von Graben zdjął nieduże zwierzątko i włożył je do skórzanego woreczka. Potem pospieszył na cmentarz, do miejsca pod murem, gdzie grzebano przestępców. Tam wywołał duszę mordercy i w ciągu długiego, niezwykle skomplikowanego obrzędu ulokował ją w nietoperzu. Teraz czekało go najtrudniejsze, ale von Graben wiele potrafił. Pocił się i dygotał, w końcu jednak spełnił swoje zamiary, stworzył wampira. Będzie to niewinny nietoperz za dnia, a żądny krwi człowiek, straszny upiór, nocą.

Wobec niego syn czarnoksiężnika okaże się całkowicie bezbronny.

Nie wiedział, jak chłopiec wygląda, znał jednak jego imię. A zresztą co to za imię, myślał konserwatywny kardynał. Dolg syn Móriego. Nikt nie może się tak nazywać!

To jednak czyniło sprawę znacznie dla Wielkiego Mistrza łatwiejszą. Na całym świecie może istnieć tylko jeden człowiek o takim imieniu, więc jego z czarowany posłaniec nie będzie miał kłopotów ze znalezieniem chłopca.

Po tym wszystkim kardynał wrócił do swojej gospody. Powitało go tam paru innych dostojników, którzy przyszli prosić, by uczestniczył w uroczystej mszy kończącej wielkie spotkanie.

Von Graben uznał, że może sobie na to pozwolić. Nie powinien był wzbudzać zainteresowania swoją nieobecnością.

Udał się więc do świątyni z poważną i wielce bogobojną miną.

## Rozdział 22

Dolg się niepokoił. Stracił tyle dni. Może teraz już za późno na ratunek dla taty?

Stracił, to może niewłaściwe wyrażenie. W rzeczywistości przecież nie mógł działać szybciej. I tyle różnych przeszkód musiał pokonać! Umarli wielcy mistrzowie, żywi bracia zakonni i Bóg wie co jeszcze.

Pierwsza grupa wysłanników kardynała przeszukała skrupulatnie okolice u podnóża góry, ale nie znalazła żadnych kamiennych tablic. Dolg i Erling spotkali ich po drodze, ponieważ jednak tamci nie otrzymali rozkazu poszukiwania małego chłopca, Dolg zaś ich nie znał, obie strony minęły się, nie zwracając na siebie uwagi.

Druga grupa przypadkiem znalazła się w gospodzie, kiedy pierwsza jechała już do domu. Tak więc wysłannicy kardynała też nie mogli się porozumieć.

Ci ostatni jednak mieli w swoim gronie bardzo znamienitego pana: towarzyszył im sam brat Lorenzo, bez wiedzy i bez błogosławieństwa kardynała. Brat Lorenzo sam miał ochotę na niebieski kamień. Przesłuchanie Tiril można odłożyć. I tak siedziała zamknięta w zamku w Pirenejach.

Bardzo szybko dogonili powóz z habsburskimi herbami. Ten powóz, którym miano przetransportować Móriego do domu. Woźnica i jego pomocnik otrzymali jednak bardzo surowe rozkazy od Erlinga, więc odpowiadali wciąż to samo: „Nie, oni jadą do Habichtsburg, żeby zabrać stamtąd krewnego samego cesarza. Nie, nigdy nie mieli ze sobą żadnego chłopca. Czarne włosy? Spał w powozie? A tak, parę dni temu zabrali małego szewczyka, tak był bardzo zmęczony, nogi go bolały, to prawda!”

Lorenzo nie wiedział, co o tym myśleć. Woźnica i jego pomocnik sprawiali wrażenie tak prostodusznych i dobrych ludzi, że z pewnością nie umieli kłamać.

Ale chłopiec powiedział, że kamień może uratować jego ojca. Brat Lorenzo przez chwilę rozważał sprawę, po czym ruszył ze swoimi ludźmi dalej. No tak, z ludźmi kardynała, jeśli chodzi o ścisłość.

Mieli dokładny opis drogi do zamku Graben, lecz niełatwo było się tam dostać. Ta grupa, numer dwa, jeśli można tak powiedzieć, pomyliła się na jakimś

rozstaju dróg i ostatecznie zabłądziła. Oddział wjechał w górskie doliny, zgubił drogę powrotną i znalazł się w prawdziwych kłopotach.

Tak więc ci ludzie przestali stanowić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla Dolga i Erlinga.

Inna sprawa, że oni wcale nie kierowali się do zamku Graben, lecz do rozległej doliny u stóp gór. Zdołaliby jednak pojmać Dolga i jego przyjaciół przed rozstajem dróg, gdyby wiedzieli, że powinni to zrobić. Zabłądziwszy nie mogli już zaszkodzić chłopcu.

Erling i Dolg ostatnią noc przed dotarciem do zamku Graben spędzili w lesie. Nie mieli czasu, by nocować w gospodzie, którą nie tak dawno odwiedzili Tiril, Móri i Erling. Mieli nadzieję jeszcze tego dnia dotrzeć do celu, ale im się nie udało, więc Erling zarządził postój. Znaleźli bezpieczne miejsce i rozbili obóz.

Właśnie kiedy siedzieli i spożywali prosty posiłek, z lasu nadleciała duża niebieskoczarna mucha i krążyła nad ich głowami. Obaj woźnice i Erling chcieli ją zabić, lecz Dolg poprosił, by zostawili owada w spokoju.

— To przecież żywe stworzenie — powiedział swoim łagodnym głosem. — Nie musi ginąć tylko dlatego, że znalazła się w pobliżu nas.

Mucha usiadła mu na rękę.

— Sio! — Erling. starał się ją odpędzić.

— Spójrzcie, jaka ona jest ładna — zachwycił się Dolg. — Widzicie, jakie ma migotliwe skrzydełka? Moja droga, usiądź tu koło mnie. Tutaj nic ci nie grozi.

— Ty naprawdę jesteś dziwnym dzieckiem, Dolg — roześmiał się Erling, potrząsając głową.

Podszedł Nero i zaczął obwąchiwać miejsce, na którym usiadła mucha.

— Ale ona naprawdę jest piękna — powtórzył Dolg. — Moja droga, mała przyjaciółko, jesteś cała wymazana jakimś jadem! Gdzieś ty latała?

Erling odsunął Nera.

— Trzeba odpędzić tę muchę, Dolg. Ona może być niebezpieczna!

— Nie, ona jest chora! Daj mi szafir, bądź tak dobry.

— Ależ, Dolg!

— Daj mi go! — powiedział chłopiec stanowczo.

Erling z ociąganiem wyjął szmacyany woreczek, w którym przechowywano niebieską kulę. Dolg ostrożnie ujął szlachetny kamień, powoli skierował go na muchę, która w dalszym ciągu siedziała na jego rękę.

Kiedy piękny kamień zbliżył się do owada, Dolg szepnął:

— Patrzcie, całe zło z niej spływa. Rozprasza się w powietrzu. Znika! Teraz mucha jest znowu zdrowa! No, możesz sobie latać, droga przyjaciółko!

Mucha siedziała jeszcze chwilę bez ruchu, potem rozprostowała skrzydełka i wleciała w powietrze, dwukrotnie okrążyła głowę Dolga, jakby go pozdrowiała, i zniknęła.

Erling przemawiał głosem surowego nauczyciela.

— Dolg, ta kula jest przeznaczona dla twojego taty! Nie możesz marnować jej sił na muchy!

Chłopiec spoglądał na niego i na dwóch towarzyszących im, a teraz mocno zdumionych mężczyzn.

— Ta mucha została wysłana specjalnie, żeby mnie ukąsić i wpuścić mi pod skórę straszną truciznę. Gdybym tego nie zrobił, byłbym ciężko chory, może bym nawet umarł. Tata opowiadał mi o złej runie, która działa właśnie w ten sposób.

— Ale... Kto mógł ją wysłać?

— Kardynał. To jedyny człowiek, który może posiadać takie umiejętności.

— Oj — rzekł Erling z westchnieniem. — Może powinniśmy się uważniej rozglądać, czy nie ma tu więcej takich much.

— Możliwe. W każdym razie musimy być uważni. Kardynał jest bardziej niebezpieczny, niż myśleliśmy.

Jeden z woźniców zapytał:

— Ale skąd panicz wiedział, że mucha była zatruta? To przecież mogła być całkiem zwyczajna mucha plujka z jakiegoś śmietnika albo z końskiego nawozu.

Dolg spojrział na niego swoimi dziwnymi oczyma.

— Nie zapominaj, że wielokrotnie trzymałem w rękach niebieską kulę. Ona mi daje nie tylko niespotykaną siłę, lecz także niespotykane umiejętności.

Tamci w milczeniu kiwali głowami.

W środku nocy Nero zaczął warczeć. Wszyscy usiedli na posłaniach.

— Co się dzieje, Nero? — pytał Erling szeptem.

Nero zachowywał się jak pies, który „złapał trop”. Skulił się i na ugiętych łapach pełził w stronę bagażu, złożonego pośrodku obozowiska. Podniósł jedną przednią łapę, naprężył się i stał jak prawdziwy pies myśliwski, którym przecież nie był.

— W bagażu coś jest — szepnął jeden z woźniców.

— Lis?

— Nie, dużo mniejsze. Rozniećcie ogień!

Jego towarzysz zaczął dmuchać w żarzące się węgle i wkrótce na palenisku buchnął płomień.

— O, fuj! — krzyknął Erling, odskakując. — A to co znowu?

Zobaczyli coś, co mogło przypominać spory motek wełny. Szary, kosmaty, bezkształtny. Ale to coś poruszało się jak żywa istota, jakieś paskudne, małe stworzenie. Szukało, węszyło, a jeden z ludzi zapewniał, że słyszał pomruki, takie jakie wydaje borsuk poszukujący jedzenia.

— To puk — szepnął Dolg. — Moje magiczne runy! Muszę mieć moje magiczne runy!





tej runy. To jest tak zwana Miotelka Arona i tata mówił, że wolno mi ją stosować tylko w razie ostatecznej konieczności. Ale teraz chyba tak właśnie jest, prawda?

— Absolutnie — potwierdził Erling.

Było oczywiste, że Dolg czuje się nie najlepiej.

— Ech — narzekał. — Wcale tego nie lubię. Zaklęcie zawiera tyle okropnych słów. Jest jednak bardzo silne i w tym przypadku nieodzowne.

— Na co to pomaga? — dowiadywał się Erling.

— Przegania strachy, natrętne upiory i zdejmuje przekleństwa. Pomaga zaczarować dusze pokutujące, unieszkodliwić spisek na życie człowieka i wypędzić diabła.

— To chyba rzeczywiście pasuje na dzisiaj. Ale musisz się spieszyć, to małe wstrętne paskudztwo dotarło, zdaje się, do celu.

Dolg znalazł niedużą gałązkę i z runą uniesioną przed sobą wypowiadał słowa, które przyprawiały słuchaczy o dreszcze grozy. Erling mocno trzymał Nera, bo pies aż się palił do pomocy i chciał złapać to małe szare nie wiadomo co.

Dolg spełniał magiczny rytuał, coś, czego nigdy przedtem nie robił:

— „Duchu diabelski, podstępny, szary, uleć wraz z mgłą i chmurami, zraniony, poszarpany, obity pograżasz się w mroku i rozpadasz, wypełniasz się magicznym robactwem wijącym się, dręczącym cię. Roją się nieszczęsne w tobie i nad tobą, tną, gryzą i szarpia. Teraz jesteś związany, ubezwłasnowolniony, odepchnięty, zakuty w kajdany wilka Fenrir, piekielny biedaku, udręczony, zagubiony, którego ślady porasta trawa, a gniew spływa do morza”.

— Ależ, Dolg — szepnął Erling, gdy chłopiec skończył. — Zaklinasz zwierzę?

Dolg, zmęczony, wyprostował się.

— To nie było żadne zwierzę. To istota, którą stworzyło przekleństwo kardynała. Wygląda jak żywa, ale nie jest żywa.

Wszyscy widzieli, co się stało. Kiedy Dolg wygłosił ostatnie słowa, puk rozwiął się w powietrzu i zniknął.

— No dobrze — westchnął chłopiec. — W takim razie może się jeszcze trochę prześpimy.

Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że trzeba wystawić wartę i że będą czuwać po kolei. Bo teraz nie ufali już kardynałowi, jeśli kiedykolwiek żywili podobne uczucia.

Noc minęła spokojnie, ale żaden z podróżnych nie zauważył, że tuż przed wschodem słońca nadleciał nie wiadomo skąd mały nietoperz i ulokował się pod jednym z siodeł, całkiem ukryty pod derką tak, że nikt go nie mógł widzieć.

Trwał tam przez cały dzień, pograżony we śnie. Czekał na nadejście nocy, żeby się zamienić w krwiożerczego wampira, noszącego w sobie pokutującą duszę jakiegoś mordercy.

A trzeba wiedzieć, że istnieje ważna różnica między upiorem, czyli powracającym na ziemię duchem, a błakającą się duszą. Upiora można za pomocą zaklęć skierować na zawsze do krainy umarłych. Dusza pokutująca jest jak żywy człowiek, choć nie ma z nim nic wspólnego, i bardzo trudno ją unicestwić.

Erling bez trudu odnajdywał drogę do Graben. Jechali teraz w pobliżu dużej wsi, widzieli ją z daleka.

— Później odbierzemy nasze konie — postanowił Erling. — W tej chwili nie mamy czasu do stracenia.

Wszyscy się z nim zgadzali. Nero znowu raz po raz warczał.

— Wygląda na to, że we wsi odbywa się pogrzeb — rzekł jeden z woźniców.

Miał rację. Ludzie zbierali się koło kościoła, długi pochód ciągnął za konnym wozem, na którym wieziono trumnę.

— Jeszcze jeden powód, żeby im teraz nie przeszkadzać — powiedział Erling.

Kiedy konie nie były już w stanie iść pod górę, przywiązali je w lesie, a sami zaczęli się wspinać po zboczu.

— Uch! — jęknął Erling. — Nie mogę powiedzieć, że dobrze się tu czuję. To miejsce przywodzi mi na myśl jedno z moich najstraszniejszych przeżyć. Tu utraciłem i Tiril, i Móriego, a sam zostałem zepchnięty z wysokiej skały. A ruiny zamku to czysta makabra! Dobrze, że nie musimy tam wchodzić!

Dolg milczał. Twarz miał bladą, napiętą. Oczy zdawały się jeszcze bardziej czarne niż zazwyczaj, a ręce zaciskały się na niebieskiej kuli, którą niósł w szmacianym woreczku. Wyczuwał kształt kamienia, zdawało mu się, że skórę przenika jego promieniowanie.

Pozwól, Panie, żeby tata jeszcze żył, modlił się nieprzerwanie.

Chociaż wiedział, że „żył” to nieodpowiednie słowo. Ojciec przekroczył przecież granicę. Ale jeśli nie przekroczył ostatniego progu, jeśli nie pograżył się w najgłębszej grocie Śmierci, jak to nazywają duchy, to może uda się go jeszcze uratować.

Dolg dużo rozmyślał o tym, co powiedziały duchy. I nie był pewien, czy wszystko w tym się zgadza. Jego wyobrażenie o śmierci było inne, myślał, że człowiek wkracza „do wielkiego światła”. Łagodnego, choć silnie świecącego światła, o delikatnej barwie ambry. W takim razie nie można się pograżyć w wiecznym mroku!

Zdawało mu się jednak, że rozumie, co duchy miały na myśli.

Większość z nich to byli czarnoksiężnicy, a zdaje się dla nich istniały odmienne reguły. Tata opowiadał o smutnym chórze umarłych czarnoksiężników, który słyszał, kiedy wędrował głęboko pod ziemią. „Kraina zimnych cieni” — zwykł był mówić o tym królestwie.

Jakie to straszne, że tacie przypadł w udziale taki los! Tata powinien po śmierci

znaleźć się w miejscu ciepłym i świetlistym, jak wszyscy inni. Tata sobie na to zasłużył.

Nie pomyślał jednak, że on sam też urodził się ze znakiem czarnoksiężnika na barku. Jego z pewnością też czeka ten sam tragiczny los po śmierci.

Ale Dolg rzadko myślał o sobie.

Wuj Erling przystanął. Wielokrotnie mówił Dolgowi, że nie musi się do niego zwracać per wuj, traktował chłopca jak dorosłego. Ale stare przyzwyczajenia dawały o sobie znać.

— To było tutaj — rzekł Erling z drżeniem. — Jeszcze są ślady tam, gdzie mnie ciągnęli.

Jeden z woźniców podszedł do krawędzi i spojrzął w dół.

— Jezus Maria — jęknął.

Nawet Nero odskoczył od urwiska. Woźnice słyszeli o uratowaniu Erlinga i początkowo nie chcieli w to wierzyć. Czy teraz uwierzyli?

— Tutaj są ślady wielu ludzi — oznajmił drugi.

— Tak, było nas tu przecież kilkoro — zgodził się Erling. — Ci, którzy na nas napadli... Nie, to chyba za dużo śladów! Aż tylu to nas nie było.

— Gdzie jest tata? — dopytywał się Dolg pobladłymi wargami.

Erling spojrzął na niego i pomyślał, że chyba nigdy jeszcze nie widział nic bardziej wzruszającego niż ten dwunastolatek o ogromnych przestraszonych oczach.

Wciągnął głęboko powietrze.

— Ostatnie, co widziałem, to jak Móriego przeszywa miecz. Stał wtedy tam. Dość daleko pod lasem, jak widzicie. A tutaj są ślady, jakby wleczono coś ciężkiego... Wygląda na to, że mordercy ukryli go w lesie. O, tam, ten stos gałęzi! Chodźcie! Zaczekaj, Nero, zaczekaj!

Pobiegli do gałęzi, ale kiedy znaleźli się blisko, wszystko stało się dla nich jasne. Gałęzie zostały najwyraźniej odrzucone na bok, natomiast na trawie w dalszym ciągu widoczny był odcisk ludzkiego ciała, które musiało tam leżeć dosyć długo.

Popatrzyli jeden na drugiego, gdy Nero obwąchał gałęzie i wydał z siebie przeciągłe wycie.

— Jego tu nie ma — stwierdził Dolg głucho.

— Jak widać.

— Te wszystkie ślady... — wtrącił woźnica.

— Tak. Ktoś tutaj był i zabrał ciało — potwierdził Erling. — Dużo ludzi.

— Czyżby wysłannicy kardynała zdołali tu dotrzeć? — zapytał Dolg ze łzami w głosie. — Czy przyszliśmy za późno? Teraz go już nie odnajdziemy. Nie wiemy zupełnie nic, co z nim zrobili!

— Nie, dlaczego mieliby to być śludzy kardynała? Przecież zatarli za sobą ślady. Po co mieliby tu wracać? — zastanawiał się Erling.

I jakby nagle wszyscy pomyśleli to samo. Patrzyli na siebie jak oniemiałi.

— Ludzie ze wsi — powiedział w końcu woźnica niepewnie.

— Pogrzeb! — jęknął Erling. — O mój Boże, pogrzeb!

Dolg w największej rozpaczyc zaczął się głośno żalić:

— O, nie! Oni nie mogą pochować mojego ukochanego taty! To największy czarnoksiężnik na świecie!

Chyba nigdy ludzie nie biegli tak szybko, jak ci czterej spod ruin zamku Graben. A najszybciej pędził Nero. Jakby wiedział, o co chodzi.